

NOWA MAPA ŚWIATA
Szukamy najlepszego
miejsca dla Polski

UDAWANE PAŃSTWO
Nic nam nie chce dać,
oprócz gotówki

WSZYSTKO, CO NIE ISTNIEJE
Zofia Rosińska o miłości, seksie,
szczęściu, nudzie i modlitwie

PSZCZOŁY W MIEŚCIE
Ciepło, wilgotno, obficie.
Miód – palce lizać!

Kraków 29 lipca 2018 nr 31 (3603)

cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Oskarżona Matka Teresa



RACHUNEK 4×4: DOSTRAJASZ KORZYŚCI DO POTRZEB FIRMY

Pakiet
Gotówkowy



Pakiet
Zagraniczny



Pakiet
Krajowy



Pakiet
Oszczędny



www.aliorbank.pl

0 zł za prowadzenie Rachunku 4×4 dotyczy jego wersji podstawowej, wydania pierwszej karty debetowej i miesięcznej opłaty za korzystanie z niej, przelewów do ZUS/US realizowanych za pośrednictwem bankowości internetowej oraz korzystania z aplikacji księgowej online na portalu zafirmowani.pl. Miesięczna opłata za każdy z pakietów: Gotówkowy, Krajowy, Zagraniczny i Oszczędny wynosi 10 zł. Oferta dla nowych klientów biznesowych Alior Banku.

KS. ADAM

Boniecki: Irytujący święci

ŚWIĘTEMU PIUSOWI X NIE MOŻEMY ZAPOMNIEĆ walki z modernizmem, której ofiarami padali całkiem dobrzy katolicy; błogosławionemu Piusowi IX – „Syllabusa”, wykazu 80 obłożonych karami kościelnymi błędów, których dziś Kościół nie uważa za błędy; św. Stanisława podejrzewa się o zdradę; św. Bratu Albertowi przypisuje się chorobę psychiczną; błogosławionemu Jerzemu Matulewiczowi – faworyzowanie Litwinów ze szkodą dla polskości. Nawet św. Jana Pawła II nie ominęły pośmiertne ataki m.in. o rzekomą pobłażliwość dla księży pedofilów. Przypominałem sobie tych kilka przykładów po lekturze zamieszczonej w tym numerze „Tygodnika” rozmowy Marka Rabija z profesorem Piotrem Kłódkowskim w związku z atakami na świętą Matkę Teresę z Kalkuty. Ostatnio znów jesteśmy świadkami prób podważania wielkości albańskiej zakonnicy.



khandzie – doszło do oddania czterech noworodków za pieniądze. Przełożona zgromadzenia misjonarek miłości, siostra Mary Prema Pierick wydała oświadczenie, w którym stwierdza, że był to godny ubolewania incydent, nie praktyka.

Prowadzona z okazji tego przykrego incydentu rozmowa z prof. Kłódkowskim jest ważna nie tylko dla tej jednej sprawy. Znacząca Indii ukazuje, jak bardzo święty, a w tym przypadku święta, może nawet po śmierci stanowić kłopotliwy problem. Wyjęte z historycznego, politycznego i społecznego kontekstu ataki na świętych nigdy nie będą naprawdę zrozumiałe. Oczywiście świętość nie oznacza nieomyślności. Święci byli ludźmi, popełniali błędy i nie za bezbłędność są kanonizowani, ale ze względu na ich heroiczną wiarę, nadzieję i miłość.

Szesnaście lat po jej śmierci (umarła 5 września 1997 r.) i dziesięć lat po beatyfikacji (2003 r.) troje kanadyjskich naukowców z Uniwersytetu w Montrealu i Ottawie ogłosiło rozprawę, mającą „obalić mit świętości Matki Teresy”. Książka zrobiła sporo szumu, jednak „mitu” nie obaliła, bowiem nie było mitu, lecz twarda rzeczywistość bezgranicznego poświęcenia się dla najbiedniejszych. Szybko wykazano (także w Polsce ukazały się publikacje na ten temat), jak mało naukowa i oderwana od rzeczywistości była praca pretendująca do miana naukowej.

Obecnie zakon Matki Teresy (i poniekąd ona sama) znalazł się w ogniu krytyki, bo wyszło na jaw, że w domu sióstr znajdującym się w jednym z najuboższych regionów Indii – Dżhar-

Kiedy wybuchła awantura w związku z publikacjami Kanadyjczyków, poszedłem do misjonarek miłości z nadzieją, że od nich otrzymam jakieś opracowane przez zakon wyjaśnienia. Ku memu zdumieniu siostry o niczym nie wiedziały. Powtarzane także przez polską prasę oskarżenia wyraźnie ich ani nie interesowały, ani nie budziły przerażenia. Ponieważ wśród zarzutów eksponowano ten, że Matka Teresa nie podawała pacjentom umieralni środków uśmierzających ból, rzekomo ze względu na zbawczą moc cierpienia, spytałem siostry, czy coś takiego w ich zakonie obowiązuje albo obowiązywało. Popatrzyły na mnie jak na wariata.

– Co za pomysł? Zawsze staramy się nieść ulgę w cierpieniu – usłyszałem. Głupio mi się zrobiło, że mogłem tak pytać. ©P

TP

Ważny komunikat dla Czytelników!



W związku z podwyżką cen papieru gazetowego, a co za tym idzie kosztów druku, od 1 sierpnia 2018 r. zaokrąglamy cenę drukowanego wydania „Tygodnika Powszechnego” do 8 zł za egzemplarz.

Pozostałe ceny, w tym prenumeraty papierowej czy wydań cyfrowych, nie ulegają zmianie.

Mamy nadzieję, że różnica 10 groszy w cenie będzie dla Państwa niezauważalna – nam pozwoli ona utrzymać objętość oraz dostępność pisma na dotychczasowym poziomie.

WYDAWCA

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 PiS nie przegra na ulicy
PAWEŁ BRAVO

6–9 Wiadomości / Komentarze

18 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Państwo poniżej oczekiwań
PAWEŁ MARCZEWSKI: *PiS przekonał obywateli, że na więcej niż odrobinę gotówki nie mogą liczyć*

24 Czas szybkich trybunów
RAFAŁ ZYCHAŁ: *Kto wypełni pustkę po Samoobronie?*

26 Strażnicy Puszczy Karpackiej
ROMAN HUSARSKI: *Ten park jeszcze nie powstał, a już go bronią*

■ ■ WIARA

30 Awatar z Kalkuty
ROZMOWA Z PIOTREM
KŁODKOWSKIM: *Dla kogo świętość Matki Teresy jest niewygodna*

35 Nie pytaj, skąd weźmiemy chleb
IGNACY DUDKIEWICZ: *Wspólnota Sant'Egidio w Polsce*

38 Bóg – Ojciec czy Matka
JÓZEF MAJEWSKI *o kobiecych metaforach dotyczących Boga*

■ ■ Z ODDECHEM

42 Wszystko, co nie istnieje
ROZMOWA Z ZOFIĄ ROSIŃSKĄ: *Szczęście? Wszyscy dziś lubią o tym mówić i być szczęśliwi, najlepiej w orgazmie. Przereklamowane*

■ ■ ŚWIAT

46 Domu już nie będzie nigdy
MARCIN ŻYŁA I GRAŻYNA MAKARA: *Reportaż z obozu dla uchodźców syryjskich w Jordani*



ERIC THAYER / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

■ ■ TEMAT TYGODNIA ■

10 Przemija postać świata
KLAUS BACHMANN

Polska musi się odnaleźć w nowej erze. Na spotkaniu z Władimirem Putinem w Helsinkach nie oglądaliśmy niebezpiecznego szaleńca. Donald Trump reprezentował amerykańską rację stanu w ramach odmienionego światowego ładu.

14 W łóżku ze słońcami
ROZMOWA Z ALEKSANDREM SMOLAREM
Europa musi dziś dawać światu nadzieję. Bo brak nadziei i perspektyw jest najbardziej niebezpieczny i przeciwdziała wszelkim pozytywnym zmianom.

■ ■ FELIETONY ■

29 ANNA DZIEWIT-MELLER

41 SZYMON HOŁOWNIA

63 ANDRZEJ STASIUK

76 JAN KLATA

77 PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Oktadka: MATKA TERESA Z KALKUTY

Fotografia: BEW

Redaktor prowadzący: PIOTR MUCHARSKI

50 Ukryte pod szachownicą
DARIUSZ KAŁAN: *Na Bałkanach futbol przyciąga radykałów*

53 Obamowo
SZYMON OPRYSZEK: *Kenia się budzi z Amerykańskiego Snu*

■ ■ HISTORIA

56 Jeszcze będziemy jednością
DOMINIK HÉJJ: *Sto lat temu Węgry straciły większość terytorium*

■ ■ NAUKA

60 Zmiany w spadku
ŁUKASZ SAKOWSKI *o nowej dziedzinie genetyki*

■ ■ KULTURA

64 Byłe dalej stąd
JAN TOKARSKI *o retrotopii według Baumana: co nas ęci w przeszłości*

68 Horyzonty Iranu
ANITA PIOTROWSKA: *co na festiwalu Era Nowe Horyzonty*

70 Ania emancypantka
MARCIN NAPIÓRKOWSKI: *Przemoc i dyskryminacja kontra logika baśni*

73 Powrót przedniej straży
DARIUSZ KOŚCIŃSKI: *„Cricot idzie!” – dynamizm i lekkość w naszej samotniczej i ciężkiej kulturze*

75 Warto zobaczyć w TV

76 Miasteczko czasu wojny
LEKTOR *o książce „Szmuglerzy” Ojzera Warszawskiego*

■ ■ ZMYŚŁY / WAKACJE

78 Pszczoły z dobrym adresem
ADAM ROBIŃSKI *o pszczelarzu niewidzialnym dla pszczoł, ulach w centrum Warszawy i spadzi jodłowej z Powązek*

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak
(kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioto,
Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bułalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuzewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażewska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietyści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Klata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak,
Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek
Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech
Brzeziński, Beata Chomętowska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz,
Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewicz, Radosław
Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon
Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski,

Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś,
Agnieszka Sabor, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak,
Jacek Taran, Joachim Trenkner, Marek Zając
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak,
Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki
(kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdat, Sylwia Frołow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik), Marta Filipiuk-
Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uzyskaniu upłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.


 OBRAZ
TYGODNIA

PIS NIE PRZEGRA NA ULICY

Prowokacyjne zachowanie PiS budzi gniew i rozpacz, a władzy o nic innego nie chodzi. Bo w gniewie i rozpacz nie sposób dostrzec jej słabych punktów.

PAWEŁ BRAVO

WŁADZY BARDZO SIĘ SPIESZYŁO, ŻEBY DOKOŃCZYĆ dzieła przed wakacjami. Głosowania w Sejmie w zeszłym tygodniu znaczą ważny etap procesu zawłaszczania państwa i symbolicznie domykają fatalny sezon ustawodawczy.

Dobrze niedawno naoliwiona – przy okazji ekspresowego odkręcania ustawy o IPN – maszyna do głosowania zadziałała i tym razem. Trudno o lepszy kontrpunkt do pompacyjnej farsy urządzonej tydzień wcześniej z okazji okrągłej rocznicy parlamentaryzmu. Konieczność przepychania naprędce skleconych poprawek do reform, które – jako kluczowe dla sanacji państwa – zostały rzekomo gruntownie przemyślane, pokazuje skądinąd, że rząda

nami nie geniusze zła, lecz drugorzędni prawnicy bez politycznej wyobraźni. W ostatnich zmianach chodzi przecież tylko o to, by wobec możliwej obstrukcji środowisk sędziowskich zapewnić szybkie obsadzenie wakatów w Sądzie Najwyższym i możliwość wyboru prezesa-dublera. Kiedy tak się stanie, PiS będzie miał w garści wszelkie środki nacisku na sądy wszystkich instancji. Zbigniewowi Ziobrze pozostanie tylko poczekać, aż zadziała najlepszy sojusznik każdego zamordysty: oportunizm poddanych mu urzędników.

Jest to potencjalnie niebezpieczne dla swobód i równości obywatelskiej, sprawiedliwego stosowania prawa. Dalekosiężnie psuje i tak marną jakość państwa, bowiem skłonność

*Protest
Obywateli RP
pod Sejmem
otoczonym
kordonem policji.
Warszawa,
20 lipca 2018 r.*

→ do nadużywania złego prawa jest w Polsce ponadpartyjna i następcy PiS-u raczej nie będą mieli skrupułów, żeby w opanowywaniu instytucji i struktur iść na skróty drogą wyrąbaną właśnie przez partię Kaczyńskiego i Piotrowicza.

Tak się może stać, o ile ewentualni następcy znajdą sposób na wygranie wyborów – czego wydarzenia wokół Sejmu raczej nie zapowiadają. Wbrew temu, co głoszą najostrzejsi krytycy PiS, jakoby partia ta sięgnęła po kontrolę nad SN, żeby móc fałszować wybory – ona tego wcale nie potrzebuje. Bo co miałyby fałszować przy tak stabilnie wysokim poparciu i przy tak niskiej energii politycznej oraz braku charyzmy po stronie opozycji?

Marna frekwencja na protestach wokół Sejmu może mieć wiele powodów – należy do nich sprytnie zamulenie rozgrywki wokół SN przez PiS, wsparcie poniekąd niejasnością sędziowskiej reakcji. Ale ważniejsza od szukania przyczyn i wytykania sobie bierności jest przestroga, by topniejące grono uczestników demonstracji nie popadło w politycznie zabójczy narcyzm ostatnich sprawiedliwych. Bo nie wolno zawężyć pola rozmowy z tą większością obywateli, którzy są potrzebni, by wygrać wybory. Ostatecznym beneficjentem spirali złych emocji jest tylko władza. Prowokacyjne zachowanie czołowych polityków PiS, cyniczny rechet miernych marszałków, którzy jak dzieci dręczące kota „czołgają” sejmową opozycję – wszystko to budzi gniew i rozpacz, a o nic innego PiS-owi nie chodzi. Choćby po to, by wobec własnych szeregów uzasadnić rosnącą paranoję, na przykład te fortyfikacje wokół Sejmu godne stanu wyjątkowego w republice bananowej.

W gniewie i rozpacz nie sposób dostrzec słabych punktów obecnych rządzących, które mogłyby posłużyć do pozbawienia ich władzy za nieco ponad rok. Po wakacjach władza wróci do przerwanego demontażu kolejnych hamulców ustrojowych, opozycja dobrze zaś, żeby wróciła ze świeżymi pomysłami. Bo na razie nie ma pojęcia, jak zbudować skuteczną politycznie alternatywę.

Władzy z rąk PiS-u nie odbije się na ulicy. Ostatnie zdjęcia z Wiejskiej dobrze pokazują stosunek sił. Władzę nadal – i, miejmy nadzieję, zawsze – odbierać się będzie w lokalu wyborczym.

© P PAWEŁ BRAVO

W SKRÓCIE

KOTA NIE MA. Prezes Jarosław Kaczyński przechodzi rehabilitację i przygotowuje się do operacji kolana, jego partia tymczasem wycofuje się z zakazu hodowli zwierząt na futra i ograniczenia uboju rytualnego. „Według mojej wiedzy, zresztą jestem katolikiem i dla mnie również opinia Episkopatu też jest ważna, ubój rytualny jest dopuszczalny na świecie” – mówi min. środowiska Krzysztof Ardanowski; według wiedzy powszechnej słuchano tu jednak nie tyle Episkopatu, co Radia Maryja, którego dyrektor mówił, że zakaz hodowli zwierząt jest „nienormalny”, a także mocno obecnych w prawicowych mediach lobbystów branży futrzarskiej.



BRETT SAYLES / PEXELS.COM

DOBRY KONTAKT. W sumie trudno się dziwić: nasz ulubiony wicepremier Piotr Gliński mówił w wywiadzie dla „Do rzeczy”, że jego rząd jest chyba jedynym, który wywiązuje się ze swoich zobowiązań i ma dobry kontakt ze społeczeństwem. Świadectwem tego ostatniego są niewątpliwie zasięki przed Sejmem, zostawmy to jednak, zwłaszcza że szef związku zawodowego policjantów oświadczył, iż negatywnie ocenia wykorzystywanie policji dla uzyskania doraźnego interesu politycznego.

POPISY. W Sejmie tymczasem „Rzeczpospolita” policzyła, którzy postowie najczęściej przerywają wystąpienia innych parlamentarzystów. Przewodzą Dominik Tarczyński z PiS (najczęściej krótkim „brawo!”, ale także malowniczym „na szczaw!” i „zdrajcy”) oraz Rafał Grupiński („brak kultury”, „to jest chamstwo”, „nie męcz się tak, zejdz”).

Hybrydowy protest w ogniu kampanii



MACIEJ MÜLLER

STRATEGIA „DZIEL I RZĄDŹ” PRZESTAJE SIĘ SPRAWDZAĆ – przynajmniej w ochronie zdrowia. Wydawało się, że system jest tak sektorowo poszatkowany (szpitale, ratownictwo, POZ itd.), że sojusz między poszczególnymi częściami jest praktycznie niemożliwy. Nawet jeśli tak jest, w ostatnim czasie kolejne grupy pracowników służby zdrowia zaczynają protestować na własną rękę. Pielęgniarki na Podkarpaciu – mimo iż ich samorząd i związek zawodowy podpisały z resortem zdrowia porozumienie – zażądały zwiększenia wynagrodzeń i masowo brały L4. Lekarze rodzinni podpisali kontrakty tylko do końca września: jesienią wrócą do negocjacji wyższych stawek. Rezydenci, kiedy Sejm przegłosował przepisy niezgodne z zawartym w lutym – i tak bardzo kompromisowym – porozumieniem, uprzedzili: „przepraszamy pacjentów za to, co nastąpi”. Szpitale powiatowe ostrzegły, że jeśli nie dostaną większych pieniędzy, nie podpiszą umów z NFZ na drugie półroczcie. Wygląda na to, że eskalacja konfliktów w ochronie zdrowia spadnie na rząd w środku samorządowej kampanii wyborczej. © P

Raport na puszczy

GDY ADAM BODNAR, rzecznik praw obywatelskich, składa przed Sejmem coroczne sprawozdanie z działalności swojego biura, tuż po głosowaniu nad kolejną nowelizacją ustawy o Sądzie Najwyższym, można wyjść z sali (tak zrobili w ubiegły piątek posłowie partii rządzącej). Gdy przygotowuje budżet, można ten budżet ściąć (w 2016 r. budżet RPO obniżono o prawie 10 mln zł – wrócił do poziomu z 2011 r.). Gdy zabiera głos, można mu przerwać, mówiąc, że „nie reprezentuje obywateli”, tylko „realizuje misję polityczną” (tak powiedział w ubiegłym tygodniu szef Sejmowej Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka, Stanisław Piotrowicz).

Pytanie więc, jak można odpowiedzieć na tegoroczny 900-stronicowy raport z działalności RPO, na liczby w nim zawarte (ponad 140 miejscowości odpowiedzialnych przez RPO od początku kadencji, średnio 20 tys. skarg zgłaszanych do RPO rocznie) i historii w nim przytoczone (np. styczeń 2017 – napaść na obywatela Bangladeszu w Legnicy, luty – pobicie Saudyjczyka w Zakopanem, marzec – pobicie hinduskiego studenta w Poznaniu, maj – pobicie obywatela Ukrainy w Warszawie).

Odpowiedzi dostarcza Marek Kuchciński, marszałek Sejmu RP. „Liczba nowych spraw kierowanych do Rzecznika Praw Obywatelskich była w 2017 r. najniższa od 25 lat. (...) Równolegle systematycznie rośnie objętość jego sprawozdań” – napisał na Twitterze.

© P ANNA GOC



SZCZYT NARCIARSTWA: 22 lipca Andrzej Bargiel jako trzynasty Polak zdobył K2, a następnie tego samego dnia zjechał z liczącego 8611 m wysokości szczytu na nartach do jego podstawy. To pierwszy pełny zjazd narciarski z K2. © BD

Hiszpania łagodzi kurs wobec separatystów z Katalonii

W ROZGRYWCE Z MADRYTEM zwolennicy niepodległości Katalonii zyskali mocny punkt: hiszpański Sąd Najwyższy wycofał europejskie nakazy aresztowania organizatorów referendum niepodległościowego z października 2017 r. Zrobił to po tym, gdy trybunał w Szlezewiku-Holsztynie nie przystał na bezwarunkową ekstradycję przebywającego w Berlinie b. premiera Katalonii. Niemcy uznali, że Carles Puigdemont może być sądzony tylko za sprzeniewierzenie środków publicznych, a nie za bunt. Gdyby podobnie jak sąd niemiecki postąpiły te w Belgii, Szwajcarii i Szwajcarii (dokładnie zbiegli inni oskarżeni),

Hiszpania została by całkiem skompromitowana.

Rząd w Madrycie ze spokojem przyjął decyzję sądu – nie jest to ten sam gabinet, który chciał drakońskich kar dla ekipy Puigdemonta. Po tym, gdy w czerwcu socjalista Pedro Sánchez zastąpił na stanowisku premiera konserwatystę Mariano Rajoya, zaczęło się łagodzenie kursu. Sánchez zaprosił do Madrytu nowego premiera zbuntowanego regionu i zdecydował o przeniesieniu dziewięciu uwięzionych liderów „procesu” niepodległościowego do aresztów w Katalonii. Nawet gdyby chciał, nie może jednak wypuścić ich na wolność. Decyzja o przerwaniu trwającego od wielu miesięcy aresztu prewencyjnego należy do sądu. A ten, próbując ratować twarz, pewnie nie będzie skłonny do kolejnych ustępstw.

©© KALINA BŁĄŻEJOWSKA

Turcja: koniec rządów dekrétami Erdoğan

DWA LATA po nieudanym puczu wojskowym nowy turecki parlament zakończył w kraju stan wyjątkowy. Dla prezydenta Recepty Tayyipa Erdoğan to koniec rządzenia przy pomocy dekrétów, często sprzecznych z konstytucją. Posłowie przyjęli też nowe prawo antyterrorystyczne. Zdaniem opozycji – tak samo opresyjne.

Podczas trwania stanu wyjątkowego zwolniono ponad 150 tys. urzędników państwowych, nauczycieli i wykładowców. Zamknięto 3 tys. szkół, akademików i uczelni, 189 gazet i stacji telewizyjnych. Aresztowano prawie 80 tys. osób, w tym wielu dziennikarzy, prawników, policjantów i wojskowych.

W sądach toczy się ponad 100 tys. spraw przeciwko osobom oskarżonym o współudział w puczu albo wspieranie FETÖ – ruchu Fethullaha Gülena, duchownego mieszkającego w Stanach Zjednoczonych, który Ankara uznaje za organizację terrorystyczną. Turecki rząd uznaje Gülena za „mózg” przewrotu. Aby zostać aresztowanym, wystarczyło pracować w jednej z prowadzonej przez ruch szkół, używać komunikatora ByLock, oglądać „gülensowską” telewizję czy prenumerować określone gazety. Wielu wojskowych skazano na dożywocie, a sam Erdoğan groził przywróceniem kary śmierci. Od ubiegłego roku 15 lipca – w rocznicę puczu – obchodzone jest w Turcji Święto Demokracji.

© MARCELINA SZUMER z Izmiru

Więcej na blogu:

kawapaturecku.blog.tygodnikpowszechny.pl

Państwo i naród

KAROLINA
PRZEWROCKA-ADERET



O TYM, CZY SIĘ NA TO DECYDOWAĆ, dyskutowano w Izraelu od lat. Uchwalona przez Kneset 19 lipca ustawa o „państwie narodu żydowskiego” definiuje Izrael jako historyczną ojczyznę Żydów i podkreśla, że realizacja prawa do samostanowienia w tym kraju jest im właściwa. Jej konsekwencją to uznanie jedynie hebrajskiego za język urzędowy (język arabski ma „specjalny status”), a „zjednoczonej Jerozolimy” za stolicę państwa, oraz wsparcie dla budowy żydowskich miast (bez określenia, na jakim terenie).

Za ustawą zagłosowało 62 posłów, sprzeciwiło się 55, dwóch się wstrzymało. Arabscy parlamentarzyści na znak protestu podarli teksty ustawy i zostali usunięci z sali. Nazwali ją „prawem apartheidu” i „żydowskiej supremacji”, zarzucili, że czyni ona z Arabów „obywateli drugiej kategorii”. Przeciwnicy ustawy uważają, że stoi w sprzeczności z ideami deklaracji niepodległości i dyskryminuje mniejszości.

Zwolennicy natomiast twierdzą, że w obliczu antysemityzmu na świecie i potęgi świata arabskiego, deklaracja jest niezbędna, by Żydzi mogli czuć się bezpiecznie. Premier Netanjahu stwierdził, że „Izrael respektuje prawa wszystkich mniejszości jako jedyny kraj na Bliskim Wschodzie”. Zanim uchwalono ustawę, usunięto z niej najbardziej kontrowersyjny wątek: o możliwości budowania miejscowości opartych na zasadzie segregacji narodowej lub religijnej.

©



Pierwsze
Radio
Informacyjne

DOMINIK HÉJJ, autor korespondencji z Węgier (s. 56), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz

w „Światopodglądzie” Radia TOK FM w środę 25 lipca o godz. 15.40.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław

96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź

97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

– www.tokfm.pl

O. STANISŁAW JAROMI OFM CONV.:

Chrześcijanin nie niszczy

**Kard. Francesco Coccopalmerio
proponuje zmiany w Prawie
Kanonicznym.**

Tak, pojawiły się informacje, że nowy kanon mógłby brzmieć: „Każdy chrześcijanin, świadomy, że stworzenie jest wspólnym domem, ma poważny obowiązek nie tylko nie niszczyć, ale także ulepszać, czy to poprzez normalne zachowanie, czy też przez specjalne inicjatywy, środowisko naturalne, w którym każda osoba została powołana do życia”.

To dobry pomysł?

Istnieje przekonanie, że jeśli wpisze-
my coś do dokumentów prawnych, to
automatycznie zacznie to obowiązy-
wać w codziennym życiu. Tak się nie-
stety nie stanie. Niemniej każdą próbę
uświadamiania katolików, czym jest
ekologia integralna, trzeba głośno i wy-
raźnie popierać.

Podczas zakończonej w ubiegłym
tygodniu ekologicznej konferencji
w Watykanie wyraźnie wybrzmiało,
że ekologia integralna nie polega tylko
na przesiadaniu się z samochodu na
rower. Kryje się za nią troska o los naj-
uboższych obywateli świata. Mamy
dwa podstawowe zadania: zatrzymać
zmiany klimatu, o czym traktował
będzie szczyt klimatyczny w grud-
niu w Katowicach, oraz robić wszyst-
ko, żeby sposób naszego życia chronił
całe stworzenie, przede wszystkim naj-
uboższych.

Prowadzona przez Ojca REFA ruszyła też ze szkołą liderów.

Budujemy sieć kontaktów, szkolimy
się, w jaki sposób współpracować na
rzecz stworzenia i co powinniśmy zro-
bić, żeby zwiększyć świadomość kato-
lików w tematach ochrony przyrody,
środowiska i klimatu. Ekologią w Ko-
ściele powinni się zająć świeccy.

© P Rozmawiał BŁAŻEJ STRZELCZYK



**O. STANISŁAW
JAROMI**

jest franciszkaninem,
przewodniczącym
Ruchu Ekologicznego

św. Franciszka z Asyżu (REFA) i szefem
portalu SwietoStworzenia.pl.



JACEK TARAN DLA „TP”

BENEDYKTYNI Z TYŃCA w ramach wystawy „W klasztor-
nym skryptorium” pokazali
w ubiegły weekend średniowieczny rękopis pergaminowy „Antyfonarz opata Mściśława”.
Dzieło powstało przed 1409 r. w skryptorium tyńskim i służyło mnichom do modlitwy
liturgicznej. W XVI w. zostało na nowo oprawione i zapewne wówczas dodano karty
papierowe. Obecnie antyfonarz należy do Biblioteki Narodowej i na co dzień nie jest
udostępniany. W tekście znajduje się dziesięć iluminowanych inicjałów. © P MaM



CHIARA CORBELLA PETRILLO. IT

Dziewczyna, która ufała

„**NIE BYŁA PRZEBÓJOWĄ KOBIECĄ**, która bie-
rze się za bary ze światem. Ona miała wiarę.
A przeciwieństwem strachu nie jest odwa-
ga, lecz właśnie wiara” – tak wspomina ją
mąż, Enrico. Klara Corbella Petrillo zmarła
6 lat temu, 18 lipca rozpoczął się jej proces
beatyfikacyjny.

Kard. Agostino Vallini, który prowadził
pogrzeb Klary, powiedział, że to „druga
Joanna Beretta Molla”. 28-latką, kiedy na
początku ciąży wykryto u niej raka, zde-

cydowała się opóźnić chemioterapię, żeby
nie zaszkodzić dziecku. Liczne przerzuty
sprawiły, że jej stan po porodzie był już ter-
minalny.

Klara i Enrico, którzy pobrali się
w 2008 r., mieli za sobą dramatyczną histo-
rię poprzednich ciąży: Maria zmarła 50 mi-
nut po narodzinach z powodu bezmózgo-
wia, podobnie Dawid – ze względu na brak
nerek i deformację płuc. Dzieci ochrzczili
i czuwali przy nich do ostatniej chwili. Ba-
dania genetyczne nie wykazały czynników
ryzyka. Dlatego Klara i Enrico zdecydowa-
li się na kolejną próbę: tym razem płód był
zdrowy. Spokojne oczekiwanie na naro-
dzenie przerwała diagnoza: owrzodzenie na ję-
zyku Klary okazało się nowotworem zło-
śliwym. Lekarze wycięli, co się dało, nie za-
pobiegło to jednak rozwojowi choroby.

Świadkowie ostatniego roku życia Klary
wspominają, że mimo cierpienia – ból on-
kologiczny obezwładnia – wychodzili od
niej zbudowani. Ufała Bogu, ale nie na za-
sadzie oczekiwania na cud, tylko zawierza-
jąc Mu siebie i rodzinę. Nie skarżyła się, ale
dziękowała: także za to, że mogła poznać
swoje dzieci i spędzić z nimi choć chwilę.
Synkowi Franciszkowi zostawiła list: „Idę
do nieba, aby zaopiekować się Marią i Da-
widem, ty zostajesz tutaj z tatusem. Będę
się za ciebie modlić”.

© P MACIEJ MÜLLER

W SKRÓCIE

KRYZYS. Jak co roku o tej porze branżowe media komentują trwający od lat „spadek liczby powołań” do seminariów diecezjalnych. „Liczby są zatrważające” – czytamy na portalu Deon.pl, a „Gazeta Krakowska” poinformowała nawet, że „kryzys dotarł na południe”, bo do seminarium tarnowskiego, dotychczas najliczniejszego, zgłosiło się w pierwszym naborze tylko dziesięciu mężczyzn. Czekamy jeszcze na nabór drugi (we wrześniu) oraz kluczowe w tym przypadku statystyki powołań do zgromadzeń zakonnych.

SUKCES. Szacuje się, że w całym 2018 r. na Jasną Górę dotrze ponad 4 mln pielgrzymów. Nie tylko pieszych, ze wszystkich diecezji, które ruszą w tym tygodniu, ale także – czytamy na stronie jasnagora.com – w pielgrzymkach rowerowych, biegowych, konnych, na rolkach, motocyklistów, wodociągowców, bankowców, leśników, energetyków.

REKORD. Brazylijscy czciciele Matki Bożej Patronki Żeglarzy trafili do Księgi Rekordów Guinnessa. Z okazji odpustu w sanktuarium Navegantes przygotowali oni płaszc dla figury Maryi o powierzchni ponad tysiąca metrów kwadratowych. Przy oficjalnym mierzeniu szaty byli obecni topografowie, inżynierzy, policjanci, fotografowie. Szata została ostatecznie pocięta na 16 kawałków, które rozdano uczestnikom procesji.

LICZBA TYGODNIA

32 910 865

osób w Polsce należy do Kościoła rzymskokatolickiego – podał Główny Urząd Statystyczny.

Parafii w Polsce jest 10 263, a duchownych 30 807. Rocznik informuje także, że w Polsce jest 118 774 świadków Jehowy, 773 członków Muzułmańskiego Związku Religijnego, 1698 mormonów i 2008 buddystów.

Ile jest warte muzeum ojca Rydzyka

PIOTR KOSIEWSKI



W TORUNIU MA POWSTAĆ MUZEUM PAMIĘCI Tożsamość im. św. Jana Pawła II. Tworzy je Fundacja Lux Veritatis ks. Tadeusza Rydzyka. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego przekaże do 2020 r. na ten cel 70 mln zł. Nowe muzeum ma uświadomić, „jak głęboko historia naszego kraju, jej kultura duchowa, nauka, sztuka, polityka i życie codzienne były i są związane z duchowością chrześcijańską”.

Minister Piotr Gliński zaciąga poważne zobowiązanie, z którym będą musieli się zmierzyć jego następcy, bo to m.in. minister kultury w porozumieniu z Fundacją mianuje dyrektora tego muzeum.

Jednak już umowa między Ministerstwem a Lux Veritatis budzi poważne wątpliwości. Zapisano w niej, że zbiory wnoszone przez Fundację ks. Rydzyka – relikwie, dokumenty, a przede wszystkim nagrania wideo – są warte 88 mln zł. Podana kwota ośmieszona autorem wyceny Adama Konopackiego, który do amatorów nagrań przyjął stawki stosowane przy gotowych, profesjonalnych filmach dokumentalnych, lecz przede wszystkim Ministerstwo kierowane przez Piotra Glińskiego. Trudno z powagą traktować inicjatywę, która ma taki początek. Nie powinny zatem dziwić głosy, że to tylko kolejny polityczny deal między PiS-em a toruńskim zakonikiem. ©

Najstarsze pieczywo ludzkości

CZASEM OKRUCH WYSTARCZY, żeby zmienić nasze wyobrażenia o przeszłości. Wynalezienie chleba wiązano dotąd z rozkwitem rewolucji neolitycznej – gdy ok. 10 tys. lat temu na Bliskim Wschodzie łowcy-zbieracze stali się osiadłymi rolnikami, wybierając najlepsze nasiona dzikich roślin, siejąc je i zbierając plony, wraz z którymi rosły miasta i cywilizacje. Jednak najnowsze badania okruchów z paleniska na stanowisku Shubayqa 1 w Jordanii (na zdjęciu) świadczą, że już 14,4–14,2 tys. lat temu łowcy-zbieracze z tzw. kultury natufijskiej piekli

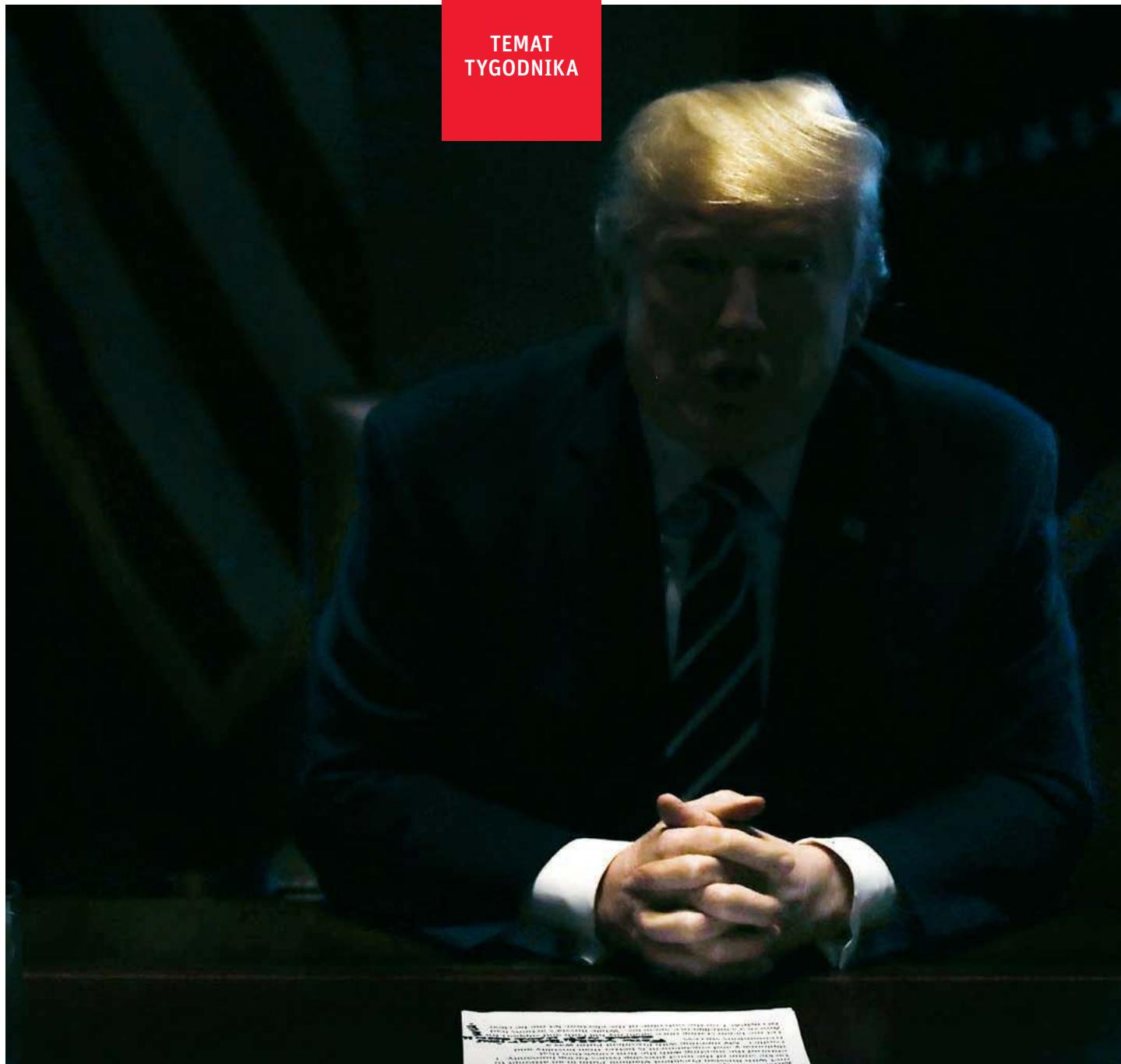
w popiele lub na rozgrzanych kamieniach podpłomyki ze starannie zmielonej i przesianej mąki dzikich protozboż.

Jak pisze duńsko-brytyjski zespół naukowców na łamach lipcowego „PNAS”, za pomocą elektronowego mikroskopu skaningowego rozpoznali oni drobiny upieczonego ciasta z dzikich odmian pszenicy samopszy, żyta, prosa czy owsa. Chleb okazuje się wyprzedzać rolnictwo o dobre 4 tys. lat. Przy czym pracołłonne natufijskie podpłomyki jadano wówczas wyjątkowo, ceremonialnie. Ale być może to apetyt na pożywne i smakowite pieczywo zainspirował łowców-zbieraczy do prób uprawy zbóż.

9 tys. lat temu chleb jest już powszedni. Zaczyna się nasza epoka. © MICHAŁ KUŹMIŃSKI



ALEXIS PANTOS / UNIVERSITY OF COPENHAGEN / EAST NEWS



Gdy Trump relacjonował kongresmenom spotkanie z Putinem w Helsinkach, zgasiło światło. Waszyngton, Biały Dom, 17 lipca 2018 r.

PRZEMIJA POSTAĆ ŚWIATA

Polska musi się odnaleźć w nowej erze.
Na spotkaniu z Władimirem Putinem w Helsinkach nie oglądaliśmy
niebezpiecznego szaleńca. Donald Trump reprezentował amerykańską rację stanu
w ramach odmienionego światowego ładu.

KLAUS BACHMANN



MARK WILSON / GETTY IMAGES

WIELE OSTATNICH DZIAŁAŃ DONALDA Trumpa na arenie międzynarodowej opisuje się tak, jakby kierował się on wyłącznie emocjami i chęcią poprawienia notowań wśród swojego elektoratu. Oto słoń, który dewastuje skład porcelany, czyli światowy ład. Nie wiadomo, w jakim celu to robi ani nie widać, co z tych skorup mogłoby powstać.

Podczas niedawnej wizyty w Europie groził wycofaniem się Stanów z NATO, uzależniał zawarcie nowej umowy handlowej z Wielką Brytanią od „twardego brexitu”, w Helsinkach bronił Władi-

mira Putina przed zarzutami o mieszanie się służb rosyjskich w amerykańskie wybory. Potem ogłosił na Twitterze, że z powodu Czarnogóry (najnowszego członka NATO) Stany nie będą ryzykować konfliktu z Rosją, w ten sposób osłabiając wymowę artykułu 5. Traktatu Transatlantycznego. Z obrony Putina przed zarzutami amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości potem się wycofał, pod naporem bardzo ostrej krytyki, nawet przedstawicieli Republikanów.

Wszystko to robi wrażenie szaleńczej, destrukcyjnej, chaotycznej polityki zagranicznej bez strategii ani wizji. To jednak nieprawda. Egocentryczne wybuchy przywódcy globalnego mocarstwa kryją przykrą i niewygodną prawdę. Jest nią racjonalnie pojmowana amerykańska racja stanu. I spore szanse na sukces. Zamiast skupiać się, jak dotąd, na jego domniemych słabościach i ludzkich przywarach, warto przyrzeć się temu, jak – świadomie bądź mimochodem – dokonuje on pewnego przełomu, który i tak wisiał w powietrzu.

Samospełniająca się przepowiednia

Polem, na którym Ameryka może w pełni osiągnąć swoje cele, jest handel międzynarodowy. Od początku kadencji Trump atakował porozumienia handlowe (jak NAFTA) i organizacje międzynarodowe, jak Organizacja Narodów Zjednoczonych i Unia Europejska. Nakładał wyższe cła na import z UE i z Chin, wycofał się z Partnerstwa Transpacyficznego.

Na pierwszy rzut oka wydaje się to szkodzić amerykańskiemu eksporterom. Przecież Stany od czasu I wojny światowej walczyły o wolny handel, zwalczały państwa, które chciały go ograniczyć, i nieraz interweniowały militarnie w obronie drożności szlaków handlowych. W ostatecznym rozrachunku wolny handel jest przecież (dla wszystkich, którzy w nim uczestniczą) korzystniejszy od fragmentaryzacji rynków, choć korzyści te rozkładają się nierówno między państwa i wewnątrz każdego społeczeństwa. Dla przestarzałych branż, opartych na starych technologiach i eksploatacji surowców, wolny handel na światową skalę może być jednak niekorzystny. W tej kwestii Trump ma swoich zwolenników i sponsorów w Stanach.

Natomiast branże, które najbardziej skorzystały na globalizacji – koncerny o świa-

towym zasięgu, oparte na najnowszych technologiach – od początku sprzeciwiają się protekcjonizmowi. Również większość dużych państw i sojuszy handlowych sprzeciwia się wojnom handlowym. Są jednak bezbronne wobec dynamiki, jaką protekcjonizm wywołuje w ich polityce wewnętrznej.

Kiedy Stany Zjednoczone nakładają cła zaporowe na import z innego kraju, ten kraj ma dwie możliwości. Może nic nie robić, a wtedy jego rząd znajdzie się pod podwójną presją: opinii publicznej, która go wzywa do „ukarania” USA, i tych gałęzi przemysłu, w które uderzył Trump i które domagają się retorsji. Jeśli rząd ulegnie takiej presji (a dotąd wszystkie rządy ulegały, od UE po Chiny), przyczyni się do podniesienia barier dla handlu, to znaczy do tego, do czego Trump zmierza. I da – tym samym – amerykańskiemu przywódcy pretekst do zaostrzenia wojny handlowej.

Jeśli zaś nic nie zrobi, dostarczy dowodu na to, że jednostronne działania się opłacają. Tak czy owak, Ameryka osiągnie cel – ochroni swoje niekonkurencyjne fabryki i wzniesie nowe bariery handlowe. Pomogą w tym przeciwnicy Trumpa w innych krajach, nie mówiąc o tych, którzy tradycyjnie i z przyczyn ideologicznych występują tam przeciwko wolnemu handlowi i globalizacji, np. o partiach lewicowych, prawicowych, antyliberalnych i alterglobalistycznych, które od lat (jeszcze za Obamy) oponowały przeciwko umowom o wolnym handlu między UE i innymi krajami.

Trump stara się o rozbić dużych rynków: chodzi mu o to, aby USA mogły negocjować warunki handlu z każdym krajem oddzielnie. Obecnie UE jest większym rynkiem od USA i w wielu (choć nie we wszystkich) dziedzinach dyktuje warunki. Gdyby Unia przestała istnieć, Stany byłyby większym rynkiem wobec każdego z jej państw członkowskich. 20 lat temu USA negocjowały korzystne dla siebie umowy bilateralne o lotnictwie, które potem Europejski Trybunał Sprawiedliwości skasował jako niezgodne z prawem unijnym, zmuszając Komisję Europejską do negocjowania jednej ogólnej umowy. Okazała się ona o wiele bardziej korzystna dla każdego kraju UE i znacznie mniej korzystna dla USA.

Działanie tego mechanizmu, dającego większemu rynkowi przewagę w negocjacjach handlowych, wkrótce będziemy mogli zobaczyć po brexicie, kiedy Londyn →

⇒ sam będzie musiał negocjować nowe porozumienia handlowe z USA. Premier Theresa May będzie w nich występować jako przedstawicielka o wiele mniejszego od USA rynku.

Z punktu widzenia celów Trumpa i jego zwolenników gra na podzielenie organizacji handlowych na mniejsze jednostki jest więc jak najbardziej racjonalna. Szkopuł w tym, że ma to konsekwencje, które daleko wykraczają poza handel, bo osłabiają też sojusze polityczne i wojskowe, na których USA przez ostatnie pokolenia opierały swoją rolę na świecie.

Moja chata z kraja

Najlepiej to widać na przykładzie NATO. To, czy Czarnogóra wysła swoich żołnierzy nad Bałtyk w przypadku ataku Rosji na Estonię, jest dla wiarygodności artykułu 5. Traktatu Transatlantyckiego mało istotne. To, czy zrobią to Stany Zjednoczone, jest kluczowe. W tym kontekście publiczne relatywizowanie gwarancji art. 5 wobec Czarnogóry, która w 2016 r. ledwo przetrwała próbę puczu zorganizowanego przez rosyjskie służby specjalne po to, aby zapobiec przystąpieniu tego kraju do NATO, można tylko interpretować jako zaproszenie Putina do destabilizacji małych, frontowych krajów członkowskich sojuszu.

Oczywiście można powiedzieć, że nieobliczalność i zmienność Trumpa zwiększa ryzyko takiej interwencji dla Rosji – bo nie wiadomo, jak Trump zareaguje, jeśli Rosja przyjmie jego zaproszenie do kolejnego puczu w Czarnogórze. Jednak rozbijając regionalne sojusze i zawierając formalne lub nieformalne porozumienia z lokalnymi hegemonami Trump może destabilizować politycznie i wojskowo te regiony, którym USA dotąd zapewniały pokój. Poszczególne kraje w tych regionach – a mowa tu nie tylko o Europie, ale też o Bliskim Wschodzie, regionie Pacyfiku, Afryce i Ameryce Południowej – mogą na to reagować w dwojaki sposób.

Po pierwsze, mogą rozpocząć regionalne wyścigi zbrojeń. Robią to już od wielu lat (zaczęli za kadencji prezydenta Obamy) Japończycy, wobec rosnącego zagrożenia ze strony Korei Północnej i Chin. W Europie może się to powtórzyć: im mniej pewne i wiarygodne będą gwarancje bezpieczeństwa USA, tym szybciej największe i najbogatsze państwa UE, jak Niemcy, Włochy i Hiszpania, uzbroją się nuklearnie, albo na własną rękę, albo z pomocą Francji.

Druga opcja polega na tym, aby zawrzeć z Rosją porozumienie rozgraniczające obopólne strefy zainteresowania celem budowania stabilnego układu – takiego, jaki istniał w Europie między USA i ZSRR po kryzysie kubańskim. Kraje poza takim układem (a więc Polskę i inne kraje wschodnioeuropejskie) zmusiłoby to do wejścia w strefę rosyjską: do podpisania umów handlowych z Rosją, do uzgodnienia swoich polityk zagranicznych z nią, do gwarantowania rosyjskim inwestorom przywilejów i do popierania interesów rosyjskich na arenie międzynarodowej. To taki nowy „koncert mocarstw”, w którym USA, Chiny, Rosja i twardy rdzeń UE (zapewne wokół strefy euro i bez Wielkiej Brytanii) pokazałyby mniejszym państwom, gdzie ich miejsce.

Trudno zrozumieć, dlaczego destabilizacja, jaka się wiąże z takim scenariuszem, miałaby być korzystna dla USA. W dotychczasowym świecie Stany zrobiłyby wszystko, aby takiemu rozwojowi wydarzeń zapobiec, wiedząc, że zmusiłoby je to do niezliczonych interwencji politycznych, dyplomatycznych i militarnych, choćby po to, aby utrzymywać otwartość szlaków handlowych i bezpieczeństwo amerykańskich baz wojskowych. Ale Trump jest protekcyjnistą – szlaki handlowe go nie interesują, a sojusze traktuje jak rodzaj mafijnego układu, w ramach którego słabszy płaci haracz silniejszemu, a jeśli nie ma czym, to albo bankrutuje, albo się go likwiduje. W takiej wizji świata regionalne bezpieczeństwo to problem państw w danym regionie, a nie zmartwienie Stanów Zjednoczonych.

Ten izolacjonizm, który postępuje pod zasłoną dymną słów o tym, jak „Amerykę znów uczynić wielką”, ani nie jest nowy, ani nie jest wymysłem samego Trumpa. Taki trend zapowiadał się też już za prezydentury jego poprzednika. To Obama wyznaczył syryjskiemu dyktatorowi Asadowi „czerwoną linię”, po przekroczeniu której musiał się on liczyć z amerykańską interwencją i obaleniem jego rządów. Tyle że Asad ją przekroczył, używając broni chemicznej wobec cywilów, i nic mu się nie stało.

To dzięki wstrzemięźliwości Obamy Rosja mogła wykorzystać szansę i pojawić się jako decydujący gracz w wojnie w Syrii. Dziś Asad nadal jest u władzy i znów kontroluje prawie całe terytorium, ale w porównaniu z sytuacją sprzed wojny jest teraz całkowicie uzależniony od Rosji.

Trump tego nie wymyślił, on zrobił tylko następny krok. Opuścił pozycję wiarygodnego mediatora w konflikcie bliskowschodnim i postawił wszystko na dwie karty: na Arabię Saudyjską i na Izrael. To na tych państwach spoczywa teraz ciężar utrzymania równowagi sił w regionie i powstrzymania Iranu od powrotu do swojego programu nuklearnego.

Podobny scenariusz można obserwować w okolicach Półwyspu Koreańskiego, który służył Trumpowi za tło do kolejnego bałwochwalczego wystąpienia z dyktatorem Korei Północnej, z którego wszakże nic konkretnego nie wynikało. Cały ciężar utrzymania stabilności w regionie spoczywa teraz na Korei Południowej, Japonii i Australii. Jeśli Kim Dzong Un przestanie zagrażać USA, to wątpliwe, aby Stany próbowały ograniczyć jego pole manewru.

Ani Trump, ani jego sekretarz stanu, ani ich otoczenie nigdy nie mówią wprost o swoich celach, o swojej strategii ani o tym, co dokładnie uzgodnili podczas takich spotkań jak ostatnio z Kim Dzong Unem i Władimirem Putinem. Nie mówią o tym ze względu na opinię publiczną w Stanach i na potencjalny opór ze strony tych Republikanów, którzy opowiadają się za wolnym handlem i utrzymaniem pozycji Stanów jako światowego hegemona, a także są tradycyjnie antyrosyjscy. Jeśli Trump chce ograniczyć rolę Stanów w Europie, to potrzebuje jakiegoś porozumienia z Rosją. Ale to nie on wymyślił „reset” z Rosją po rosyjskiej interwencji w Gruzji i to nie on wpuścił Rosję do Syrii – on co najwyżej może teraz ogłosić nowy „reset”.

Nacjonalizm jest bezpieczny tylko dla Amerykanów

Wszędzie na świecie nacjonałisci postulują rozszerzenie terytorium, nad którym chcą rządzić, o terytoria innych państw. W Europie i w Afryce mogą także współpracować przy wspólnym niszczeniu organizacji międzynarodowych i powiązań ponadnarodowych, przy budowaniu barier protekcyjnych i ograniczeń dla swobody podróżowania. Jednak kiedy próbują wcielić w życie swoje programy ekspansji terytorialnej, napotykać na opór dotychczasowych partnerów w innych krajach. Dlatego nacjonalizm jest śmiertelnym zagrożeniem dla tych regionów, gdzie poszczególne państwa mają pretensje terytorialne wobec siebie, gdzie ich granice nie pokrywają się z granicami grup etnicznych.

Ale tego w Ameryce Północnej nie ma. „Wielka Polska” to program odbierania „prastarych polskich terenów” Ukrainie, Litwie i Białorusi, „wielkie Niemcy” to program powrotu do dawnych ziem wschodnich, do Alzacji i być może nawet do Austrii i Czech. „Uczynić Amerykę znów wielką” nie zawiera w sobie dążenia do przyłączenia do Stanów Zjednoczonych ziem Kanady czy Meksyku. Z tego powodu amerykańscy nacjonaliści mogą bez ryzyka dla swojego kraju wspierać niemal każdy ruch nacjonalistyczny na świecie. Ten dzin, wypuszczony z butelki, Stanom Zjednoczonym zagraża akurat najmniej.

Zobaczmy to na innych przykładach: Francja zrobiłaby sobie niedźwiedzią przysługę, popierając baskijskich nacjonalistów, bo oni roszczą sobie pretensje do francuskiego kraju Basków; polski rząd zrobiłby sobie niedźwiedzią przysługę, popierając Alternatywę dla Niemiec (AfD), bo ta partia skupia też ludzi, którzy mają jeszcze otwarte rachunki z Polską. Mógłby starać się kreować „piątą kolumnę” wśród niemieckiej Polonii, ale ryzykowałby, że Niemcy zrobią to samo z mniejszością w Polsce. Ten scenariusz, wedle którego każdy szachuje sąsiada poparciem dla separatystów, Europa zna dobrze z okresu międzywojennego. Ale Trump i jego ludzie mogą z czystym sumieniem popierać szkockich, baskijskich, niemieckich, polskich, ukraińskich i francuskich nacjonalistów, bo oni interesom Stanów nie zagrażają, wręcz przeciwnie: można ich wykorzystać do destabilizacji niewygodnych rządów, które przeciwstawiają się protekcjonizmowi i izolacjonizmowi amerykańskiego prezydenta.

Trump już więc to robi: tu chwali szkockich nacjonalistów, tam krytykuje rząd Niemiec, posługując się retoryką AfD. Jeśli będzie jakiś jego sojusz z Putinem,

Trump jest protekcjonistą

– szlaki handlowe go nie interesują, a sojusze traktuje jak rodzaj mafijnego układu, w ramach którego słabszy płaci haracz silniejszemu, a jeśli nie ma czym, to albo bankrutuje, albo się go likwiduje.

to raczej nie w postaci nowego formalnego układu geopolitycznego, lecz właśnie w formie wspólnego wsparcia tych samych ruchów nacjonalistycznych ze strony Kremla i okołorządowych organizacji rosyjskich z jednej strony, oraz Białego Domu i prawicowych, proprezydenckich fundacji w Stanach z drugiej.

Pożegnanie z Pax Americana

Styl amerykańskiego prezydenta jest faktycznie nowy: obrażanie innych polityk za pomocą Twittera, zaskakujące wolty, zaprzeczanie własnym słowom, nieustanne zmiany współpracowników, dziecinne zachowanie. Ale sama jego polityka nowa nie jest. Otwarcie Chin na świat, ekspansja najpierw handlowa, potem dyplomatyczna tego wielkiego kraju, odbudowa kompleksu militarno-przemysłowego w Rosji, paraliż UE na skutek kryzysu strefy euro i brexitu – przekształciły *Pax Americana*, panujący na świecie po 1991 r., w faktycznie policentryczny układ, w którym USA są teraz nie jedynym hegemonem, lecz *primus inter pares*. Ta zmiana była już odczuwalna podczas drugiej kadencji Obamy, choć jej administracja była jeszcze przy-

wiązana do multilateralizmu, bo uważała organizacje międzynarodowe, regionalne sojusze i zagraniczne bazy wojskowe za narzędzie utrzymania wpływu Stanów Zjednoczonych w świecie. Trump jest tu bardziej konsekwentny: skoro amerykańska hegemonia jest nie do utrzymania, to należy jej atrybuty zlikwidować i ściąć koszty, jakie one powodują.

Faktycznie, szachowanie obcych rządów za pomocą ruchów nacjonalistycznych może się okazać równie skuteczne jak dotychczasowe inwestowanie w regionalne sojusze, organizacje międzynarodowe i bazy wojskowe, a może być przy tym o wiele tańsze. Tym bardziej że Trump (podobnie jak Putin) nie zamierza przyłączyć obcych ziem do swojego kraju, lecz jedynie wywierać skuteczną presję na inne rządy.

Różnica między Trumpem i jakimkolwiek innym prezydentem USA nie polega na tym, że robi coś, czego inny prezydent nie robił, lecz jedynie na tym, że robi to bardziej chaotycznie, bardziej egocentrycznie i w sposób mniej klarowny. Kiedy Obama zredukował kontyngenty wojskowe za granicą, uzasadniał to racjonalnie, twierdząc (często wbrew faktom), że sytuacja się uspokoiła, że koszty i ryzyko... Trump tymczasem wycofuje Stany Zjednoczone z innych regionów, osłabia ich sojusze i sojuszników, ale raz po raz ogłasza, że robi to, aby „Amerykę uczynić wielką”, i opakowuje to w patetyczny słowotok o tym, jak niesamowitych rzeczy dokonał.

To prawda – Trump jest jak słoń w składzie porcelany, i z punktu widzenia miłośników porcelany jego polityka musi się jawić jako irracjonalna i destrukcyjna. Problem w tym, że ona staje się racjonalna, jeśli przyjąć, że w przekonaniu prezydenta USA jego kraj powinien się obejść bez porcelany. © KLAUS BACHMANN

TP

Strona Świata

AUTORSKI SERWIS WOJCIECHA JAGIELSKIEGO

Jordania, Azerbejdżan, Indie, Izrael, Malezja, Liban, Afganistan, Pakistan, Zimbabwe – o tych miejscach tylko w ciągu ostatniego miesiąca pisał na naszych łamach jeden z najwybitniejszych europejskich reporterów, pisarz, były korespondent wojenny, a od września 2017 r. – dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, Wojciech Jagielski.

Zapraszamy do śledzenia jego wpisów w autorskim serwisie Strona Świata, dostępnym bezpłatnie pod adresem: tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata



GRAZYNA MAKARA

W łóżku ze słońcami

ALEKSANDER SMOLAR:

Europa musi dziś dawać światu nadzieję. Bo brak nadziei i perspektyw jest teraz dla nas najbardziej niebezpieczny i przeciwdziała wszelkim pozytywnym zmianom.

MARCIN ŻYŁA: Nieobliczalny prezydent Stanów Zjednoczonych, antyeuropejska Rosja, Unia bez pomysłu na siebie oraz wielkie wyzwania przyszłości – skutki wzrostu Chin czy miliony uchodźców klimatycznych – są prawie nieobecne w politycznych agendach. Jak Polska ma się odnaleźć w nowym świecie?

ALEKSANDER SMOLAR: Suwerenność nie polega dziś na samotnym podejmowaniu decyzji, tylko na zdolności budowania z innymi krajami więzi, które zwiększają bezpieczeństwo, stabilność i rozwój. Niebezpieczna jest więc polityka, która te więzi osłabia, izolując Polskę na rzecz fantazyjnych, międzymorskich konceptów. To tym bardziej ryzykowne, że mamy do czynienia z ogólnym osłabieniem Zachodu, z wewnętrznymi podziałami w Unii oraz z oddalaniem się Ameryki od Europy.

Dziś jest Trump, jutro Trumpa może nie być. Nie wszystko jest jego winą. Niepokój o politykę Stanów Zjednoczonych zaczął się wcześniej i wynika ze zmiany postawy społeczeństwa amerykańskiego. Wycofanie się Baracka Obamy z zapowia-

danej interwencji w Syrii w przypadku użycia broni chemicznej przyczyniło się do masowych mordów w tym kraju. Okazana przez Waszyngton słabość woli – do agresji rosyjskiej przeciw Ukrainie. Dla poprawy stosunków z Kremlem Obama wycofał się również ze zobowiązań podjętych wobec Polski i Czech w sprawie tarczy przeciwrakietowej.

Umacniając stosunki z Waszyngtonem, Polska musi stawiać przede wszystkim na Europę. Geografia nie determinuje wprawdzie dziejów, lecz odgrywa istotną rolę. Nasza stabilność, bezpieczeństwo i rozwój są ściśle związane z krajami Unii. Sądzę, że rozpad europejskiej wspólnoty jest nieprawdopodobny. Być może Unia będzie funkcjonować inaczej, opuszczając ją niektóre państwa – ale na pewno pozostanie jej coraz bardziej integrujący się rdzeń. Stąd waga przygotowywania naszego kraju do wstąpienia do strefy euro. Zamiast fantazjować, jak premier Mateusz Morawiecki, o Polsce jako pomoście między Europą a Ameryką, powinniśmy się stać jednym z państw wiodących w budowaniu wspólnej polityki zagranicznej i obronnej Unii.

Mamy tworzyć drugie NATO?

W żadnym wypadku. Europa musi jednak uniezależnić swój los od Stanów Zjednoczonych – zwiększyć nakłady na zbrojenia, wzmocnić integrację w ramach NATO i w ten sposób powiększać potencjał i wiarygodność całego Zachodu.

Na razie Trump wciąż jest. Pytany przez dziennikarza telewizji Fox News o sens „umierania za Czarnogórę”, podważa podstawową zasadę działania Sojuszu.

Nie pierwszy raz. Podczas ubiegłorocznego szczytu w Brukseli odmówił zwyczajowego potwierdzenia zasady, że NATO opiera się na kolektywnej obronie swoich członków. Sojusz jest silny za sprawą swojej wiarygodności w oczach przeciwników oraz wzajemnego zaufania państw członkowskich. A Trumpowi nie można ufać.

To znaczy, że nie można ufać Stanom Zjednoczonym?

Zaufanie zostało podważone. Dziennik „Financial Times” pisze, że europejscy członkowie NATO „muszą się zastanawiać, czy mają jeszcze partnera po drugiej stronie Atlantyku”. Angela Merkel, przywódczyni jednego z najbardziej dotąd oddanych Ameryce państw, już przed rokiem uznała, że Europa nie może liczyć na zewnętrzne gwarancje bezpieczeństwa. Ostatnio to powtórzyła.

Trump kieruje się wyłącznie wąsko pojmowanymi interesami Ameryki. Podczas tegorocznego szczytu NATO zaatakował sojuszników za zbyt niskie wydatki na obronę, jak zawsze mieszając kłamstwo z prawdą. Powiedział, że Stany Zjed-

Brama Chin do Europy, port w Pireusie, 2018 r.



noczone płacą nawet za 90 proc. „całego NATO”. To nieprawda. Trzy czwarte tych wydatków dotyczy regionów nie objętych misją Sojuszu, głównie Azji i Bliskiego Wschodu. Ameryka wydaje na NATO ok. 550 mln dolarów, europejskie państwa Sojuszu – 1,8 mld dolarów.

Prezydent USA prowadzi politykę nacjonalistyczną. Niszczy, po kolei, umowy i organizacje międzynarodowe: wycofuje Stany Zjednoczone z porozumień klimatycznych, układu w sprawie Iranu, czy rozmów o strefie wolnego handlu z Unią. Europę nazywa „wrogiem”, używa wobec niej słów gorszych, niż gdy mówi o Chinach czy Rosji. Wydaje się, że najbliższą jest mu w Europie do tych sił antyeuropejskich, z którymi skądinąd najlepsze stosunki ma Władimir Putin.

Jest możliwy sojusz rosyjsko-amerykański ponad Europą?

Myślę, że nie – i to nawet gdyby potwierdziły się hipotezy, że obecny prezydent USA jest szantażowany przez Moskwę. Trump to tradycyjny nacjonalista amerykański, którego celem jest wycofywanie się z zaangażowania za granicą, osłabianie konkurentów oraz polityka „dziel i rządź”. Europa i Chiny drażnią go jako potęgę ekonomiczną. Względem gospodarcze odgrywają u niego rolę istotniejszą od strategicznych. Widać to choćby po tym, jak lekceważąco traktuje własne służby specjalne czy zaangażowanie Rosji w niektórych regionach.

No właśnie. Sun Zi, starożytny myśliciel i strateg, pisał, że najwyższą sztuką wojny jest pokonanie wroga

bez walki. Czy nie tak dzieje się teraz – a mistrzem wojny jest Władimir Putin?

Nie sądzę, żebyśmy przegrywali wojnę. Rosja, kraj gospodarczo słaby, demograficznie wręcz zanikający, ma ograniczone możliwości. Wygrywa z Zachodem psychologicznie i w pojedynczych punktach świata, ale na dłuższą metę nie stanowi największego zagrożenia.

W KGB mówiono o Putinie, że jest skłonny do nadmiernego ryzyka. To typ pokerzysty: umie wyczuć, kiedy inni są słabsi. Skutki jego awanturnictwa widzimy w Syrii, na Ukrainie oraz w internecie, gdzie Rosja prowadzi skuteczną wojnę propagandową. Podjęta w Anglii próba zatrucia nowiczką Sergiejem Skripalą, b. oficera rosyjskich służb – w jej wyniku zginęła kobieta, która miała przypadkowy kontakt z tą substancją – to precedens. Nawet w czasach zimnej wojny Moskwa nie mogła sobie pozwolić na stosowanie broni chemicznej na terenie zachodniego państwa.

Nie jest to, obliczony na lata, plan osłabienia Zachodu?

Cele Rosji nie są ideologiczne. Nie stoi za nimi wola narzucenia własnego ładu, nowej utopii. Putin chce, aby Rosja na powrót stała się wielkim mocarstwem. Nie wierzy w dogonienie Zachodu – wobec tego chce go osłabić, zanarchizować, rozbić jego instytucje. Rosja finansuje ruchy skrajnie prawicowe i skrajnie lewicowe, które podważają od środka Unię Europejską. Utrzymuje bliskie stosunki z Węgry, Wiktora Orbána, z włoską Ligą, z Austrią, z ruchami opowiadającymi się

za brexitem czy z prezydentem Czech Milošem Zemanem.

W Stanach Zjednoczonych Rosja dążyła do zniszczenia kandydatury Hillary Clinton, a współpracownicy Donalda Trumpa utrzymywali bliskie stosunki z otoczeniem Kremla. W Helsinkach prezydent USA podjął próbę obrony Putina przed własnymi służbami specjalnymi. Po dwugodzinym, zamkniętym spotkaniu z Putinem nie uznał za stosowne nawet ich poinformować o zobowiązaniach, jakie podjął.

Dlaczego tak wielu przywódców portretuje dziś swoje kraje jako ofiary lub państwa znajdujące się w kulturowym zagrożeniu? Rosyjski opór przed Zachodem, polskie czy węgierskie fobie antymuzułmańskie... Nawet w hasło „Make America great again” można odnaleźć ukryte kompleksy. Skąd ta tendencja, oraz postępująca za nią retoryka misji – np. wszystkie te hasła o „obronie cywilizacji”?

To przede wszystkim wynik globalizacji, w tym wielkich ruchów migracyjnych, oraz kryzysu finansowego, który wybuchł w 2008 r. Jedno i drugie zagraża przede wszystkim krajom rozwiniętym, wewnątrznie je destabilizując. Stąd strach i próba manipulowania tymi zjawiskami przez polityków. Ogólne osłabienie Zachodu prowadzi do powrotu idei państwa narodowego jako tradycyjnego źródła bezpieczeństwa. Czy rzeczywiście mamy politykę misyjną? Trumpowi zarzuca się odejście od tradycyjnej misyjności polityki amerykańskiej: obrony demokracji i praw człowieka.

→



⇒ W retoryce rosyjskiej rzeczywiście są elementy misyjności. 18 marca 2014 r., po najeździe na Krym, Putin tłumaczył w słynnym przemówieniu, że Rosja broni tradycyjnych wartości kultury i cywilizacji europejskiej. Ta retoryka i konserwatyzm obyczajowy w jego wystąpieniach zafascynowała część kręgów konserwatywnych na Zachodzie. Zaczęto dostrzegać w nim sojusznika. Przykładem w Ameryce jest Pat Buchanan. Nawet umiarkowana konserwatystka francuska, filozofka Chantal Delsol, nie ciesząc się zresztą tą perspektywą pisała, że świat dzieli się już na siły rozpędzonej nowoczesności oraz te, które myślą o cywilizacyjnych korzeniach, o zachowaniu „tradycyjnych” wartości – i że Rosja może stać na czele tych drugich.

W swojej nowej książce „The Road to Unfreedom” historyk Timothy Snyder podaje przykład Iwana Iljina (1883–1954), prawostawnego myśliciela, autora doktryny o przeciwstawianiu się złu przy pomocy siły, jako patrona Kremla. Iljin – to idea mitycznego związku między władzą a narodem, oraz koncepcja nowoczesności jako spisku przeciw Rosji.

Putin wielokrotnie się na niego powoływał. Takie idee są w Rosji silnie zakorzenione. Czterdzieści lat temu Władimir Wołkow, francuski pisarz pochodzący z rodziny rosyjskich emigrantów oraz były funkcjonariusz służb specjalnych IV Republiki, wydał powieść „Retournement” [dosł. „odwrócenie” – termin stosowany m.in. przy werbowaniu szpiegów na drugą stronę – red.]. Bohater, pracownik ambasady sowieckiej w Paryżu, trafia przypadkiem do cerkwi. Jest zafascynowany i zbulwersowany. Staje się głęboko wierzący. Przewrotność tej sceny polega na tym, że w cerkwi dostrzega potęgę większą od potęgi partii komunistycznej. Nie jest wrażliwy na istotę chrześcijaństwa, lecz wyłącznie – na siłę. Myślę, że tak jest z Putinem. Choć z drugiej strony trzeba pamiętać, że Rosja pozostaje krajem w dużym stopniu zdechrystianizowanym. Jej chrześcijańskość to mit.

W latach 30. XX w. dwa potężne totalitaryzmy były rzeczywiście „misyjne”. Chciały podbić świat i miały gotowe projekty nowego ładu dla ludzkości. Dzisiaj nic takiego nie ma. Wyjątkiem są apoka-



GRAŻYNA MAKARA

ALEKSANDER SMOLAR (ur. 1940) jest ekonomistą i politologiem, prezesem Fundacji im. Stefana Batorego. W czasach PRL opozycjonista, od 1971 r. na emigracji. Po 1989 r. doradzał m.in. Tadeuszowi Mazowieckiemu i Hannie Suchockiej. Członek European Council on Foreign Relations.

liptyczne, nihilistyczne ruchy, które pojawiły się w świecie muzułmańskim.

Jaka idea dominuje?

Pole zdobywa populizm, rewolta przeciw elitom, pluralizmowi i ograniczeniom nakładanym na władzę polityczną np. przez prawo. W swojej prawicowej, dominującej wersji, promuje jedność etniczną i religijną. Ale w populizmie nie ma misji. Jako ideologia jest on bardzo płytki. Czerpie energię z siły protestu, z buntu, ze strachu przed zmieniającym się światem. Stanowi jednak zagrożenie dla nowoczesnej demokracji.

Mało kto zwrócił uwagę na to wydarzenie: latem ubiegłego roku

w Dżibuti, na wybrzeżu Morza Czerwonego, chińska marynarka założyła swoją pierwszą bazę zagraniczną. Pekin dąży do absolutnej dominacji na Morzu Południowochińskim. Czy obok budowy nowych „Jedwabnych Szlaków” na lądzie Chiny zaczną konkurować z Waszyngtonem o kontrolę nad morskimi szlakami handlowymi? I czy przy swoim ogromnym potencjale nie narzucą kiedyś światu własnej koncepcji wymiany międzynarodowej?

Chiny akceptują układ ustanowiony po II wojnie światowej, próbują natomiast zdobyć miejsce przy stole największych. Zapytany w 1968 r. o skomplikowane stosunki ze Stanami Zjednoczonymi

ówczesny premier Kanady Pierre Trudeau porównał je do spania w jednym łóżku ze słoniem. „Bez względu na to, jak przyjazne jest zwierzę, odczuwa się każde jego drgnięcie” – powiedział. Dziś to powiedzenie można zastosować w kontekście Chin. Ich dynamiczny rozwój automatycznie zmienia stosunki międzynarodowe. I jest źródłem poważnych zagrożeń.

Tukidydes, opisując wojny peloponeskie, pokazywał na przykładzie Aten i Sparty pułapkę nieuniknionego konfliktu między starą, dominującą potęgą a potęgą nową, która dopiero rośnie. Jego rozważania inspirują dziś analityków, którzy zadają sobie pytanie, czy można uniknąć otwartego konfliktu między USA i Chinami.

Chińczycy są silnie obecni w Afryce i Ameryce Łacińskiej. W Europie wykupili już Pireus, główny port Aten. „Nowy Jedwabny Szlak” to sposób na zwiększenie ich obecności również w naszym regionie. Wzrost potęgi Chin musi doprowadzić do zaburzeń. Inne państwa albo będą musiały pogodzić się z tym i jakoś dostosować do nowych warunków, albo pójść na konfrontację.

Czy można wyobrazić sobie spokojne zintegrowanie rosnących Chin z istniejącym układem międzynarodowym? To pytanie, na które jeszcze nie ma odpowiedzi. Pierwsza wojna światowa pokazała, że konflikt może wybuchnąć nawet wbrew woli potęg, które będą w nią zaangażowane. Nie można też wykluczyć, dziś raczej słabo obecnej w Chinach, agresywnej polityki Pekinu. To najpoważniejszy problem strategiczny, który wpłynie na przyszłość świata.

O tym, że Chiny są atrakcyjne dla wielu despotów w Afryce, ponieważ oferują inwestycje, nie patrząc na przestrzeganie praw człowieka, wiadomo od lat. Ale Europa, pompująca w rejon Sahelu duże pieniądze, aby powstrzymać ruchy migracyjne – co w takich krajach jak Sudan oznacza też pośrednią współpracę np. z grupami, które kiedyś uczestniczyły w ludobójstwie w Darfurze – to już jednak nowość. Czy Unia na dobre odchodzi od polityki zagranicznej opartej na wartościach?

Obawiam się, że rola realizmu w stosunkach międzynarodowych będzie rosła. Złota era praw człowieka rozpoczęła się w 1975 r. na konferencji KBWE w Hel-

sinkach, gdzie Zachód przeforsował tzw. trzeci koszyk – zasadę prawa wglądu w to, jak państwa przestrzegają praw człowieka. Jednym z największych osiągnięć opozycji demokratycznej w Polsce, Związku Sowieckim, Czechosłowacji czy na Węgrzech było to, że umowę helsińską potraktowano poważnie i Zachód nie mógł się od niej zdystansować. Za prezydentury Jimmy'ego Cartera takie podejście stało się oficjalną doktryną Stanów Zjednoczonych.

Lata 90. XX w. to największy tryumf i równocześnie upadek tej idei. W Jugosławii Zachód przyznał sobie prawo do militarnego zaangażowania, gdy prawa ludności Kosowa były poważnie naruszane. Okazało się jednak, że idea tzw. interwencji humanitarnych jest niemożliwa do utrzymania. Po pierwsze nie można było jej stosować przeciwko np. Chinom za to, co czyniły w Tybecie, czy wobec Rosji – za zbrodnie w Czeczenii. Taką politykę, motywowaną szlachetnymi względami, da się prowadzić tylko wobec małych i słabych tyranii. Po drugie zrozumiano, że w krajach demokratycznych obywatele są w stanie zaakceptować wyrzeczenia i ryzyko, które łączą się z wojną, tylko wtedy, gdy zagrożone są istotne interesy ich państw.

Czy Europejczycy są dziś gotowi na inny układ – usprawiedliwienie łamania praw człowieka – jeśli tłumaczy się to troską o ich bezpieczeństwo własne?

Nikt tego otwarcie nie powie, ale, obawiam się tego, będzie rosła obojętność, maleć zaś ilość informacji o zbrodniach popełnianych na Bliskim Wschodzie czy w Afryce. Najpoważniejszym problemem Europy są dziś masowe migracje z Południa. To dotyczy również Polski. Po epoce „zielonej wyspy” rozwoju nie możemy udawać, że jesteśmy wyspą bezpieczeństwa. Wzrost demograficzny w Afryce jest tak wysoki, a zagrożenia związane z rozkładem państw, konfliktami i zmianą klimatu tak poważne, że będą wypychały na szlaki migracyjne setki milionów ludzi. Mówi się dużo o milionie migrantów, których w latach 2015-16 przyjęły Niemcy, ale już obecnie samych uchodźców jest na świecie prawie 69 mln.

Michel Rocard, były premier Francji, powtarzał, że Europa nie jest w stanie przyjąć całego nieszczęścia świata. Ale jest to dla nas największe wyzwanie.

Europa musi zaangażować się nie tylko w zabezpieczanie granic Unii, ale – wyzwanie znacznie bardziej poważne – w przyspieszony rozwój Afryki. Mówimy tu często o państwach upadłych, skorumpowanych – w ślad za pomocą musi więc iść powstanie swoistej rady zarządzającej środkami, która by narzucała w tych krajach ich uczciwe wydawanie.

Brzmi to bardzo kolonialnie.

Nie chodzi o to, aby sięgać do wzorów kolonialnych. Z drugiej strony należy wyciągnąć wnioski z okresu dekolonizacji. Nie mówię o utopii rządu światowego, ale o odpowiedzialności globalnej. A w każdym razie kontynentalnej. Trzech kontynentów – Europy, Ameryki Północnej i Afryki.

Jak nie dopuścić do masowego napływu migrantów, jednocześnie okazując wielkoduszność i przyjmując ludzi, którzy są zagrożeni? Jak nie drenować elit tych państw? Jeżeli Europa nie będzie w stanie nad tym zapanować, nasza stabilność i demokracja mogą być zagrożone. Już dzisiaj widzimy, że antymuzułmańska argumentacja Orbána zyskuje na popularności w krajach, które do niedawna prowadziły otwartą politykę migracyjną. Tendencje autorytarne mogą zwiększyć się również w krajach, które tradycyjnie są ostoją demokracji. Widzimy wzrost sił skrajnych nawet w Niemczech, Szwecji i Francji.

Ilu poważnych zjawisk, które zaczynają kształtować nasz świat, jeszcze nie dostrzegamy? Rośnie nowy konflikt, widoczny już lokalnie w Afryce saharyjskiej, między cywilizacją arabską a subsaharyjską – jego tłem jest rasizm skierowany przeciwko czarnoskórej ludności afrykańskiej.

Ma pan rację – to problem niewolnictwa. O niewolnictwo oskarża się cały czas Amerykę czy tradycję europejską, ale na wszelki wypadek, z uwagi na polityczną poprawność, przemilcza się to, które było uprawiane w krajach arabskich. Ono nie znikło zupełnie. Pamiętamy z ubiegłego roku wstrząsające filmy z Libii – aukcje, na których sprzedaje się ludzi.

Właśnie dlatego Europa musi dziś stwarzać nadzieję. To, co jest najbardziej niebezpieczne, co przeciwdziała wszelkim pozytywnym zmianom – to brak nadziei i perspektyw. Bardzo bym chciał, aby istotne siły na naszym kontynencie – mam nadzieję, że także z udziałem Polski – nakreśliły wyraźny plan w dwóch dziedzinach: umacniania potencjału obronnego i wspólnej polityki zagranicznej Unii – przede wszystkim wobec zagrożenia ze strony Rosji i na rzecz pomocy dla Ukrainy – oraz wielkiego planu odnoszącego się do Afryki. Nie możemy sobie pozwolić na silną destabilizację na naszych granicach. Naszych – to znaczy na granicach Unii Europejskiej.

© Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 19 lipca 2018 r. w Krakowie
zmarła w wieku 93 lat

nasza najukochańsza Mama, Babcia i Prababcia,
prawy, szlachetny Człowiek

ś.†p.

dr med. Ewa Obrąpalska

córka Eugeniusza Kwiatkowskiego

Nabożeństwo żałobne odprawione zostanie w czwartek 26 lipca 2018 r.
o godz. 12.20 w kaplicy na cmentarzu Rakowickim,
po czym nastąpi odprowadzenie Prochów Zmarłej
na miejsce wiecznego spoczynku.

Pogrążeni w żałobie

SYN, SYNOWA, WNUKI I PRAWNUKI

PAWEŁ

Śpiewak: Wezwanie Jeremiasza



HISTORIA PROROKA JEREMIASZA ŁĄCZY SIĘ Z CZASEM panowania króla Jozjasza. Władca Judy zginął w roku 609 przed wspólną erą, Jeremiasz usłyszał wezwanie od Boga i Jemu tylko zaczął służyć w roku 621. Jerozolima została zdobyta przez Babilon w roku 587. Księga Je-

remiasza odnosi się do czasów sprzed i po zburzeniu Świątyni. Dużo się dzieje, a wszystko zaczyna od wielkiego kryzysu geopolitycznego, który ogarnął Bliski Wschód.

Zacząć wypada od początków: asyryjskie imperium zostało zniszczone przez Babilon i nowi władcy zaczęli, jak ich poprzednicy, realizować ekspansjonistyczną politykę. Rozszerzali swoje panowanie, by wreszcie zaatakować stolicę Judy i wziąć w niewolę arystokrację judejską oraz mieszkańców Jerozolimy. Wszystko to rozumiał w języku polityczno-militarnym: większe państwo pożera mniejsze, a żeby zapewnić sobie spokój, podbitą ludność rozprasza i osłabia. Jednak niezwykłość tej historii widzimy dzięki wpleceniu jej w historię Boga. Polityczny kryzys staje się w tej perspektywie kryzysem o charakterze religijnym, rozumianym jako wyraz woli JUD HEJ WAW HEJ. On okazuje się arbitrem i władcą ziemskich wydarzeń. Posługuje się wrogami Hebrajczyków i obcymi żołnierzami. To bardzo trudne do pojęcia, jak trudne czy niemożliwe zdają się wszelkie religijne ustalenia dotyczące ostatniej wojny światowej oraz zbrodni na ludzie wybranym.

To moment w historii dzieci Jakuba zasadniczy. Kończy się epoka rządów władców Dawidowych. Kończy się państwo Judejskie. Zmienia się zasadniczo forma religijności Izraela. Większość mieszkańców królestwa Dawidowego, jeśli nie wszyscy, ulega rozproszeniu. Jedni zostają uprowadzeni na północ. Inni z obawy przed Babilonem umknęli do Egiptu, gdzie czekała ich śmierć. Pustoszeje ziemia. Straszny to moment w historii Judy. Nim upadnie Babilon, musi minąć kilka stuleci.

Jeremiasz na koniec rozpraw daje ludowi nadzieję. Kiedyś Babilon upadnie. Lud powróci na swoje ziemie. Prorok wierzy, że dzięki JHWH Juda znów odzyska swoje państwo. Nie sposób rozstrzygnąć, czy ta wiara opiera się na kalkulacjach geopolitycznych, czy też wynika z ufności w Boga. Prawdopodobnie jedno i drugie. Najważniejsza u Jeremiasza jest wiara w przymierze. Ono jest fundamentem istnienia wspólnoty religijnej i politycznej.

I to przymierze nie zostało w 587 roku zerwane. Tylko na lud spadły straszne kary. Jozjasz mimo swej gorliwości nie zdołał ocalić państwa przed klęską. Gniew i popędliwość Pana znalazła swoje narzędzie w królu Babilonu, który „nie przepuścił ani młodzieńcowi, ani pannie, starcowi i zgrzybiałemu, wszystkie podał w ręce jego” (2 Krm 36, 17).

Pamięć o zburzeniu Świątyni jest ważną częścią liturgicznego kalendarza Żydów. Święto dedykowane tym wydarzeniom obchodzone w najbliższych dniach nazywa się Tisza be-Aw. Dzień wiaty dzień miesiąca Aw.

©

O. WACŁAW

Oszajca: Krótka pamięć



OD WYJŚCIA Z EGIPITU I PRZEJŚCIA PRZEZ Morze Czerwone nie upłynęło wiele czasu, a już: „Cała społeczność Izraela szemrała na pustyni przeciwko Mojżeszowi i Aaronowi. Izraelici narzekali: »Oby dane nam było umrzeć, zgodnie

ze zrządzeniem Pana, w Egipcie, siedząc nad garnkiem mięsa, jedząc chleb do sytości! Wy zaś wywiedliście nas na pustkowie, by całe to zgromadzenie zamorzyć głodem«”. A przecież Mojżesz podjął się wyprowadzenia Izraelitów z „domu niewoli” nie dla jakiegoś widzimisie, ale dlatego, że faraon, stosując terror, rozpoczął eksterminację narodu. Jak widać, pamięć o tym śmiertelnym zagrożeniu szybko się zatarła i „dom niewoli” zaczął się jawić jako miejsce najbezpieczniejszego pod słońcem bytowania. Co gorsza, zapomniano o rzeczy jeszcze po stokroć ważniejszej – że to przede wszystkim Bóg, owszem, przy udziale Mojżesza, wyprowadzając swój lud z Egiptu, swój lud ocalił. Dlatego owa manna, którą Bóg nakarmił zgłodniałych, jest znakiem-cudem Bożego miłosierdzia, miłości nieznaającej żadnych uwarunkowań i granic. Po wiekach sytuacja się powtórzy. Cudem nakarmiony, syty tłum sens tego wydarzenia odczyta opacznie.

Kiedy Jezus po nakarmieniu wielotysięcznego tłumu dwiema rybami i pięcioma chlebami zorientował się, że chcą Go obwołać królem, ukrył się. Ale tłum, nie dając za wygraną, ruszył za Nim. Odnalazłszy Go, zaczęli się dopytywać, jakim cudem znalazł się w tym miejscu. W odpowiedzi usłyszeli coś, czego się raczej nie spodziewali: „Szukacie Mnie nie dlatego, że zobaczyliście znaki, lecz dlatego, że najedliście się chleba do syta. Zabiegajcie nie o taki pokarm, który ulega zniszczeniu, lecz o ten, który przetrwa na życie wieczne (...) To Ja jestem chlebem życia”.

Z dalszego ciągu rozmowy wynika, że Jezus swoich słuchaczy nie przekonał, skoro znowu zażądali cudu, który by Jezusa w ich oczach uwiarygodnił. Skąd więc bierze się w nas taka odporność na fakty i ich religijną wymowę? I czy dotyka ona również chrześcijan?

Papież Franciszek mówi: „Wielu ochrzczonych żyje tak, jakby Chrystus nie istniał. Powtarzają gesty i znaki wiary, ale nie odpowiada im rzeczywista akceptacja osoby Jezusa i Jego Ewangelii”. Jeśli tak, to co takiego sprawia, że kochamy sakramenty, liturgię i jednocześnie odpychamy od siebie Jezusa? Franciszek odpowiada: „To skandal wcielenia: szokujące wydarzenie Boga, który stał się ciałem, myślącego ludzkim umysłem, pracującego i działającego ludzkimi rękoma, kochającego ludzkim sercem, Boga, który się trudzi, je i śpi jak jeden z nas (...) To jest powodem zgorszenia i niewiary, w każdym czasie, także i dzisiaj”. Po prostu łatwiej zasypać kadzidło niż uwierzyć, że Jezus żyje i umiera np. w uchodźcach.

©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Biada!

Mówi Jezus:
„Kto szuka, niech
nie ustaje, aż znajdzie.
A gdy znajdzie,
zatrwoży się.
A gdy się zatrwoży
– zdumieje się.
I będzie panował
nad wszystkim.
I odpocznie”.

EWANGELIA TOMASZA



Pełnia radości
zwiąże się osiągnięciem
celu. (...) To po prostu
brak czegośkolwiek,
co można by było
dodać do radości.

ZHUANGZI



MOCNE SŁOWO USŁYSZELIŚMY w ubiegłym tygodniu w liturgii. Słowo skierowane do miast, które były świadkami większości Jego nauczania i cudów – do Korozainu, Betsaidy i do Kafarnaum, które po

dziś dzień nosi nazwę „Miasto Jezusa”. Dwa pierwsze zostały przyrównane do Tyru i Sydonu; Kafarnaum do Babilonu i Sodomy.

Tyr i Sydon to miasta pogańskie – symbol oporu wobec Boga, piętnowane w szczególności przez proroka Joela za pewność siebie zbudowaną na bogactwie, a zwłaszcza na pieniądzu otrzymanym za zdradę (zob. Jl 4, 4-8).

Babilon jest wywołany Jezusowym oskarżeniem Kafarnaum, które jest z kolei cytatem z proroka Izajasza: „aż do nieba masz być wyniesione? Aż do otchłani zejdziesz”. Babilon – biblijny symbol bałwochwalstwa: pełnego pychy kultu władzy nad innymi narodami. Do Babilonu dodana jest Sodomia – symbol nieczystości.

W sumie otrzymujemy więc znaną „triadę”: chciwość/pożądliwość oczu (Tyr i Sydon), nieczystość/pożądliwość ciała (Sodomia) i pychę/pożądliwość władzy (Babilon). Trójtwarzowe zarzewie grzechu tkwiące w każdym z nas. Trzy „ołtarze” łatwo konkurujące z ołtarzem Boga: pieniądz, seks i władza.

Wymienione przez Jezusa miasta zostają uznane za „gorsze” nie dlatego, że dopuściły się „gorszych” czynów. Nie chodzi o to, że Betsaida czy Korozain nagromadziły niegodziwych skarbów więcej niż Tyr i Sydon razem wzięte. Nic też nie wiadomo o tym, by mieszkańcy Kafarnaum swoim rozpasaniem erotycznym przebili Sodomę, a swoim tyranstwem i pychą Babilon. Chodzi o to, że ich niemal codzienne przebywanie z Jezusem nie koryguje w znaczący sposób ich myślenia i działania. Znają

Jezusa ubogiego. Nie leczy ich to jednak z chciwości i budowania poczucia własnego bezpieczeństwa na pieniądzu i na tym, co posiadają. Znają Jezusa żyjącego w czystości. Człowieka, który obrał celibat jako drogę miłości do każdego, w pełni wolnego i dojrzałego w przeżywaniu własnej seksualności. Bycie z Nim wszakże nie leczy w znaczącym stopniu ich nieuporządkowania w podejściu do seksu. Znają Jezusa pokornego, który „przyszedł nie aby Mu służyło, lecz aby służyć, i dać swoje życie na okup za wielu”; znają Go jako tego, który „przyjął postać niewolnika” – ale to wcale nie przekłada się na konieczne korekty w ich pojmowaniu władzy i ambicji.

„Miasta, w których zostało dokonanych wiele Jego cudów”: Korozain, Betsaida, Kafarnaum – to dziś: Kościół – „Miasto Jezusa” – my wszyscy razem w Kościele, i każdy z nas z osobna.

Jesteśmy w Nim na co dzień świadkami Jezusowych znaków: potężnych i świętych sakramentalnych znaków.

Nie uciekajmy od tej Ewangelii, również wtedy, gdy Jezus z bólem wypowiada ją do nas ustami ludzi słusznie zgorszonych: naszą pazernością na pieniądz i władzę albo kolejnymi skandalami obyczajowymi z naszym udziałem.

Otwórzmy się na sąd, jaki ta Ewangelia z sobą niesie. Nie stawiamy oporu Duchowi Świętemu, który „przekonuje nas o grzechu”. Ale również przyjmijmy chętnie lekarstwo, które Ewangelia przepisuje.

Czy jest jakieś lekarstwo na potrójną pożądliwość, upokarzającą każdego z nas? Jezus mówi, że jest: bliskość z Nim – nie bierne oglądanie Jego działań, ale rzeczywista komunika z Nim. Tak głęboka i zażyła, że zdolna nawracać nasze myślenie i działanie. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (29 VII – 5 VIII)

17. niedziela zwykła: 2 Krl 4, 42-44;

Ps 145; Ef 4, 1-6; J 6, 1-15;

Poniedziałek: Jr 13, 1-11; Pwt 32, 18-19. 20. 21; Mt 13, 31-35;

Wtorek: Jr 14, 17-22; Ps 79; Mt 13, 36-43;

Środa: Jr 15, 10. 16-21; Ps 59; Mt 13, 44-46;

Czwartek: Jr 18, 1-6; Ps 146; Mt 13, 47-53;

Piątek: Jr 26, 1-9; Ps 69; Mt 13, 54-58;

Sobota: Jr 26, 11-16. 24; Ps 69; Mt 14, 1-12;

18. niedziela zwykła: Wj 16, 2-4. 12-15;

Ps 78; Ef 4, 17. 20-24; J 6, 24-35.

Wybrał PIOTR SIKORA



PAŃSTWO PONIŻEJ OCZEKIWAŃ

PiS przekonał obywateli, że na więcej poza odrobiną gotówki w kieszeni nie mogą liczyć.

W gruncie rzeczy nigdy nie liczyli na więcej od państwa, tyle że teraz ją naprawdę dostali.

PAWEŁ MARCZEWSKI

STOSUNEK POLAKÓW DO PAŃSTWA PO 1989 roku opisywały dwie całkowicie przeciwstawne narracje. Z jednej strony mieliśmy zaradność, nierzadko noszącą cechy niemalże heroiczne, kupców budujących na bazarach kapitalizm „szczękowy” i podnoszących gospodarkę z zapaści lat 80. Z drugiej – już niemalże przysłowiowych pracowników upadających PGR-ów i fabryk, którzy nie potrafili pogodzić się z zamykaniem swoich zakładów pracy.

Zamknięte osiedla z podziemnymi parkingami dla ludzi sukcesu przeciwko blokowiskom z trzepakami jako punktami zbornymi dla pozbawionej perspektyw młodzieży; korzystający z prywatnej opieki zdrowotnej w klimatyzowanych przychodniach przeciwko stojącym w kolejkach pacjentom publicznej opieki zdrowotnej; unikający płacenia zobowiązań poprzez fikcyjne rezydencje podatkowe na Cyprze przeciwko żyjącym z wyłudzonego od państwa rent – obie narracje mają swoich bohaterów i swoje czarne charaktery. Podkreślając jeden z aspektów polskiej transformacji, budowały odrębne światy, które nie tylko nigdy się nie spotykały, ale były sobie wrogie i obwiniały się nawzajem o swoje położenie. Nie możesz znaleźć pracy na uczciwych warunkach i z sensownym wynagrodzeniem? Nic dziwnego – pracodawcy porejestrowali

swoje firmy za granicą i ani myślą wywiązywać się z zobowiązań. Nie płacisz podatków w Polsce? Jasna sprawa – przecież nie chcesz, żeby twoje ciężko zarobione pieniądze szły na utrzymanie nierobów, którzy wolą oszukiwać przy orzekaniu niezdolności do pracy, niż uczciwie na siebie zarabiać.

PiS od lewa do prawa

Te dwie narracje leży u podstaw wyzyskanego politycznie przez PiS podziału na Polskę liberalną i solidarną, ale nigdy nie opisywały Polski prawdziwej, we wszystkich jej sprzecznościach odziedziczonych zarówno po PRL, jak i burzliwej transformacji, niejednokrotnie nieprzystającej do marzeń i nadziei. Niejednokrotnie też odsłaniały swoje ograniczenia i nieprzystawalność do rzeczywistości. Polska gospodarka wolnorynkowa zna zarówno przypadki załóg dawnych państwowych zakładów z sukcesem je przejmujących i prowadzących jako dobrze prosperujące spółdzielnie, jak i biznesmenów, którzy istotną część zysków swoich przedsiębiorstw przeznaczali na cele społeczne. Mało kto był jednak zainteresowany spotkaniem tych dwóch światów i przełamaniem stereotypowych narracji.

Dopóki do władzy nie doszedł w 2015 r. PiS i uznał, że dalsze podgrzewanie ➔



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

→ podziału na Polskę solidarną i liberalną nie jest już w jego interesie. Partia nie chciała już walczyć z liberałami-afetami – ci częściowo skompromitowali się sami przez skojarzenie z ośmiorniczkami, a częściowo porzucili ortodoksyjny liberalizm, na przykład cofając wolnorynkową reformę systemu emerytalnego. Co więcej, jako partia władzy PiS nie mógł już prowadzić polityki wrogiej wobec istotnej części społeczeństwa. Musiał znaleźć sposób, jak się pozbyć etykiety ugrupowania niechętnego biznesowi i nierozumiejącego wyzwań współczesnej gospodarki. Jednocześnie chcąc zatrzymać przy sobie elektorat oczekujący osłon socjalnych i zagarnąć tę jego część, która głosowała do tej pory na PSL czy SLD, musiał pozostać konserwatywną partią socjalną.

W ten sposób narodziła się dzisiejsza pisowska hybryda, która zastąpiła podgrzewany wcześniej podział. Mieszczą się w niej wielkie Specjalne Strefy Ekonomiczne, „przedsiębiorcze państwo” spod znaku brytyjskiej ekonomistki Mariany Mazzucato, inwestujące w rozwój nowoczesnych technologii, i inne wielkie programy napędzające rozwój firm prywatnych. Ale jest w niej także miejsce na program Rodzina 500 plus czy wyprawkę szkolną w wysokości 300 zł na dziecko. Dla każdego jakaś forma wsparcia – państwowe inwestycje dla przedsiębiorców, świadczenia pieniężne dla rodzin pasujących do konserwatywnego wzorca.

W samej opiekuńczej polityce państwa nie ma niczego nagannego – tę funkcję polskie państwo przez ponad dwie dekady od przełomu demokratycznego wyraźnie zaniedbało. Powinna jednak ona prowadzić do zwiększenia bezpieczeństwa socjalnego obywateli, pomagać im realizować ich aspiracje i przygotowywać do możliwie bezbolesnego dostosowania się do zmieniającego się świata. Tymczasem konserwatywno-klientelistyczna hybryda stworzona przez PiS spełnia jedynie tę pierwszą funkcję, a i to w stopniu wyraźnie niewystarczającym do społecznych potrzeb, o czym więcej za chwilę.

Można powiedzieć, że to już i tak więcej, niż zdołali zrobić poprzednicy. Problem jednak w tym, iż poprzestając na ta-

kim stwierdzeniu zgadzamy się na państwo poniżej jego możliwości i powinności. Być może zaraz po 1989 r., wychodząc z głębokiego kryzysu ekonomicznego, innego mieć nie mogliśmy (a może po prostu nie mogliśmy go sobie wyobrazić). Dziś możemy. I nie powinniśmy dać sobie wmówić, że zamiast niego wystarczy nam oferta PiS jako partii funkcjonującej na zasadzie „dla każdego coś miłego”.

Liberałowie sprzed dekady

Po sukcesie wyborczym PiS obóz gospodarczego liberalizmu był całkowicie zdeorientowany i w dużej mierze pozostaje takim do dziś. Dzień po wyborach w 2015 r. Jacek Rostowski napisał w komentarzu dla Project Syndicate, że fakt, iż Polacy nie chcieli dłużej u władzy rządu odnoszącego największe gospodarcze sukcesy w Europie (utrzymującego przez osiem lat średni wzrost na poziomie 3,2 proc. PKB i zwiększającego realne dochody na głowę klasy średniej o 28 proc.), można wytłumaczyć jedynie poważnymi błędami w komunikacji między władzą a elektoratem. Wyjaśnienie jest w gruncie rzeczy proste, przekonywał Rostowski: rząd niedostatecznie chwalił się swoimi sukcesami i pozwolił, by miejsce propagandy sukcesu zajęła mitologia Polski w ruinie.

Jeśli chodzi o myślenie o roli państwa, liberalna opozycja do dziś nie posunęła się dalej niż minister Rostowski zaraz po nocy wyborczej. Co najwyżej zbudowała własną wersję opowieści o Polsce w ruinie, tym razem doprowadzonej do upadku przez rządy prawicy. Tymczasem dla tych, którzy śledzili wyniki sondaży badających oczekiwania Polaków wobec państwa i stosunek do gospodarki rynkowej, brak masowego entuzjazmu dla trzyprocentowego wzrostu nie powinien dziwić. Po pierwsze Polacy nie wierzyli, że dobra sytuacja gospodarcza kraju jest wyłączną zasługą rządu. I ten sceptycyzm się potwierdził, kiedy po zmianie u steru nie nastąpiło wielkie gospodarcze załamanie. Po drugie, po kryzysie ekonomicznym w 2008 r. rosnąca na całym świecie nieufność do niekontrolowanej przez państwo gospodarki rynkowej wzrosła również w Polsce. Z badań CBOS, podsumo-

wanych w raporcie Fundacji Kaleckiego „Czy Polacy kochają wolny rynek? Ile państwa w gospodarce?”, wynika, że w porównaniu z rokiem 2009 pięć lat później wyraźnie zmalała liczba osób uważających, że „gospodarka kapitalistyczna, oparta na swobodnej, prywatnej przedsiębiorczości, jest najlepszym systemem dla naszego kraju” (z 59 do 50 proc.).

Przywoływane przez autorów raportu badania profesora Juliusza Gardawskiego, prowadzone wśród małych i średnich przedsiębiorców, dowodzą ponadto, że wśród grupy zawodowej, która zgodnie z wyobrażeniami ortodoksyjnych liberałów powinna bezwarunkowo popierać swobody gospodarcze i domagać się od państwa gospodarczej powściągliwości, dominowało poparcie dla dopłacania przez państwo z budżetu do rozwoju nowych technologii i tworzenia nowych polskich przedsiębiorstw. Kiedy premier Morawiecki posługuje się ukutym przez Marianę Mazzucato określeniem „przedsiębiorcze państwo” (premier napisał przedmowę do polskiego wydania jej pracy pod tym tytułem), zdaje się odpowiadać na przynajmniej część spośród tych oczekiwań. Nie powinno zatem dziwić, że przedsiębiorcy nie stanęli murem za liberałami, tylko woleli jechać na Forum Ekonomiczne do Krynicy i okłaskiwać kolejnych Ludzi Roku – Jarosława Kaczyńskiego (2014), Viktora Orbána (2015) i Beatę Szydło (2016).

Wzrost wymagań wobec państwa nie dotyczy jednak tylko przedsiębiorców. Ogromne poparcie, jakim cieszy się program Rodzina 500 plus, dowodzi, że Polacy chcieliby, aby rząd wspierał z budżetu nie tylko nowe technologie, ale i pomagał finansowo rodzinom. Liberałowie okazali się po raz kolejny nieprzygotowani do tego wyzwania. Początkowo sięgnęli po tradycyjny repertuar odpowiedzi, oskarżając PiS o rozdawnictwo i zadłużanie państwa. Problem z tą odpowiedzią polega jednak na tym, że ukuto ją w innych realiach politycznych i do atakowania innego wroga. Zarzuty rozdawnictwa i zaspakajania roszczeniowości pochodzą ze słownika lat 90., kiedy usiłowano za ich pomocą zdelegitymizować pewne kon-

kretnie grupy zawodowe upominające się o wsparcie państwa i wyrównanie negatywnych skutków transformacji gospodarczej. Ponieważ chodziło o ściśle określone środowiska, można było je ludziom przedstawiać jako egoistyczne i zarzucić im odmowę udziału w wielkim dziele budowy demokracji. O podobny egoizm trudno jest oskarżyć 77 proc. społeczeństwa, które według badania CBOS z marca 2017 r. popierało program Rodzina 500 plus. Co więcej, w tej grupie są również ludzie nieotrzymujący świadczenia na dzieci (66 proc. spośród nich popiera program) oraz bezdzietni (poparcie 76 proc.). Wobec osób, które nie są beneficjentami programu, a jednak uważają go za potrzebny, nie sposób zastosować dawnego argumentu o roszczeniowości.

Liberalna opozycja PO i Nowoczesnej zorientowała się po jakimś czasie, że te oskarżenia rodem z początków transformacji ustrojowej nie działają. Porzuciła je zatem na rzecz dwóch strategii – przemilczania i przeliczowywania. Popierany program społeczny PiS-u nie pasował do jej wizji „Polski w ruinie bis”, więc wołała albo w ogóle o nim nie mówić, albo próbowała go prześcignąć – stąd hasło Grzegorza Schetyny o „rozszerzeniu 500 plus” i program „Aktywna Rodzina” Nowoczesnej, według którego rodzice otrzymywaliby na każde dziecko 250 zł. Były to jednak propozycje czysto reaktywne. Opozycja nie potrafiła i nie potrafi wskazać, dlaczego polityka społeczna PiS jest w gruncie rzeczy polityką poniżej oczekiwań Polaków, nie pozwala bowiem na skuteczne rozwiązanie wyzwań cywilizacyjnych, przed jakimi stoi kraj.

Polityka świętego spokoju

Przyczyn tego impasu szukać należy nie tylko w stygmatyzującym i nieadekwatnym do dzisiejszych realiów słowniku z lat 90. Problem polega na tym, że PiS łączy z częścią polskich liberałów protekcyjno-liberalne podejście do społeczeństwa. Choć to może zaprzeczać naszej intuicji, zarówno konserwatyści z PiS-u, jak i liberałowie z PO dochodzą w gruncie rzeczy do podobnych wniosków. Uważają, że Polacy chcą przede wszystkim pieniędzy i świętego spokoju. Różnią się co do recept na to, ile i skąd tych pieniędzy powinno się wziąć. Natomiast co do świętego spokoju pozostają zgodni – państwo nie jest ich zdaniem od tego, by kształtowało przyzwyczajenia ludzi, nie ma aktywnie szu-

PiS łączy z częścią polskich liberałów protekcyjno-liberalne podejście do społeczeństwa.

Państwo ma zapewnić mu jako taki poziom życia i się nie wtrącać. Obie siły polityczne oczekują, że za tę łaskawość zostaną nagrodzone władzą.

kać sposobów realizacji ich aspiracji, ale zapewnić im jako taki poziom życia i się nie wtrącać. Obie siły polityczne oczekują, że za tę łaskawość zostaną nagrodzone władzą i że wystarczy ona do jej utrzymania. Wobec tego przekonania historyczne i ideologiczne obsesje niektórych polityków PiS mają znaczenie drugorzędne. Kluczowa jest niewypowiedziana umowa społeczna, zawarta w myśl zasady: „My udajemy, że wami rządzymy, a wy udajecie, że nas popieracie”.

Niestety, ten pakt prowadzi do znacznego obniżenia oczekiwań wobec państwa i zgodę na to, by nie wypełniało ono tych swoich funkcji, które są niezbędne, by społeczeństwa mogły sprostać kryzysom demograficznym oraz wyzwaniom migracyjnym i technologicznym. Nowoczesne państwo opiekuńcze zapewnia swoim obywatelom pewne elementarne bezpieczeństwo ekonomiczne poprzez świadczenia pieniężne, ale to zaledwie punkt wyjścia. Dlatego program Rodzina 500 plus powinien być zaledwie początkiem, a nie końcem starań. Przyczynił się do ograniczenia ubóstwa, ale nie zastąpi kompleksowych programów, ułatwiających dzieciom z ubogich rodzin zdobycie dobrego wykształcenia i nie da im dobrego startu w życie zawodowe. Zwłaszcza że PiS wprowadził wsparcie finansowe dla rodzin, ale jednocześnie cofnął reformę edukacji, opóźniając kontakt dzieci z instytucjami edukacyjnymi, a na wcześniejszym rozpoczęciu edukacji korzystają proporcjonalnie najbardziej właśnie dzieci z rodzin nieuprzywilejowanych.

Polityka świadczeń i świętego spokoju, w której nie ma miejsca na poważne inwestycje państwa w poprawienie jakości usług publicznych, właśnie zaczyna do-

chodzić do ściany. Zaraz po wakacjach czeka nas zapewne fala strajków pracowników budżetówki, których płace są zamrożone od ośmiu lat, a wobec rosnącej inflacji de facto maleją. PiS nie wywiązał się też z ustaleń wynegocjowanych podczas strajku lekarzy rezydentów; nakłady na służbę zdrowia pozostają w Polsce o wiele poniżej potrzeb i poniżej europejskiej średniej. Nie dziwi to, że wobec tak ogromnej fali protestów opozycja zachowuje milczenie i nie popiera publicznie strajkujących tak ochoczo, jak popierała choćby obrońców Puszczy Białowieskiej. Łatwo było piętnować za szkodliwą dla środowiska wycinkę drzew rząd prawicy i konkretnego ministra, ale niedofinansowanie usług publicznych to dziedzictwo lat zaniedbań i udział w nim mają właściwie wszystkie kolejne ekipy.

Zagrożenie polega jednak nie tylko na tym, że rządzący nie potrafią zbudować państwa na miarę potrzeb Polaków. Równie groźne jest to, że obywatele porzucają nadzieję na cywilizacyjny przełom i stworzenie państwa na miarę swoich oczekiwań. Kiedy ruszał program Rodzina 500 plus, respondenci w badaniu CBOS z lutego 2016 r. popierali go w zdecydowanej większości. Ale na liście priorytetów stawiali tego rodzaju wsparcie pieniężne dopiero na trzecim miejscu, za pomocą w uzyskaniu mieszkania i tanimi żłobkami i przedszkolami. Po prawie trzech latach rządów PiS-u ta hierarchia ważności uległa zmianie – świadczenia pieniężne są już na pierwszym miejscu, dostępność opieki nad dziećmi, a zatem usługa publiczna pozwalająca przede wszystkim na większą aktywizację zawodową kobiet, dopiero na czwartym.

Być może oznacza to, jak chcieli liberałowie, że Polacy „dali się kupić” PiS-owi. Jest jednak o wiele gorsza interpretacja. Polacy podchodzą do polityki dość pragmatycznie. Cenią te instytucje, które pomagają im załatwić ich realne, namacalne sprawy – stąd utrzymujące się bardzo wysokie poparcie dla władz samorządowych. Być może zatem Polacy nie tyle dali się kupić, co PiS przekonał ich, że na więcej poza odrobiną gotówki w kieszeni nie mogą od państwa liczyć. O niedroгих, łatwo dostępnych żłobkach, dobrych szkołach publicznych i efektywnej służbie zdrowia mogą zapomnieć. Niestety, opozycja zrobiła bardzo niewiele, by przekonać Polaków, że jest inaczej.

© PAWEŁ MARCZEWSKI

Czas szybkich trybunów

RAFAŁ ZYCHAL

Wystarczył głośny protest w stolicy, by niektórzy okrzyknęli go „nowym Lepperem”. Ale nie ma dziś warunków, żeby Michał Kołodziejczak powtórzył sukces Samoobrony.

MAMY PLAN, KTÓRY ZASKOCZY WAS wszystkich, i będzie to akcja, której w Europie jeszcze nie było! – zapowiedział buńczucznie sam Kołodziejczak. To był jeden z ostatnich akordów podczas niedawnego protestu rolników. Jego lider mówi wprost: dość gadania, czas na konkrety, bo sytuacja na wsi się pogarsza. I czeka na ruch premiera. Czy w szeregach PiS właśnie powinna się zapalić lampka ostrzegawcza?

Rząd, przynajmniej w deklaracjach, problemu nie bagatelizuje i obiecuje działania. Ale winę za obecną sytuację zrzuca na poprzedników, a jako źródło kłopotów wskazuje „złodziejską prywatyzację” z lat 90. Minister rolnictwa niezmiennie ogłasza gotowość do rozmów, ale jednocześnie uderza w Kołodziejczaka. – Nie jestem do końca przekonany, czy część liderów tych protestów ma na względzie interes rolników – mówi. A sam Kołodziejczak dłużny mu nie pozostaje.

Niezbędnik lidera: świński łeb

Trzydziestolatek z Błaszek niedaleko Sieradza, rolnik i lider Unii Warzywno-Ziemniaczanej. W ciągu kilku miesięcy stał się twarzą protestujących rolników. Wystarczyło kilka spektakularnych i medialnych akcji – blokada drogi, zrzucenie kilku ton kapusty, wreszcie protest przed kancelarią premiera. Tam, trzymając w ręku świński łeb, grzmiał: odcinacie głowę polskiego rolnictwa! Na okrzykach się nie skończyło – w stronę budynku i policjantów poleciały i owoce. Kołodziejczak zadbał też o jeszcze jeden element – widać go nie tylko na ulicach, ale i w sieci. Skojarzenia nasuwały się same: rośnie nam nowy Andrzej Lepper?

Sam od takich porównań się nie odcina, przyznaje, że mu schlebiają. Od razu jednak dodaje, że nie chce skupiać się wyłącznie na problemach rolników. Jak ognia unika też deklaracji, że jego działania to tak naprawdę kolejny krok na drodze do

wielkiej polityki. Na razie chce zadbać o zaplecze i strukturę.

Bo do polityki i tak już wszedł parę lat temu, gdy został radnym z list PiS. Dziś do partii Kaczyńskiego jest mu daleko. Kolejne razy wymierza jednak nie tylko swojemu byłemu środowisku, ale i głównemu rywalowi PiS na wsi, czyli PSL. Część ludowców po cichu mu kibicuje, choć nie dla wszystkich jego metody są do zaakceptowania. Ale sił raczej nie połączą, zbyt wiele ich dzieli. Jego przeciwnicy mówią za to wprost – to próba wejścia do polityki na plecach rolników.

Czy naprawdę ma szansę powtórzyć sukces twórcy Samoobrony? Teza nośna, ale eksperci studzą takie zapędy. – Mało prawdopodobne, by ktoś taki jak Andrzej Lepper objawił się na nowo – przekonuje dr hab. Rafał Chwedoruk. A wszystko przez olbrzymie zmiany, jakie przez ostatnie lata zaszły na wsi: społeczne, kulturowe, ekonomiczne, ale i pokoleniowe.

– Świat jest już inny, inna jest też sama wieś. Najbardziej niezadowoleni są zwykłe ci starsi, ale z natury rzeczy nie są zbyt skorzy, by protestować. Nie da się na nich zbudować ruchu społecznego. A i same protesty są dziś już dużo krótsze, bardziej chaotyczne i wyzbyte szerszych kontekstów – wyjaśnia politolog z UW.

Pętla ich zrodziła

Przez ostatnie lata rywalizacja między PiS a PO tak zdominowała scenę polityczną, że droga Samoobrony na szczyty władzy może być dla wielu już niemal prehistorią. Klęska tej formacji w połączeniu ze śmiercią samego Leppera sprawiła, że coraz mniej osób o niej pamięta. Ale cofnijmy się na chwilę w czasie.

Zanim Andrzej Lepper wygłosił w Sejmie pamiętne słowa o Wersalu, miał za sobą trwającą dekadę karierę w roli ludowego trybuna. A po drodze głośne protesty, wysypywanie zboża, blokady dróg, list goń-

czy, widowiskowe zatrzymanie i wreszcie wyroki sądowe. Pomagało i nośne hasło: Balcerowicz musi odejść. Dziś pamiętamy pewnie głównie o nim i burzliwej koalicji z PiS, a umykają nam początki tej formacji.

Bo korzenie ruchu Leppera leżą w pierwszych latach transformacji i pętli długów, w jaką wpadli wtedy rolnicy. Nagły wzrost oprocentowania zaciągniętych przez nich kredytów sprawił, że stały się one niespłacalne. Pokażna grupa nagle stała się bankrutami. Tak zrodził się gniew. To była baza społeczna dla Samoobrony na wczesnym etapie. Potem dochodzili kolejni niezadowoleni, bo tych nie brakowało. Dziś takiej bazy już nie ma.

– Andrzej Lepper był specyficznym konstruktorem swoich czasów. Gdy tylko zmieniły się zewnętrzne uwarunkowania, to i on stracił miejsce w polityce – tłumaczy Rafał Chwedoruk. – Dziś wszystko dzieje się bardzo szybko: łatwo zostać nowym Lepperem, by zaraz potem przestać nim być.

Podobnie sytuację społeczną ocenia prof. Antoni Dudek. I on podkreśla, że nie ma dziś warunków społecznych, żeby zrodził się ruch porównywalny z Samoobroną. – Oczywiście, to się może w ciągu kilku lat zmienić. Sytuacja rolników jest dziś o niebo lepsza niż na początku lat 90. Owszem, może pewne niezadowolenie jest, ale atmosfery rewolucyjnej na polskiej wsi nie ma.

Wiejskie alter ego Kukiza

Jeśli popatrzymy na to, jakie poglądy głosi dziś Michał Kołodziejczak, to otrzymamy konserwatywno-narodową mieszankę. Mamy w niej sporo wartości charakterystycznych dla prawicy, dość pragmatyczne podejście do Unii Europejskiej, ale przede wszystkim chęć zagospodarowania tych, którzy czują się oszukani. Pod podobnymi hasłami ruszał do boju Paweł Kukiz. Dziś jego ruch, osłabiony i rozbity wewnętrznie, na nowo szuka swojego miejsca.

Czy nowym liderem tych oburzonych może zostać właśnie Michał Kołodziejczak? Rafał Chwedoruk jest sceptyczny. Jak mówi, dziś wśród młodych ludzi już mało kto orientuje się na przyszłość związaną z rolnictwem. – Kukiz wykorzystał naturalną chęć zmiany. Nie widzę przeszczerzenia społecznej, by powstało dziś jego wiejskie *alter ego* – tłumaczy.

Sam Kołodziejczak, mimo krytyki PiS, może liczyć na dość przychylne spojrzenie ze strony prawicowych mediów. Ale



MACIEK JAŻWIECKI / AGENCJA GAZETA

Michał Kołodziejczak (w środku) podczas protestu rolników zorganizowanego przez Unię Warzywno-Ziemniaczaną. Warszawa, 13 lipca 2018 r.

chcąc gromadzić pod swoimi skrzydłami niezadowolonych, musi uważać, bo kontrowersyjnych postaci nie brakuje. Już teraz z sympatią do jego poczynań odnosi się i Piotr Rybak, który zasłynął spalaniem kukły Żyda, i były duchowny, a dziś coraz radykalniejszy działacz narodowy Jacek Międlar. W sieci można też znaleźć nagranie, na którym widać, jak inny z rolniczych działaczy w obecności Kołodziejczaka wprost chwali antysemicki gest Rybaka. A takich ludzi znajdzie się więcej. I to będzie śmiertelna pułapka.

– To odwieczne zagadnienie, które wraca od lat. Najczęściej w formie pytania: czy jest szansa na zbudowanie realnej siły politycznej na prawo od PiS – mówi prof. Dudek. I przypomina, że tylko formacja Pawła Kukiza była w stanie przekroczyć próg wyborczy. – Ale ruch ten wytracił dynamikę i o tym, co z niego zostanie, dowiemy się w ciągu roku między wyborami samorządowymi a parlamentarnymi. To będzie decydujący czas. On może polec w ostatnim roku, tak jak wcześniej Palikot. Może, ale nie musi.

Przeciw elitom, czyli PiS

Czy Kołodziejczak wykorzysta tę słabość? Na razie to wróżenie z fusów. Jedno jest pewne – elektorat protestu w Polsce istnieje i nie zagospodarują go główne partie.

To budzi nadzieje dla takich polityków. Ale prof. Dudek przestrzega przed pochopnymi wnioskami: – To elektorat niezwykle chimeryczny i niespójny. Z badań wynika, że niemała grupa wyborców Palikota głosowała potem na Kukiza. To ludzie, którzy idą za tymi, którzy najmocniej biją w cały system, elity. A czy oni mają sznyt bardziej lewicowy, czy prawicowy, to już mniej istotne.

PiS zaś, choć robi wszystko, by się do tego nie przyznać, sam coraz bardziej staje się elitą. Jego liderzy temu zaprzeczają, ale z każdym rokiem u władzy partia Kaczyńskiego zmienia się w partię establishmentu. Jeśli znów wygra wybory, to jego retoryka będzie już zupełnie pusta. Prędzej czy później przyjdzie mu też zapłacić cenę za obietnice z czasów kampanii. A tych było niemało.

Tylko czy ewentualna fala niezadowolenia na wsi może być jakimś zagrożeniem dla rządzących? Zdaniem Rafała Chwedoruka musiałoby najpierw dojść do pogorszenia koniunktury gospodarczej, spadku cen czy problemów ze zbytem. Jeśli na te problemy nałożyłby się jeszcze kontekst międzynarodowy, choćby coraz większa konkurencyjność towarów z Ukrainy, to wtedy można sobie wyobrazić jakieś większe akty sprzeciwu. – Mogłyby być koordynowane przez już istniejące na wsi struk-

tury. Można więc sobie wyobrazić Kołodziejczaka w takiej roli. Takie protesty byłyby dla PiS o niebo groźniejsze niż te związane z Sądem Najwyższym. Ale wciąż byłoby to zjawisko o dużo węższych horyzontach niż to, co przed laty robił Andrzej Lepper – zastrzega politolog.

Antoni Dudek zwraca uwagę na jeszcze jedną rzecz: elektorat protestu w Polsce jest, ale nie rośnie. Jeśli Polskę ominie potężne tąpnięcie w gospodarce, to ruchy sprzeciwu pozostaną bez paliwa. – Gdyby takie problemy się pojawiły, to na scenie może się pojawić nowy gracz. I raczej będzie to partia populistyczna, która łączy różne, często sprzeczne hasła. Ale dziś na to atmosfery nie ma – przekonuje.

– Wyraźnie widać, że czwórób wyborczy, który nas czeka, rozegra się w gronie czterech partii: PiS, PO, SLD i PSL, może jeszcze z udziałem Kukiza.

Zdaniem prof. Dudka, pewną zmianę mogą przynieść dopiero wybory prezydenckie. – To taki paradoks, że nie wybory parlamentarne, które są najważniejsze, ale prezydenckie bywają u nas zwiastunem zmian. Tak było w 2005 czy w 2015 r. Ale nie sądzę, by do tego czasu wyrosła duża populistyczna formacja, która mogłaby przebudować polską scenę. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl

Strażnicy Puszczy Karpackiej

ROMAN HUSARSKI

Turnicki Park Narodowy: jeszcze nie powstał, ale ekolodzy już zapowiadają, że będą o niego walczyć jak o drugą Białowieżę.

ZALEDWIE KILKADZIESIĄT KILOMETRÓW na południe od Przemyśla znajduje się jedno z najcenniejszych miejsc przyrodniczych w Polsce, które bioróżnorodnością powinno zachwycić nawet najbardziej wymagających. Miejsce to jest też tematem sporu. Choć objął je projekt Natura 2000, dla wielu to za mało. Od kilkudziesięciu lat organizacje pozarządowe wnioskuje o utworzenie w trójkącie: Bircza, Fredropol, Ustrzyki Dolne parku narodowego. Według ekologów na obszarze Pogórza Przemyskiego można wciąż znaleźć relikty dawnej Puszczy Karpackiej, których jednak z każdym rokiem ubywa ze względu na postępującą gospodarkę leśną.

Turnicki Park Narodowy miałby objąć 17 tys. hektarów i poprawić statystykę terenów chronionych – w Polsce parki narodowe stanowią zaledwie 1 proc. powierzchni kraju. Dla porównania: w Niemczech – 3 proc., Włoszech – 5 proc. Zdecydowany opór przeciw temu rozwiązaniu stawiają Lasy Państwowe i lokalne władze, które obawiają się pogorszenia sytuacji ekonomicznej mieszkańców regionu.

Dziwna rzecz: ten dziewiczy teren jest rzadko odwiedzany przez turystów, ciągnących głównie w modne i coraz bardziej zadeptywane Bieszczady. Pewnie byłby całkiem zapomniany, gdyby nie Kalwaria Pałacowska, słynąca z XVII-wiecznego wizerunku Matki Bożej, do której od czasu do czasu ciągną pielgrzymi. O zmianę tej sytuacji stara się Fundacja Dziedzictwo Przyrodnicze (FDP), której przedstawiciele spotykam w Nowosiólkach Dydyńskich.

Leśnicy nic nie widzą

Z Piotrem, o pseudonimie „Broda”, spotykamy się przy należącej do FDP tłoczni, produkującej sok jabłkowy (nie da się jej przeoczyć – cała wymalowana jest

w drzewa). Wysoki mężczyzna po trzydziestce, z dredami, piercingiem i bujnym zarostem, jest z wykształcenia leśnikiem, kończył studia w Krakowie, a na Uniwersytecie Rzeszowskim pisze doktorat z biologii. Wraz z innymi członkami Fundacji brał udział w inwentaryzacji na terenie projektowanego parku, w wyniku której doliczono się prawie 6500 drzew o wymiarach pomnika przyrody – niektóre w obwodzie osiągały nawet ponad 5 metrów.

To oczywiście nie jedyny powód, dla którego według „Brody” warto by park

utworzyć: – Te drzewa są siedliskami dla różnych, często bardzo rzadkich gatunków, które są wskaźnikami dla lasów o charakterze puszczańskim. Działalność gospodarcza człowieka jest zagrożeniem dla bardziej wrażliwych roślin i zwierząt, które mają problem, by dostosować się do szybko zmieniającego się środowiska. Według naszych obserwacji zagrożenie zubożenia tych lasów jest wysokie. Z samego projektowanego Turnickiego Parku Narodowego codziennie wyjeżdżać ma sześć 30-tonowych ciężarówek z drewnem.

Pytam o wypowiedź Edwarda Marszałka z Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych, który przekonywał w Radiu Rzeszów, że ekolodzy nie mogą nazywać się leśnikami, bo nie pracują w Lasach Państwowych. – Pan rzecznik zaproponował, byśmy zamiast tego nazywali siebie inwentaryzatorami – mówi wzburzony „Broda”. – To taka gra, by nas zdyskredytować. A przecież w Fundacji pracują praktycznie sami specjaliści! Ludzie, którzy ukończyli studia nad ochroną przyrody, geolodzy, ornitolodzy, entomolodzy. Brakuje nam tylko badacza nietoperzy! – dodaje ze śmiechem.



Podczas naszych rozmów temat konfliktu pomiędzy państwem a organizacjami walczącymi o puszcę powraca bardzo często: – Różni nas fundamentalnie podejście do przyrody. Oni chcą gospodarować, my chcemy chronić. Niektórzy mówią, że nie ma wielkiej różnicy pomiędzy puszcą i lasem gospodarczym. To trochę tak jak z wilkiem i psem. Można by wystrzelać wilki i mówić, że mamy przecież psy. Niby to samo, ale nie do końca.

„Broda” przeszedł długą drogę, zanim dołączył do organizacji. Dwa razy rozpoczął studia filozoficzne, pracował w różnych krakowskich sklepach, w firmach ogrodniczych i arborystycznych, a nawet na dwa lata wstąpił do nowicjatu księży sercanów. Jak mówi, spokój odnalazł dopiero w Nowosiólkach. Patrząc, jak jest zabiegany, trudno w to uwierzyć. Telefon co chwila dzwoni, a dzień przed moim przyjazdem oprowadzał po puszczy trójkę dziennikarzy. Mnie również pokazuje stały punkt wycieczek: majestatyczną jodłę, którą ze względu na swoją funkcję ekologiczną nazywają pieszczotliwie „celebrytką”.

– Nie jest to oczywiście najstarsze drzewo w okolicy. Po prostu jest blisko drogi – żartuje „Broda”. Do jego obowiązków należy tzw. ochrona strefowa. Jeżeli inni pracownicy Fundacji odkryją gatunki chronione, np. sóweczkę (wyglądającą na wiecznie zezłoszczoną, najmniejszą sowę w Europie), to wraz z Regionalną Dyrekcją Ochrony Środowiska (RDOŚ) pracuje nad utworzeniem obszaru ochronnego, który wynosi 50 m od miejsca lęgowego. Lasy Państwowe mają jednak prawo w tej kwestii się odwołać.

– Wyobraźmy sobie taką sytuację: pióra, wypluwki i odchody kłębią się pod drzewem, sóweczki się drą, a oni mówią, że nic nie widzą, że za wysoko, by stwierdzić itd. – opowiada ekolog. – Czy my nigdy się nie nauczymy niczego na błędach? Człowiek jest przecież odpowiedzialny za wyginiecie takich gatunków jak dodo, tur czy gołąb wędrowny!

Gdy po raz pierwszy zajeżdżam pod siedzibę Fundacji, wita mnie piękny, drewniany posąg św. Franciszka. Wyrzeźbił go lokalny artysta buddysta, a pracę poświęcił o. Stanisław Jaromi, przewodniczący Ruchu Ekologicznego św. Franciszka

z Asyżu. Encyklika „Laudato si” papieża Franciszka wydawała się objawieniem dla zaangażowanych w sprawy ekologii. – Problem w tym, że mało kto samą encyklikę czytał – mówi jednak „Broda”. – Były minister Szyszko okazał się nawet do tego stopnia zuchwały, by podczas spotkań prasowych cytować „Laudato si”. Jeżeli czytał, to z pewnością nie zrozumiał.

Pogodny z reguły Piotr nie ukrywa, że sytuacja jest frustrująca. Niewątpliwie ma coś w sobie z radykała. Choć sam nigdy nie przypinał się do drzew, to nie potępia takich metod. Uważa wręcz, że w pewnych okolicznościach mogą być skuteczne. – Tego typu ekstremizm jest ostatecznością. To rozpaczliwe wołanie o głos, gdy inne środki zawiodą. A ilu Polaków wie, co tu się wyprawia? Sprawa parku jest niezwykle pilna i jeżeli nic się nie zmieni, to nie będzie wyjścia... Będziemy tu mieli drugą Białowieżę.

Mchy na ratunek

Nie da się ukryć, że zarówno w Lasach Państwowych, jak i w organizacjach ekologicznych dominują mężczyźni. Dorota, lat 33, nie uważa jednak, by był to problem w przypadku Fundacji, ponieważ wszyscy są dla siebie bardzo życzliwi.

Po ukończeniu leśnictwa, przez przypadek znalazła ogłoszenie o wolontariacie i przyjechała do Kalwarii, gdzie wówczas znajdowała się siedziba FDP. – Pierwszej nocy myślałam: „O Boże! Co za wiocha, nie zostanę”. Byłam przekonana, że na drugi dzień spakuję się i pojadę do domu. Ale następnego dnia wszystko mi się odmieniło. Wiedziałam, że zostaję i nigdy już stąd nie wyjadę.

Dorota kilkakrotnie powtarza, że nie jest nikim ciekawym. To nieprawda: zajmuje się trudną dziedziną nauki – lichenologią i briologią. Choć słowa te brzmią jak z podręcznika do alchemii, dotyczą badań nad porostami i mchami. – Praktycznie nikt się nimi nie zajmuje, a tu jest tyle gatunków. To taki fantastyczny teren dla badań i warto go chronić – przekonuje.

Następnego dnia wcześniej rano jedziemy pod Arłamów. Nieistniejąca już wieś słynie z ośrodka wypoczynkowego z burzliwą historią. Kiedyś bawiły się tu PRL-owskie elity, w 1982 r. trzymano w internowaniu Lecha Wałęsę. Dziś wypoczywają tu sportowcy. Paradoksalnie to dzięki politycznej przeszłości okoliczne lasy są tak dziewicze. Aż 23 tys. hektarów było wyłączonych spod gospodarki leśnej →



ADAM ŁAWNİK / EAST NEWS

→ i służyło jako miejsce polowań dla ówczesnej wierzuszki.

Dorota pod Arłamowem ma ulubione miejsca poszukiwań. Uzbrojona w lupę i GPS, spędza w lesie wiele godzin. Jej pracę utrudnia fakt, że niektóre mchy zidentyfikować można dopiero pod mikroskopem. Jeśli znajdzie chronione gatunki, będzie mogła je zgłosić do RDOŚ. Pozostanie jednak kwestia przekonania Lasów Państwowych. Dorota nie kryje goryczy: – Ja w ogóle nie jestem aktywistką i boli mnie ten konflikt. Gdy się zaognił, to nawet myślałam, czy nie odejść z Fundacji. Nie lubię mieć problemów, a tym bardziej z ludźmi, których spotykam na co dzień. Ale ta sprawa jest warta poświęcenia.

Chodząc po lesie, natrafiamy na różne chronione gatunki, m.in. puchlinkę ząbkowaną i bezlist okrywowy. Dorota komentuje: – W tych lasach jest tyle unikatowych skarbów. Naprawdę nie rozumiem, czemu tak mało naukowców tu przyjeżdża. Póki jeszcze się da. Naprawdę boję się, że trzy, cztery lata i nie będziemy mieli czego chronić.

Wracając, słucham o świecie mchów. – Ludzie nie rozumieją, jak są ważne. Żyją z drzewami w symbiozie, oddają lasom wilgoć. Są takie malutkie, a mogą zrobić tyle dobrego. Możesz z nich np. stworzyć cały park wielkości dłoni. Mają świetne zdolności do wyciągania zanieczyszczeń. Moglibyśmy wykorzystać je w miastach. Pomyśl o krakowskim smogu! Mchy mogą nas uratować, a jeśli my się wcześniej wykończymy, to one na pewno nas przetrwają. Tego jestem pewna.

Żeby mieli biura

– Pracownicy LP mówią, że tną stuletnie drzewa, bo młodsze pod nimi dostają więcej światła i szybciej dorastają. Cóż, jak ludzkim dzieciom odebrać rodzica, to też tak jest. Ale nie wiem, czy mamy używać takich emocjonalnych argumentów? Czy to działa? – zastanawia się głośno Antoni.

W Fundacji jest najstarszy. Rocznik 1960, doktorat z mikropaleontologii. Dołączył kilka lat temu. Wcześniej zajmował się, jak sam mówi, „zarabianiem pieniędzy”. Zapytany, co zadecydowało, że sprzedał udziały w dobrze prosperującej firmie, tłumaczy: – Nie jestem osobą specjalnie religijną, ale jakbym był, to byłbym protestantem. Czy wykorzystałem talenty? Rodzinę mam, utrzymanie też, czy mogę coś jeszcze zrobić? Można powiedzieć, że chciałem uniknąć grzechu zaniechania.

Nie bez powodu
angielskie „conservation”
ma coś wspólnego
z konserwatyzmem
– mówią ekolodzy.

Obrona przyrody powinna łączyć lewicę i prawicę.

Trening ze świata biznesu ujawnia się w rozmowie, podczas której przedstawia mi różne kalkulacje: – LP wynik finansowy mają w sumie dodatni, ale niech ci to nie przesłoni oczu. Jest wiele miejsc stratnych. Rekordzistą jest Nadleśnictwo Ciesna. Wycinają, sprzedają, a i tak są na minusie. Przez osiem lat do każdego kubika drewna dołożono 128 zł, a cena sprzedaży wynosi 150. Dołożono po to, by grupa ludzi mogła mieć biura, by maszyny mogły jeździć po lesie, hałasować i robić koleiny. Za nasze pieniądze. Ta cała zabawa kosztowała nas 74 mln zł. A można by przecież postawić strażników, zostawić las w spokoju i kupić drewno z Białorusi – wycinane w lasach czysto przemysłowych, a nie cennych! Pod tym względem na Podkarpaciu jest jądro ciemności.

Gdy nie wierzę, że jest aż tak źle, dodaje: – Tu się utworzył taki półfeudalny system. A wiesz, że Lasy Państwowe to największy właściciel ziemski w Europie?

Antoni, podobnie jak Piotr, podkreśla różnice w myśleniu obu stron konfliktu. Opowiada: – Raz idę z panią inżynier od ochrony przyrody z Lasów Bircza. Ona mi mówi: „Wie pan? Na mnie przynębiająco to działa. Te umarłe drzewa”. Stwierdziłem, że ona po prostu tego nie lubi. Nie lubi bałaganu, dzikości – bo tu nie ma gospodarki. Widzisz, jak fundamentalnie inaczej myślimy? A ja prywatnie to nawet przestałem kosić trawniki. Dzikie jest piękne. Z drugiej strony, w LP są ludzie, którzy nam kibicują. Tylko nie powiedzą tego głośno. My mówimy tak naprawdę o bardzo małych zmianach. Co te 17 tys. hektarów znaczą dla instytucji, w której posiadaniu jest 7,6 mln hektarów?

Antoni zapala się, gdy rozmawiamy o roli ekologii w politycznych podziałach. – Nie bez powodu angielskie *conservation* ma coś wspólnego z konserwatyzmem. Obrona przyrody powinna łączyć lewicę

i prawicę. Przecież mamy w obecnym rządzie ludzi, którzy powinni z nami sympatyzować. Kuchciński i Terlecki byli kiedyś hipisami. Być może nawet sam prezes jest po naszej stronie? Ostatecznie prawo łowieckie zostało zmienione. Ale z nowelizacji prawa dotyczącego zwierząt futerkowych już się wycofali. Kościół, poza kilkoma wyjątkami, milczy. Lokalni franciszkanie są obojętni, a arcybiskup Głódź niedaleko wybudował sobie myśliwskie centrum...

Antoni jest też pełnokrwistym aktywistą. Jeździ na konferencje, udziela się w radiu. Pytam, czy widzi jakieś efekty tej aktywności u mieszkańców Pogórza Przemyskiego. – Gdy tworzone Park Narodowy Amboseli, nikt nie pytał Masajów o zgodę, a dziś czują się jego obrońcami. Podobnie z Parkiem Tatrzańskim – górale pluli sobie w brodę, że nie będą mogli strzelać do kozic. A dziś? W Białowieży również rozwinął się przemysł turystyczny. Opór przed zmianą to naturalna rzecz. W perspektywie czasu park byłby jednak z pewnością korzystny. My też nie zakładamy, że ludzie z dnia na dzień zmieniają profesję. Niedługo uruchomimy projekt, który spróbuje odpowiedzieć na obawy mieszkańców.

No pasaran

Jeżdżąc po okolicy, natrafiam na plakaty. „Stop Ekoterror! Stop Turnicki Park, Stop rezerwat. No pasaran” – głosi jeden z nich. W kolejnej wiosce: „Las dla ludzi. 3 x NIE dla Turnickiego Parku i Rezerwatu”. Skojarzenie „3 x NIE” z PRL-em nasuwa się samo, zwłaszcza że nie wiadomo, czego trzecie „nie” miało dotyczyć. Oficjalnie banery mają świadczyć o oddolnym protestie mieszkańców przeciwko ekologom. Wykonanie jednak wskazuje, że wyszły z jednej drukarni. Według ludzi z Fundacji dokładnie taką samą czcionkę można było zaobserwować na transparentach podczas wiecu poparcia dla byłego ministra Szyszki w Krakowie.

Mimo szlachetnych celów, Fundacji nie będzie łatwo. To mała organizacja, która stoi naprzeciw Goliata. Ludzi tych łączy jednak coś więcej niż tylko idea obrony zapomnianych lasów znajdujących się przy granicy z Ukrainą. To przekonanie o fundamentalnym znaczeniu sprawy. – To proste – mówi Antoni. – Nasza główna motywacja to obrona piękna. U podstaw naprawdę tylko to się liczy.

© ROMAN HUSARSKI

ANNA

Dziewit-Meller: Komóreczki



PISANIE FELIETONÓW JEST TROCHĘ JAK TERAPIA grupowa. Publiczne wyciąganie bebeczków z własnego życia bywa (niestety) wygodnym punktem odniesienia dla dalszego pisania. Tydzień temu przepraszałam tu za grzechy młodości, teraz dla odmiany coś

wyznam. Otóż wśród moich hobby (kajaki, kino tureckie, rower, zbieranie książek kucharskich i inne) poczesne miejsce zajmuje cosobotnie uważne czytanie stron z nekrologami w „Gazecie Wyborczej”. Pochylona nad kubkiem porannej kawy jadę po nich wzrokiem uważnie – od góry do dołu – a nie pomijam niczego, na koniec zaś zostawiam sobie te długie teksty, w których bliscy wspominają kochanych zmarłych, ale które bywają też ciekawym źródłem informacji o licznych zasłużonych dla sprawy/Warszawy/Polski postaciach. Nie wiem, czy ktoś kiedyś badał nekrologi wspomnieniowe, które zamieszczane są w polskiej prasie, ale w Ameryce – owszem, im się przyjrano uważnie. W najsłynniejszym na świecie dziale z nekrologami w „New York Timesie” obecnie dokonuje się bowiem swoista rewolucja. Wspomnienie na łamach „NYT” to jak medal przypięty do piersi nieboszczyka – znak, że się za życia było KIMS. Coś jak asysta wojskowa podczas pogrzebu. Na pewno nie dla wszystkich.

W zeszłym roku istniejący od 1851 r. (!) dział nekrologów w gazecie objęła Anisha Padnani. Dla potrzeb jakiegoś tekstu szukała informacji o Nelly – pierwszej czarnoskórej kobiecie, której pozwolono na naukę w szkole dla bibliotekarzy w Bibliotece Nowego Jorku, a jednocześnie utalentowanej pisarce zajmującej się problemami czarnoskórej klasy średniej w Ameryce. Gdy rozpoczęła poszukiwania w swoim własnym dziale, ku swojemu zaskoczeniu nie znalazła o niej żadnej wzmianki. Szybko zorientowała się, że dział ów w zaskakującym stopniu niesprawdliwie selekcjonował znamiennych zmarłych. Jeśli zdarzyło się, że zasłużona osoba nie była białym mężczyzną z klasy średniej i wyższej, szanse na to, że „NYT” uhonorował ją wspomnieniem, były nikłe. Nawet jeśli było się taką znakomitością jak, uwaga, Charlotte Brontë – autorka sławnych powieści, Sylvia Plath – kultowa pisarka albo, już całkiem współcześnie, Diane Arbus – wybitna fotografik. Żadna z nich nie dostała zaszczytu. Wprawiło to w wielką konfuzję redakcję dziennika.

I tak właśnie zrodził się projekt Overlooked – (Przeoczone/Przeoczeni) – próba przywrócenia pamięci o ludziach, którzy mimo oczywistych zasług z jakichś powodów nie znaleźli się w archiwum nekrologów. Tak jak na przykład Ida B. Wells – kobieta, która głośno sprzeciwiała się linczom dokonywanym na czarnoskórej ludności w latach 90. XIX w. Albo Henrietta Lacks, młoda kobieta, zmarła na raka w 1951 r., „wyróżniająca się” tym, iż na miesiąc przed śmiercią, bez jej zgody i bez

jakiegokolwiek finansowej rekompensaty, pobrano od niej komórki rakowe, które – inaczej niż jakiegokolwiek badane dotąd – były nieśmiertelne, bo raz na dobę wytwarzały nowe w warunkach *in vitro*. Komórki Henrietty przyczyniły się do ogromnego postępu w nauce: były pomocne w badaniach genów, które wywołują nowotwory, w wynalezieniu leków na hemofilię, białaczkę, chorobę Parkinsona, i w wielu innych aspektach. Znajdują się one prawdopodobnie w każdym laboratorium na świecie, jak białe myszki i szczury doświadczalne. Dość rzec, że wysłano je nawet w przestrzeń kosmiczną, o Henriecie jednak – istocie, która je nauce dała – uznano za stosowne zapomnieć. „New York Times” przypomniał też na przykład Adę Lovelace – urodzoną w 1815 r. brytyjską matematyczkę, twórczynię pierwszego programu komputerowego i pierwszego algorytmu, który w ów program został wpisany, a także Margaret Abbot – pierwszą kobietę, która zdobyła olimpijskie laury podczas Olimpiady w Paryżu w 1900 r. Nekrologów przybywa, ponieważ redakcja postanowiła szeroko otworzyć swoje podwoje i zaprosić czytelników do współtworzenia projektu.

A teraz, podpierając się tym amerykańskim pomysłem na przywracanie pamięci, zaapeluję ponownie do naszych sumień i nawiążę do mojej nieustającej batalii o to, by forsować patronki ulic, placyków i skwerów – tak, by nie zapomniano o lokalnych i krajowych bohaterkach, artystkach, pisarkach, żołnierzach. W Warszawie swoje ulice mają Radiowa Rodzina Matysiaków i Kubuś Puchatek, a także Burleska, Kalambur i Loteryjka. Ale Stefania Wilczyńska – współpracownica Korczaka z Domu Sierot – albo Agnieszka Osiecka, co jej chyba nikomu przedstawiać nie trzeba, nie mają nawet po małym skwerku. Osiecką uczczono najbliżej w Grodzisku Mazowieckim i w Granicy koło Komorowa, a Wilczyńska na razie ma swój dąb na Polu Mokotowskim. No i mnie to dziwi mniej więcej tak samo jak ukradzione Henriecie Lacks komórki rozsiane po laboratoriach. A Was?

©

W Sądzie Rejonowym w Przysusze, w I Wydziale Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 22/18, toczy się postępowanie z wniosku Józefa Adama Chodyra o stwierdzenie nabycia na własność przez zasiedzenie, na rzecz Bolesława i Józefy małż. Chodyra, udziału w wysokości 1/2 (jedna druga) części nieruchomości składającej się z działki nr 135 (obecnie nr 1135), o powierzchni 2,6900 ha (obecnie 2,7300 ha), położonej w miejscowości Sławno, gm. Wolanów, dla której to nieruchomości Sąd Rejonowy w Przysusze, V Wydział Ksiąg Wieczystych, prowadzi księgę wieczystą nr RA1P/00028457/3, a który to udział stanowi własność Scholastyki Piechnik.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, w tym w szczególności spadkobierców Scholastyki Piechnik, c. Leopolda i Marianny, aby w terminie 3 miesięcy od opublikowania ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie i udowodnili przysługujące im prawo do ww. nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie na własność przez zasiedzenie zgodnie z wnioskiem, o ile zostanie ono udowodnione.

OGŁOSZENIE

A woman in a blue and white sari is looking over her shoulder towards the camera. The background is dark and out of focus, with a large, dark, circular shape on the left side.

WIARA

AWATAR Z KALKUTY

PROF. PIOTR KŁODKOWSKI:

Dla indyjskiej ulicy Matka Teresa była świętą już za życia.
Hindusi wierzą, że Bóg co jakiś czas zstępuje na ziemię,
by uchronić świat przed upadkiem.
Świętość Matki Teresy dla wielu z nich miała właśnie ten pierwotny religijny wymiar.

MAREK RABIJ: Kilka dni temu policja zatrzymała siostrę z Zakonu Misjonarek Miłości Matki Teresy w miejscowości Ranchi, w jednym z najuboższych regionów Indii – Dżharkhandzie. Jej i świeckim pracownikom przytułku dla kobiet w ciąży prowadzonego przez zakon postawiono zarzut handlu noworodkami.

PIOTR KŁODKOWSKI: Zakonnica się przyznała. Matka generalna misjonarek miłości Mary Prema Pierick natychmiast potępiła postępowanie podwładnej i zapewniła, że zakon będzie współpracować z organami ścigania w wyjaśnieniu tej sprawy.

Tylko czy to wystarczy, by narastająca od dłuższego czasu fala antychrześcijańskich resentymentów w Indiach nie uniosła się jeszcze wyżej? Raport stowarzyszenia Open Doors mówi o ponad 350 atakach na chrześcijan w 2017 r. Tak źle zdaniem jego autorów nie było od ponad dekady.

Open Doors klasyfikuje Indie na wysokim, 11. miejscu listy krajów, w których najczęściej dochodzi do prześladowań chrześcijan. Dla mnie to jakieś metodologiczne nieporozumienie, bo z raportu wynikałoby, że w Indiach chrześcijanom żyje się dziś trudniej niż w Chinach, gdzie komuniści zdelegalizowali np. Kościół katolicki, a w jego miejsce powołali do życia marionetkowe Patriotyczne Stowarzyszenie Katolików Chińskich, które odrzuca zwierzchnictwo Watykanu i zrywa z sukcesją apostołską.

Tymczasem w Indiach chrześcijaństwo cieszy się nadal dużą swobodą. Istotnie, od kilku lat mamy do czynienia z rosnącą liczbą ataków na wyznawców Jezusa, co łączyłbym z postępującą radykalizacją nastrojów w jakiejś części indyjskiego społeczeństwa. Przypomnę, co działo się w 2008 r. w stanie Orisa. Tysiące chrześcijan uciekło wtedy z domów po atakach hinduskich ekstremistów, w których zginęło ponad 200 osób. Akty przemocy wciąż jednak nie przekroczyły stanu, który można by nazwać alarmowym. Nawet przewodniczący Konferencji Episkopatu Indii kardynał Telesphore Toppo przestrzegał niedawno, by pojedynczych przypadków nietolerancji religijnej nie rozciągać na całe indyjskie społeczeństwo, które wciąż jest pod tym względem bardzo otwarte.

Nie zapominajmy, że chrześcijaństwo nie zawitało do Indii tak jak choćby do Japonii czy Chin, czyli wraz z europejskimi misjonarzami. ➔

Misjonarki miłości na mszy z okazji urodzin Matki Teresy, Kalkuta, sierpień 2012 r.

⇒ Tradycja utrzymuje, że nauczanie Jezusa zaniósł na subkontynent sam Tomasz Apostoł. Mamy dowody, które potwierdzają istnienie gmin chrześcijańskich w Indiach już w II-III w. n.e. Około 30 mln wyznawców Chrystusa, czyli jakieś 2 proc. populacji, może się tu czuć po prostu u siebie.

W kraju, gdzie blisko 80 proc. mieszkańców stanowią wyznawcy hinduizmu, a około 14 proc. praktykuje islam, chrześcijaństwo to faktycznie mniejszość, ale bardzo widoczna.

Rzeczywiście, znaczenie chrześcijan w życiu Indii jest nieproporcjonalnie duże do ich liczebności. To zamożna i dobrze zorganizowana grupa ze znacznymi wpływami zwłaszcza w sferze kultury, opieki medycznej, edukacji, a także w polityce, bo spotykałem chrześcijan niemal na każdym szczeblu administracji publicznej i lokalnej. Rzeczą niesłychanie ważną jest również to, że wśród nawróconych na chrześcijaństwo wcale nie przeważają przedstawiciele najniższych kast, jak to często można usłyszeć w Indiach.

Kolejna sprawa to wykształcenie. Zaraz po wyznawcach dżainizmu chrześcijanie są najlepiej wykształconą grupą wyznaniową współczesnych Indii. Delhijskim St. Stephen's College, kuźnią kadr indyjskiej klasy politycznej, nadal zarządzają anglikanie i po dziś dzień członkowie tego Kościoła mają w niej zarezerwowaną pewną liczbę miejsc. Przez wiele lat ów paradoks nadreprezentacji chrześcijan w życiu publicznym Indii uosabiała Sonia Gandhi, wdowa po Rajiwie Gandhim, Włoszka i katoliczka, która trafiła tam za mężem, a po jego śmierci stała się jednym z liderów Indyjskiego Kongresu Narodowego, aż w końcu wybrano ją na jego szefową.

I wreszcie Matka Teresa. Laureatka Pokojowej Nagrody Nobla. Jedna z zaledwie trzech osób urodzonych poza Indiami, której nadano order Bharat Ratna, najwyższe odznaczenie państwowe kraju. Liczne głosy nad Gangesem domagają się dziś odebrania jej tego ostatniego zaszczytu.

I muszę przyznać, że budzi to we mnie sprzeciw. Z jednej strony dowody zdają się przesądzać, że w przytułku prowadzonym przez misjonarki miłości doszło istotnie do przestępstwa – tym bardziej oburzającego, że zaledwie trzy lata temu same zakonnice ostentacyjnie wycofały się z rządowego programu adopcji po tym, jak In-

Dla hindusa pomoc nędzarzowi
nabiera cech egoizmu.

Bo zbiera zasługi do odbioru w przyszłym życiu, ale jednocześnie utrudnia innym pokutę.

die zliberalizowały przepisy, umożliwiając adopcję rozwiedzionym i singlom. Z drugiej strony bieżące problemy zakonu łączy się jednak z jego założycielką, która nie żyje od ponad 20 lat, a to już zaczyna podejrzanie załatywać doraźną politykę. Bo czy gdyby podobny skandal wydarzył się w placówce prowadzonej przez, powiedzmy, franciszkanów, odpowiedzialnością obarczano by św. Franciszka? Myślę, że nie.

A może Indie dopiero teraz są gotowe na rozmowę o kontrowersjach wokół działalności Matki Teresy? Nie odrzucałbym ich wszystkich z góry. Katalog pytań i wątpliwości nie składa się już – jak w latach 90. – z wycieczek ideologicznych Christophera Hitchensa, autora książki pod znamienitym tytułem „Missionary position”, którego oburzało, że wiekowa katolicka zakonnica miała ultrakatolicki światopogląd.

Zgoda. Oddzielmy jednak głos ulicy od opinii polityków i publicystów, zwłaszcza tych zachodnich, którzy przyjeżdżali do Indii na krótko i wyjeżdżali mądrzejsi od Matki Teresy.

Bywam w tym kraju systematycznie od połowy lat 80., a przez niemal sześć lat byłem ambasadorem Rzeczypospolitej w Delhi. Nie mam wątpliwości, że dla indyjskiej ulicy, dla tych mas biedoty pozbawionej wszelkiej nadziei, Matka Teresa była świętą już za życia. W hinduizmie bardzo mocno zakorzeniona jest koncepcja tzw. awatarów, rozmaitych wcieleń Boga, który co jakiś czas zstępuje na ziemię, by uchronić świat przed upadkiem. Świętość Matki Teresy dla wielu Hindusów miała właśnie ten pierwotny religijny wymiar. Nie wdrukowała im tego przekonania kultura masowa, jak sugerował Hitchens i jego akolici. Przekonanie, że Matka Teresa jest kolejną ręką Boga, wzięło się z co-

dziennej obserwacji kogoś, kto dobrowolnie opiekuje się tymi, o których nikt się nie chce troszczyć, bez względu na ich wyznanie czy status kastowy.

Tyle że nikt dziś nie oskarża świętej o faworyzowanie chrześcijan. Głosy, których warto wysłuchać – choćby kalkuckiego lekarza Aroupa Chatterjee, który przez lata również śledził pracę misjonek miłości – oskarżają Matkę Teresę o ideologiczne skostnienie, które naraziło jej podopiecznych na niepotrzebne cierpienia. Niechęć założycielki zgromadzenia do podnoszenia kwalifikacji medycznych przez siostry. Niepodawanie leków przeciwbólowych. Przetrzymywanie poważnie chorych z cierpiącymi na lżejsze schorzenia, wreszcie skandaliczne nawet na indyjskie warunki lekceważenie zasad higieny, np. mycie igieł do strzykawek w zimnej wodzie.

Według europejskich standardów medycznych warunki w przytułkach prowadzonych przez Matkę Teresę z pewnością pozostawiały wiele do życzenia. Niemal na pewno dochodziło tam również do wielu aktów niegospodarności, a w późniejszym okresie Matce Teresie zabrakło dyplomatycznej zręczności i wyczucia, które uchroniłyby ją przed kontaktami z takimi figurami jak dyktator Haiti Jean-Claude Duvalier. Rzecz w tym, że nie mówimy o lekarzu, dyplomacie ani menedżerze, lecz o zakonnicy, która poświęciła życie niesieniu pomocy najbardziej potrzebującym, porzuconym, schorowanym. Ludziom, którzy w indyjskim społeczeństwie mieli status w zasadzie niższy od zwierząt domowych.

Robin Fox, redaktorka prestiżowego magazynu medycznego „Lancet”, po wizycie w kalkuckim domu dla umierających pisała wprost: pod dachem misjonek miłości umierają ludzie, których nawet w Indiach można względnie łatwo wyleczyć. Niektórzy widzą nawet w tej bezdusznosci Matki Teresy wpływ XIX-wiecznych pism Florence Nightingale, która ostrzegała, że czynienie ludzkiego cierpienia bardziej znośnym dla ofiar rozgrzesza w pewnym stopniu sprawców.

Proszę pamiętać, że Matka Teresa nie wchodziła w kompetencje państwa i nie zakładała szpitali. Szpitale w Indiach były, także dla biednych. Brakowało na-

tomiaś umieralni – jakkolwiek by to źle nie zabrzmiało dla europejskiego ucha. Miejsc, w których ludzie w stanie agonalnym mogliby odejść z tego świata otoczeni choćby minimum opieki i współczucia. Wiem, że trudno to zrozumieć komuś, kto nie był w Indiach w latach 50. czy nawet 70. XX w. Tamtej biedy nie da się porównać z nędzą w europejskim wydaniu. U nas do leżącego na ulicy żebraka prędzej czy później ktoś wezwie pogotowie ratunkowe. W prze-ludnionych Indiach tacy ludzie byli tymczasem niewidzialni, choć każdego dnia umierali setkami na poboczach ulic, na schodach świątyń, w cieniu budynków publicznych. I znowu, nie zrozumiemy tego bez odpowiedniego filtra religii. Teoria karmana, kolejny z filarów hinduizmu, mówi, że los jednostki determinują jej uczynki w poprzednim życiu. Jeżeli jesteś żebrakiem i właśnie umierasz samotnie w męczarniach, to znaczy, że na to zasłużyłeś i odpokutowujesz tym cierpieniem występki z przeszłości. W tej logice pomoc umierającemu nędzarczywi paradoksalnie nabiera cech egoizmu, bo pomagając kolekcjonujemy dla siebie zasługi do odbioru w przyszłym życiu, ale jednocześnie utrudniamy innym odpokutowanie ich win.

Z kolei islam uczynił jałmużnę jednym ze swoich filarów, ale z zastrzeżeniem, że solidarność obowiązuje muzułmanów wyłącznie w odniesieniu do współwyznawców. Dlatego Matka Teresa jest dziś dla części hinduskich czy muzułmańskich elit wielkim wyrzutem sumienia.

Wie pan, Narendra Modi, premier Indii, cele polityczne swojego gabinetu kreśli dziś używając języka biznesu: rozwój, PKB, inwestycje, wzrost. Jego Partia Ludowa Indii (BJP) wygrała wybory właśnie dzięki takiej retoryce, która nawet „nie-dotykalnym” Dalitom podsuwa nadzieję na poprawę warunków życia. Pierwszą, która z taką nadzieją dotarła do najniższych grup społecznych, była w Indiach właśnie Matka Teresa.

Jej indyjscy krytycy, także z wymienionej przez pana BJP, twierdzą jednak, że działalność charytatywna misjonek miłości była przykrywką dla brutalnej religijnej indoktrynacji. Wypomina się zakonnikom odbieranie umierającym obrazków z wizerunkami hinduskich bóstw. Susan Shields, była członkini zgromadzenia, twierdzi-

ła nawet, że umierającym zadawano pytanie: „Czy chcesz bilet do nieba?”. Odpowiedź twierdzącą interpretowano jako zgodę na chrzest.

Siostry nigdy nie ukrywały, że są misjonarkami. Umieściły przecież tę deklarację nawet w nazwie zgromadzenia. Po drugie – w prowadzonych przez nie przytułkach udzielano pomocy bez pytania o wyznanie. Czy udzielano również sakramentu chrztu nieświadomym tego chorym? Nie wiem. Mogę jedynie służyć własnym świadectwem. Byłem kilka razy w domu dla umierających w Kalkucie, także anonimowo. Nie odniosłem wrażenia, że opieka nad chorymi była tam w jakikolwiek sposób podporządkowana głoszeniu Ewangelii, choć oczywiście czuło się, że to przybytek katolicki.

Dla przedstawicieli innych religii ten pragmatyczny wymiar chrześcijańskiego misjonarstwa, chleb dawany zaraz po modlitwie, od dawna stanowi jednak problem, rodzi nawet podejrzenia o swoistą próbę religijnego przekupstwa. Chrzęścianie odpowiadają ewangelicznym cytatem, że wiara bez uczynków jest martwa, ale nie sądzę, żeby tym kogoś przekonali. Indie to kraj przesądów i teorii spiskowych. Wątek politycznej, religijnej, kulturowej czy gospodarczej piątej kolumny powraca tam co jakiś czas. Dlatego nie dziwi mnie, że w tym kontekście przedstawia się dziś także działalność publiczną Matki Teresy.

W filmie dokumentalnym Hitchensa „Hell’s Angel” jeden z indyjskich publicystów nazywa Matkę Teresę liderem politycznym. Nie liderem partyjnym, powiązany z konkretnym ugrupowaniem, lecz przedstawicielką zachodniego establishmentu, która swoją działalnością konserwuje kolonialną wizję niezaradnego Wschodu zdanego na pomoc Zachodu.

Chyba zgodzi się pan ze mną, że to bardzo krzywdzące wyobrażenie, a do tego anachroniczne, bo gdy w latach 50. Matka Teresa rozpoczynała pracę na ulicach Kalkuty, dyskurs o kolonializmie – w kształcie, w jakim znamy go dzisiaj – dopiero raczkował. Mam w dodatku bolesne poczucie, że akurat siostry misjonarki i w ogóle katolicy w Indiach nigdy nie pozwolili sobie na brutalną ingerencję w skomplikowaną materię wiekowej tradycji i kultury subkontynentu. Chrzęścijaństwo było i jest przecież naturalnym

elementem tutejszego krajobrazu cywilizacyjnego.

Niedaleko domu dla umierających w Kalkucie jest świątynia bogini Kali, której po dziś dzień składa się krwawe ofiary. Zaglądają tam również siostry misjonarki, ale nie dlatego, że próbują w tej świątyni nawracać wyznawców hinduizmu, albo obnosić się ze swoją rzekomą wyższością cywilizacyjną, tylko po to, by okazać szacunek religii sąsiadów. Otwartość indyjskiego katolicyzmu na inne wierzenia i systemy wartości bywa czasami problemem wręcz dla niego samego. Proszę sobie przypomnieć twórczość Anthony’ego de Mello, indyjskiego jezuitę, który w swoich książkach nie tyle próbował łączyć hinduizm i buddyzm z katolicyzmem, ile tłumaczyć Ewangelię na język pojęć i wartości bliższych mieszkańcom Wschodu. Skończyło się to dla niego, jak wiadomo, fatalnie, bo otarł się o oskarżenie o herezję. Znamienne jednak, że to nie Watykan postanowił przypomnieć kreatywnemu jezuitę, co znaczy *Roma locuta, causa finita*. Interwencję Rzymu w sprawie de Mello wymogli sami biskupi w Indiach! Dlaczego? Ano dlatego, że w żywiole hinduskim każde odstępstwo od doktryny grozi katolicyzmowi utratą tożsamości, a dla religii nie ma nic groźniejszego. Powiedziałbym więc, że katolicy w Indiach są konserwatystami, ale do wewnątrz.

Postulaty Matki Teresy o delegalizację aborcji wykraczały jednak daleko poza apele do sumień katolików. Hindusi widzieli w nich próbę chrześcijańskiej agitki, dowodzącej zresztą niezrozumienia problemów Wschodu.

Kiedy po wojnie premier Jawaharlal Nehru mówił, że Indie liczą wystarczająco dużo mieszkańców, żyło w nich jakieś 400 mln ludzi. Dziś populacja kraju przekroczyła 1,2 mld osób i co roku powiększa się o 20 mln kolejnych! W takim tempie Indie do końca przyszłej dekady staną się najludniejszym krajem świata, ale dziś nikt już nie mówi o przeludnieniu, lecz przeciwnie – o rencie demograficznej. Kraj rozwija się szybko właśnie dzięki nieustającemu wyżowi demograficznemu, a nie pomimo tworzonych przez nich problemów.

Tymczasem w latach 70., kiedy Matka Teresa nawoływała do zakazu aborcji, polityka władz w Delhi zmierzała w kierunku radykalnego zmniejszenia przyrostu naturalnego. Szybko i za wszelką cenę. →

→ W latach 1976-77 w Indiach przeprowadzono oficjalnie ponad 8,3 mln zabiegów wazektomii, a dziś wiadomo, że część pacjentów nie wyraziła na nie zgody. Na wsiać aborcje, a nawet uśmiercanie już urodzonych dzieci, były właściwie na porządku dziennym, bo w hinduskich i muzułmańskich wspólnotach posiadanie córek, które trzeba było wyposażyć w posag, uważano za nieszczęście. Protest przeciw temu był po prostu moralnie uzasadniony.

Dziś, według oficjalnych danych indyjskiego urzędu statystycznego, w Indiach żyje kilkadziesiąt milionów mężczyzn więcej niż kobiet. Naturalna dysproporcja płci w populacji uległa zachwianiu. A teraz proszę spojrzeć na efekty. Od początku lat 70. XX w. populacja kraju powiększyła się o 100 proc. Liczba gwałtów zgłaszanych policji wzrosła w tym samym czasie aż o 873 proc. Powiedziałbym więc, że w kwestii kontroli narodzin to Matka Teresa miała rację.

Miała też rację, sugerując w 1984 r. zrozpaczoną rodzinom ponad 40 tys. ofiar katastrofy w zakładach chemicznych Union Carbide w Bhopalu, że powinny wybaczyć sprawcom i nie szukać sprawiedliwości?

Niczego innego nie spodziewałbym się po katolickiej zakonnicy. W sensie ewangelicznym taka rada brzmi wręcz kanonicznie. Jeśli jednak ktoś widzi w niej działacza społecznego, rzecznika biedoty, wówczas takie słowa będą faktycznie zaskakiwać brakiem empatii.

Matka Teresa już za życia stała się człowiekiem-instytucją, a po śmierci funkcjonuje jako mit. Dla katolików jego sednem stała się opowieść o poświęceniu absolutnym, o tym ewangelicznym „zaparcie się samego siebie”. Dla hinduskiej biedoty, jak już wspomnieliśmy, katolicka święta stała się jeszcze jedną ręką Boga. Dla sporej części politycznych elit współczesnych Indii założycielka zakonu misjonarek miłości jest z kolei wygodną figurą w doraźnej grze politycznej. Z zachodnio-europejskiego punktu widzenia albańskie korzenie Matki Teresy wręcz wiążą ją ze Wschodem, ale z perspektywy Indii Agnes Gonxha Bojaxhiu była i jest typową przedstawicielką świata zachodniego, w dodatku uformowaną intelektualnie w epoce schyłku Imperium Brytyjskiego. Nacjonałści, marzący o tym, by mozaikę

Byłem wiele razy
u siostr w Kalkucie,
one przede wszystkim
**pomagały,
a nie nawracały.**

religijną współczesnych Indii przemilić na monolit państwa narodowego, chętnie podejmują więc temat Matki Teresy, ale też bacznie pilnują, żeby w tej opowieści przeważały ciemne barwy.

Do domu misjonarek miłości w Ranchi policja wkroczyła ręka w rękę z telewizją.

To akurat nie musi od razu świadczyć o tym, że bieżące problemy siostr są już rozgrywane politycznie, raczej dowodzi zblatowania policji z dziennikarzami. Media w Indiach są niezależne, a nawet starają się jednakowo mocno chlostać wszystkie wyznania, żeby nie wzbudzić niepokojów społecznych. Religijną poprawność w mass mediach i popkulturze najwyraźniej widać w produkcjach Bollywood. Jeśli w filmie pojawiają się terroryści, to są nimi oczywiście muzułmanie, ale z dzielnym hinduskim inspektorem Rajivem, który ich ściga, zawsze współpracuje jakiś sprawiedliwy Ahmed lub Mostafa.



PIOTR KŁODKOWSKI w latach 2009-14 był ambasadorem RP w Indiach. Obecnie jest profesorem w Katedrze Porównawczych Studiów Cywilizacji UJ. Płynnie włada m.in. językiem urdu i hindi. Niedawno wydał książkę „Imperium boga Hanumana. Indie w trzech odstępach”. Jest stałym współpracownikiem „Tygodnika Powszechnego”.

Parytet musi być?

Musi. W świecie Bollywood bandyta-muzułmanin napada zwykle na muzułmankę, a hinduski atakuje hinduskę, ewentualnie wyznanie sprawcy nie jest do końca jasne. Wyjście poza ten schemat grozi poważnymi zamieszkami, bo w Indiach film wcale nie kończy się na napisach końcowych.

Do napięć i zamieszek z religijnym podtekstem będzie jednak dochodzić w Indiach coraz częściej i bez ingerencji populistów. Hindusi wciąż są najliczniejszą grupą wyznaniową w państwie, ale w ostatnich latach ich odsetek zaczął powoli maleć. Przybywa natomiast muzułmanów. Liczba chrześcijan nie ulega właściwie zmianie, lecz dla nacjonalistów wierzących w hindutwę, wizję państwa zjednoczonego wokół hinduizmu i tradycji narosłej wokół tej religii, każdy obcy wyznaniowo stanowi zagrożenie. Rządząca BJP i sam premier Modi nie mają obiekcji, kiedy czują, że dla doraźnych politycznych interesów, na przykład przypodobania się twardemu elektoratowi, warto na chwilę porzucić tolerancję religijną. Narendra Modi, jeszcze jako premier stanu Gudżarat, nie kiwnął palcem, kiedy w 2002 r. doszło w tym stanie do ostrych zamieszek antyislamskich, inspirowanych m.in. przez hinduskich nacjonalistów z organizacji Rashtriya Swayamsevak Sangh. Chociaż przypomnijmy, że niezawisły sąd ostatecznie oddalił oskarżenia przeciw niemu.

Czy zatem rosnąca pozycja polityczna premiera Modiego oznacza, że dla chrześcijan w Indiach nadchodzą trudne czasy?

Jestem orientalistą, nie futurologiem, ale gdybym miał obstawiać jakiś scenariusz, opowiedziałbym się jednak za wersją bardziej optymistyczną. Modi oczywiście wyczuwa, że do mas popierających BJP najszybciej trafia ostra retoryka. Mimo wszystko nie wierzę jednak, że zdecyduje się na mocniejsze rozbijanie antychrześcijańskich resentymentów. W Indiach kryzysy szybko przybierają katastrofalną skalę.

Wiele zależy też od samych chrześcijan, a ci na szczęście przez stulecia nauczyli się, jak żyć pośrodku hinduskiego żywiołu. Jeden z biskupów, którego zapytałem, jak radzi sobie ze sprawowaniem obowiązków duszpasterskich, powiedział: „To proste. Trzeba tylko znać swoje miejsce”.

© Rozmawiał MAREK RABIN



„Wakacje z ubogimi” zorganizowane przez warszawską Wspólnotę Sant'Egidio, sierpień 2017 r.

Nie pytaj, skąd weźmiemy chleb

IGNACY DUDKIEWICZ

Gdy w Polsce słabnie religijność ludzi młodych, Wspólnota Sant'Egidio przeżywa rozkwit. Jak? Proponując bycie z ubogimi i życie Słowem Bożym na serio.

NA POCZĄTKU ZAWSZE JEST OBAWA, CZASEM strach. Pytania: „Jacy oni są?”, „O czym z nimi rozmawiać?”, „Czy będę umiał się zachować?”. I szereg organizujących myślenie stereotypów – o brudzie, lenistwie, alkoholu, odpowiedzialności za swój los. Szybko okazuje się, że odpowiedzi nie są wcale trudne (jacy są? – tacy jak

wszyscy: różni), a stereotypy mają niewiele wspólnego z rzeczywistością.

Tego uczy doświadczenie członkiń i członków Wspólnoty Sant'Egidio z Warszawy, Chojny i Poznania oraz jej sympatyków z Krakowa, Szczecina i Stargardu, którzy kilka razy w tygodniu wychodzą na ulice swoich miast, by spotykać się

z osobami w kryzysie bezdomności. Niosących im jedzenie, kawę i herbatę, ubrania, ale przede wszystkim swój czas i uwagę.

Wiele osób zaangażowanych w Sant'Egidio mówi wręcz: „Przyjaźń. Przyjaźń z ubogimi”.

Kto tutaj służy

– Do Wspólnoty prowadzą różne drogi. Dla mnie pierwszym impulsem był artykuł o tym, że Sant'Egidio otwiera dom dla starszych, samotnych kobiet w Moskwie – opowiada Magdalena Wolnik, odpowiedzialna za Wspólnotę w Polsce. – Gdy więcej poczytałam, zapytałam sama siebie: dlaczego, skoro udaje się gdzieś indziej, miałoby się nie udać w Polsce?

Choć zawsze podkreślają, że mają 50 lat – w tym roku rzymska wspólnota założona przez Andrieja Riccardiego obchodzi okrągłe urodziny – to w Polsce działają krócej. Pierwsza była mała grupa w Chojnie, niespełna dziesięciotysięcznym mieście między Szczecinem a Gorzowem →

→ Wielkopolskim. Dziś działa coraz prężniej: oprócz wspomnianych kolacji na ulicy organizuje wyjazdy na peryferie, do miejsc, w których mieszkają osoby w kryzysie bezdomności, prowadzi punkt wydawania odzieży, wydaje przewodniki dla osób żyjących na ulicy z danymi wszystkich punktów pomocy, odwiedza mieszkańców i mieszkanki domów pomocy społecznej, opiekuje się uchodźcami i uchodźczyniami, proponuje rozwiązania – jak zorganizowanie korytarzy humanitarnych z obozów dla uchodźców, organizuje modlitwy o pokój i za uchodźców zmarłych w drodze do Europy, przygotowuje Liturgię Męczenników, podczas której wspominani są chrześcijanie i chrześcijanki wszystkich wyznań, którzy oddali życie za wiarę.

Wszystko to, za papieżem Franciszkiem, który Wspólnotę poznał jeszcze w Buenos Aires, można streścić w trzech „P”: *preghiera* (modlitwa), *poveri* (ubodzy), *pace* (pokój). Albo w krótkiej obserwacji, jaką podzielił się Benedykt XVI, gdy odwiedził rzymską jadalnię prowadzoną przez Sant'Egidio: „Tutaj myli się ten, kto służy, z tym, komu się służy”.

Kolacja na Dworcu Centralnym

– Z pewnością ta Wspólnota o dziwnie brzmiącej nazwie jest w Polsce coraz lepiej kojarzona – przyznaje Wolnik. – Coraz więcej młodych przychodzi, bo chce przekładać to, co czyta w Ewangelii, na konkret zaangażowania na rzecz osób ubogich. Wśród młodych jest wciąż bardzo wiele osób, które chcą żyć służbą i modlitwą w sposób głęboki. Część z nich właśnie w Sant'Egidio, poprzez bycie z ubogimi, odnajduje Boga w swoim życiu – dodaje.

Wspólnota, która w Polsce zaczynała 10 lat temu od pięciu osób, dziś liczy kilkaset stale zaangażowanych i trudną do policzenia grupę ludzi, którzy z nią sympatyzują i angażują się w poszczególne akcje – czy to materialnie, czy poświęcając swój czas i siły. W samej Warszawie, tylko podczas Świąt z Ubogimi, czyli obiadu bożonarodzeniowego, organizowanego w podziemiach jednego z kościołów, zaangażowanych jest ok. 500 osób – kucharze, kelnerzy, osoby sprzątające, chór, orkiestra czy dekoratorzy sali.

Choć Świeta z Ubogimi zdają się być „szczytowym” momentem działania Wspólnoty, ważniejsza jest aktywność na co dzień. Jak mówią członkowie i członkinie Wspólnoty: „Kluczowa jest wierność”.

Członkowie wspólnoty przyznają, że „chodzenie na kanapki”, czyli kolację z bezdomnymi na ulicy, zmienia sposób patrzenia na miasto, ludzi, ich krzywdę i cierpienie. **Znikają uprzedzenia i dystans.**

Miedzy innymi owa wierność i nieakcyjność przyciąga ludzi. Także bezpośrednio i prostota działania. – Wspólnota to miejsce, w którym staramy się autentycznie żyć Ewangelią, przekładając na konkrety również te jej fragmenty, które wydają się najtrudniejsze, jak słowa Jezusa ze sceny Sądu Ostatecznego, jak przypowieść o miłosiernym Samarytaninie czy nakaz Chrystusa, by nakarmić tłumy – mówi Wolnik. – Sant'Egidio nauczyło mnie, by nie pytać w takich chwilach, skąd weźmiemy tyle chleba.

Owa prostota (a nawet dobrze rozumiana prostoduszność) w podejściu do słów Ewangelii ma siłę oddziaływania również na osoby poszukujące. Nie brakuje takich wśród członków i członkin Wspólnoty. Tym, co łączy wszystkich, jest zmiana spojrzenia na osoby w kryzysie bezdomności. Przyznają, że „chodzenie na kanapki”, jak mówią o kolacjach na ulicy, przeobraża sposób patrzenia na miasto, ludzi, ich krzywdę i cierpienie. Dzieje się to niejako mimochodem – w trakcie rozdawania posiłków i nawiązywania relacji. Znikają uprzedzenia i dystans. Pojawia się sympatia i troska. Jedna z członkin Wspólnoty mówi: – Osoby, które spotykam pod Dworcem Centralnym, są po prostu bardzo fajne. Jestem im wdzięczna, że wpuściły mnie do swojego życia, zupełnie innego niż moje. Dzięki temu poczułam się nie tylko potrzebna, ale też zaopiekowana. I dobrze się bawiłam, bo naprawdę wszyscy chcą, żeby podczas tych spotkań było miło i radośnie, na ile to możliwe.

– Kiedy jesteśmy razem z ubogimi, zyskujemy wszyscy – dodaje Wolnik.

W centrum i na peryferiach

Wspólnota Sant'Egidio próbuje oddziaływać na społeczne postrzeganie bezdomności. Spotkania z osobami w kryzysie bezdomności odbywają się w centrach

miast (choć w Warszawie także na lotnisku Okęcie). Dwa lata temu z inicjatywy Wspólnoty, we współpracy z innymi organizacjami, w Warszawie odbyło się ogólnopolskie Święto Ubogich, z udziałem kard. Kazimierza Nycza, rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara czy takich artystów jak Muniek Staszczuk i Tomasz Budzyński. List do uczestników i uczestniczek napisał jałmużnik papieski, dziś już kardynał Konrad Krajewski. Wydarzenie miało miejsce w Świątyni Opatrzności Bożej – w centrum opanowanego przez klasę średnią miasteczka Wilanów. To wszystko świadome wybory, mające przeciwstawić się wypychaniu bezdomności na marginesy społeczeństwa. Chodzi o pokazanie, że osoby bezdomne są mieszkańcami tych samych metropolii, co my. I mają prawo być w ich centrum. A także w centrum Kościoła.

Nie dziwi więc, że z tak dużą życzliwością do Wspólnoty odnosi się papież. To, co mówi o Kościele ubogich, peryferiach, migrantach, stanowi treść życia Sant'Egidio od długiego czasu. Kierujący Wspólnotą podkreślają jednak, że czuli bliskość również z poprzednikami Franciszka. Kiedy Karol Wojtyła zostawał papieżem, szukał w Rzymie miejsc, w których żyje się Ewangelią – tak trafił na Wspólnotę. Gdy była jeszcze niewielka, obdarzył ją zaufaniem – a później także odpowiedzialnością za podtrzymywanie ducha Asyżu po międzyreligijnym spotkaniu modlitewnym w intencji pokoju.

Członkowie i członkinie Wspólnoty od lat wcielają w życie nauczanie papieża o wychodzeniu na peryferia. Jeżdżą do miejsc niemieszkalnych, do ogródków działkowych, pustostanów, przyczep kempingowych, namiotów, piwnic, gdzie odwiedzają swoich bezdomnych znajomych. Działają bezpośrednio – podają swoje numery telefonów, gdy trzeba, reagują, zimą rozwożą ciepłe posiłki, pomagają montować piece, namawiają do skorzystania ze schronisk.

Szczególnie ważne w działaniach Wspólnoty wydaje się nadawanie zjawisku bezdomności bardziej ludzkich kształtów: zamiast statystyk czy utartych schematów myślowych pojawiają się konkretne imiona, twarze, historie. Opowiadają je ludzie, którzy poznali swoich znajomych na ulicy lub w miejscach, gdzie próbują przetrwać. To bodaj najlepszy sposób na przełamywanie stereotypów. Gdy Franciszek zwywa, by dając jałmużnę zawsze

spojrzeć w oczy i ująć rękę tego, komu się ją daje, członkowie i członkinie Sant'Egidio mogą się tylko uśmiechnąć – robią to od zawsze.

Łatanie systemu

Doceniają to także ludzie zajmujący się sprawami bezdomności zawodowo. W Polsce, w której publiczny system wychodzenia z bezdomności istnieje teoretycznie, będąc zbiorem dziur, luk i błędnych założeń, takie inicjatywy wykonują pracę niemożliwą do przecenienia.

Adriana Porowska, dyrektorka Kamilińskiej Misji Pomocy Społecznej, która prowadzi w Warszawie schronisko dla bezdomnych mężczyzn i mieszkania treningowe, przyznaje, że Wspólnota dociera do osób, które nie korzystają z placówek i w efekcie najbardziej potrzebują wsparcia. Podkreśla, że aby trafić do specjalistów pracujących w noclegowniach, schroniskach, mieszkaniach treningowych czy jadłodajniach, trzeba im zaufać.

– A do tego często niezbędne jest spotkanie nie człowieka, któremu się zaufa, na ulicy. To najtrudniejszy element. Wsparcie osób w kryzysie bezdomności wymaga nie tylko profesjonalizmu, ale przede wszystkim empatii i wyczucia, których z pewnością nie brakuje członkom i sympatykom Wspólnoty – mówi Porowska. Za szczególnie istotne uważa, że przy istniejących mechanizmach wsparcia osób w kryzysie bezdomności opartych na wymaganiach i kryteriach, ludzie ze Wspólnoty nie oceniają i nie pouczają. Po prostu przy nich są. – Towarzyszą ludziom poranionym, chorym, wątpliwym, przywracają im nadzieję na lepsze jutro. Nie wszystkie osoby mieszkające na ulicach Warszawy znajdują nocleg, nie każdy człowiek otrzyma pomoc medyczną, ale dzięki takim ludziom każdy ma szansę spotkać dobrą duszę, która o niego zawalczy, zapyta, jak ma na imię, poczęstuje kanapką, zatroszczy się o buty i kurtkę, zadzwoni w jego imieniu po pomoc streetworkera, strażnika miejskiego czy karetkę pogotowia – dodaje. Podkreśla, że wiele osób skorzystało z pomocy Kamilińskiej Misji tylko dzięki temu, że usłyszało o niej od ludzi z Sant'Egidio.

Ubudzy o różnych twarzach

Podobnie dzieje się w innych miejscach świata (Wspólnota jest obecna w ponad 70 państwach). Jak podkreślają kierujący Sant'Egidio, ubodzy w różnych miej-

scach mają różne twarze. Dlatego Wspólnota otacza opieką i troską nie tylko osoby w kryzysie bezdomności, starsze czy uchodźców, ale także dzieci ulicy, dzieci imigrantów, więźniów, osoby chore na AIDS czy z niepełnosprawnościami.

Jak przekonuje Wolnik, mimo różnic w działaniach i kulturze, Wspólnotę jednoczy jeden duch oparty na wspomnianych trzech słowach: modlitwa, ubodzy, pokój.

Chociaż często działa za pomocą małych środków, Wspólnota nie boi się również dużych wyzwań – w Rzymie prowadzi szereg noclegowni, schronisk czy jadłodajni. Angażuje się również we wprowadzanie rozwiązań systemowych, takich jak wspomniane korytarze humanitarne. A także w procesy pokojowe. To dzięki zaangażowaniu Wspólnoty udało się zakończyć trwającą 15 lat wojnę domową w Mozambiku.

By jeszcze mocniej żyć jednym duchem, Wspólnota organizuje wspólne przeżywanie liturgii Triduum Paschalnego w różnych miejscach świata i coroczne spotkania młodych zaangażowanych w Sant'Egidio. Przyszłoroczny zlot odbędzie się w Polsce.

Rewolucja na wakacjach

Sant'Egidio powstała w 1968 r. na fali posoborowego entuzjazmu, ale także jako

odpowiedź na przechodzącą przez Europę rewolucję społeczną i kulturową. Jak podkreślają sami założyciele Wspólnoty, szukali wówczas sposobu na dokonanie „rewolucji serca”. Chcąc zmieniać świat, zaczęli od siebie i od refleksji nad tym, jak zmieniać serca ludzi, żeby w efekcie zmienić rzeczywistość. – Do dziś od tego staramy się zaczynać – mówi Wolnik. – 50 lat temu ludzie młodzi mieli większą śmiałość, by marzyć o zmianie świata. Dziś jesteśmy dużo bardziej skoncentrowani na sobie samych. Tym bardziej potrzeba nam szerokich horyzontów, bliskiego spotkania z drugim człowiekiem, który także nas samych wyrwa z samotności i egoizmu.

Gdy ten numer „Tygodnika” będzie w sprzedaży, członkowie i członkinie Wspólnoty Sant'Egidio pojadą na wakacje. Nie sami. Zabiorą swoich przyjaciół w kryzysie bezdomności. Bo także w takich warunkach – weekendowego wypadu do Czerwińska – dokonać się może rewolucja zmieniająca świat.

© IGNACY DUDKIEWICZ

Autor jest publicystą zajmującym się tematyką Kościoła, aktywności społecznej oraz wykluczenia i bezdomności. Redaktor działu Wiara w „Magazynie Kontakt” (magazyinkontakt.pl) i redaktor naczelny „Publicystyki” w portalu ngo.pl.

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 14 lipca 2018 r., po ciężkiej chorobie, opatrzona świętymi sakramentami, przeżywszy 94 lata, odeszła do domu Ojca

ukochana Mama, Babcia, Mama chrzestna i Prababcia

ś.†p.

Wanda Klominek

z domu Szyszkowska

Doktor nauk humanistycznych,
założycielka pierwszego ośrodka adopcyjno-opiekuńczego w Krakowie.
Człowiek wielkiej dobroci i wrażliwości,
wieloletnia i wierna czytelniczka „Tygodnika Powszechnego”.

Pogrzeb odbył się 20 lipca 2018 r. na cmentarzu Salwatorskim,
o czym zawiadamiają pogrążeni w smutku

RODZINA I PRZYJACIELE



Domenico Fetti, „Przypowieść o zgubionej sztuce srebra” (fragment), początek XVII w.

Bóg – Ojciec czy Matka

JÓZEF MAJEWSKI

Pismo Święte, inaczej niż tradycyjna teologia i doktryna, odnosi do Boga także kobiece symbole i metafory.

BÓG MA WIELE IMION, A KAŻDE Z NICH osobno i wszystkie razem wzięte i tak co najwyżej muskają Jego nieskończoną tajemnicę, zgodnie z zasadą sformułowaną przez Jan Pawła II: „To wszystko, co zdołamy powiedzieć o Bogu, przypomina raczej gaworzenie dziecka, pozostanie na zawsze słowem małego, ograniczonego ludzkiego jestestwa”.

Bóg tradycyjnie nazywany i przywoływany jest jako Stwórca i Odkupiciel, Zbawiciel i Pan Zastępów, Mocarz i Zwycięzca, Prawodawca i Sędzia, Oblubieniec i Poczyszcziciel, Ogrodnik i Przyjaciół. W doktrynie Kościoła i w tradycyjnej teologii mocno akcentuje się ojcostwo Boga, ponieważ – jak się tłumaczy – właśnie imię

Ojciec dominuje w nauczaniu i modlitwach Jezusa z Nazaretu.

Bóg Ojciec w liczbach

W Nowym Testamencie „Ojciec” w odniesieniu do Boga pojawia się ponad 200 razy. W Starym Testamencie – zaledwie kilkanaście razy, głównie w Księgach prorockich. Dochodzimy więc do wniosku, że Nowy Testament stoi Bogiem Ojcem, tym bardziej że ewangelisci najczęściej wkładają to imię w usta samego Rabbiego z Nazaretu. Znamienne okazują się jednak szczegóły. Gdy ustalimy liczbę jego zastosowań osobno dla dzieł Marka, Mateusza, Łukasza, Jana i ujmijemy je chronologicznie, zobaczymy ciekawą prawidłowość – imię to pojawia się w nich z rosnącą częstotliwością:

- u Marka (Ewangelia powstała w latach 60-70 n.e.) – 4,
- u Łukasza (między 70 a 100 r. n.e.) – 15,
- u Mateusza (między 70 a 100 r. n.e.) – 49,
- u Jana (na przełomie I i II w.) – 109.

Jeszcze bardziej znacząco układają się te statystyki, gdy w badaniach nad Ewangelią wykorzystamy teorię tzw. źródła Q (niem. *Quelle* – źródło). Chodzi o hipotetyczny dokument z czasów pierwotnego chrześcijaństwa, zawierający część wypowiedzi Jezusa, które były gromadzone i spisane już po Jego śmierci, zanim w Kościele apostołskim pojawiły się cztery Ewangelie kanoniczne. Przyjmuje się, że Mateusz i Łukasz korzystali z tego źródła, a do tego dysponowali Ewangelią Marka, oprócz tego sięgając po własne materiały.

Łukasz opisał metodologię, z pomocą której redagowano Ewangelie: „Wielu już starało się ułożyć opowiadanie o zdarzeniach, które się dokonały pośród nas, tak jak nam je przekazali ci, którzy od początku byli naocznymi świadkami i sługami słowa. Postanowiłem więc i ja zbadać dokładnie wszystko od pierwszych chwil” (Łk 1, 1-4).

Gdy zatem zbadamy cztery Ewangelie z wykorzystaniem teorii o źródle Q, będziemy w stanie wyróżnić w nich materiały charakterystyczne wyłącznie dla poszczególnych ewangelistów i dla tego źródła. W rezultacie statystyki z boskim imieniem Ojca wyglądają tak:

- u Marka – 1,
- w źródle Q – 1,
- u Łukasza – 2,
- u Mateusza – 1,
- u Jana – 73.

Wygląda więc na to, że mamy do czynienia „nie z przykładem rzeczywistego częstego stosowania tej metafory [Ojca – red.] przez Jezusa, lecz raczej z rozwojem refleksji teologicznej w Kościele pierwotnym” (s. Elizabeth Johnson). Wygląda na to, że Kościół w pierwszym stuleciu spośród wszystkich imion, jakimi Jezus nazywał Boga, upodobał sobie w tym jednym: Ojcu.

Matczyne łono Boga

Bogactwo tradycyjnych imion Boga jest wielkie, a mają one wspólną cechę: są rodzaju męskiego. Na próżno szukać – szczególnie w doktrynie i liturgii – wyobrażeń, metafor czy symboli kobiecych. Jakby to, co kobiece, było obce temu, co boskie, i należało do sfery *profanum*. Jakbyśmy chcieli powiedzieć, że kobieta albo nie została stworzona na obraz Boży, albo że obraz ten jest w niej mniej doskonały niż w mężczyźnie, co zresztą przyjmowało wielu teologów, w tym Ojców czy Doktorów Kościoła, jak św. Augustyn czy św. Tomasz z Akwinu. Zgodnie jednak z teologią obrazu Bożego, na równi obecnego w mężczyźnie i kobiecie, możemy odnosić do Boga metafory i wyobrażenia zarówno męskie, jak i kobiece.

W nazywaniu Boga jesteśmy skazani na język tego świata, na symbole, metafory i wyobrażenia zaczerpnięte z życia ograniczonych istot ludzkich, z życia kobiet i mężczyzn (i to w takim samym stopniu). Zasada ta dotyczy możliwości każdego człowieka, także ludzkich autorów Pisma Świętego, najważniejszej normy wiary, której w Kościele już nic nie normuje. Bóg, wybierając konkretnych ludzi na autorów Świętych Ksiąg, nie uczynił z nich ponadludzkich herosów teologii i pióra, mających istic boski wgląd w boskie tajemnice. Nikt nie ma dostępu do czegoś takiego jak język czysto boski. Zasada ta dotyczy również języka samego Rabbiego z Nazaretu, skoro wierzymy, że był On prawdziwym człowiekiem.

Jan Paweł II w 1988 r. w liście apostołskim o godności kobiety „Mulieris dignitatem” pisał, że w Piśmie Świętym „Bóg przemawia językiem ludzkim, używa ludzkich pojęć i wyobrażeń. Jeśli ten sposób wyrażania się jest nacechowany pewnym antropomorfizmem, to płynie to z faktu, że człowiek jest »podobny« do Boga: stworzony na Jego obraz i podobieństwo. Wobec tego zaś – i Bóg jest w jakiejś mierze »podobny« do człowieka; może być poznawany przez ludzi na za-

sadzie tego podobieństwa. (...) Ostatecznie dla człowieka stworzonego na obraz Boga – Bóg nie przestaje być Tym, który »zamieszkuje światłość niedostępną« (1 Tm 6, 16): jest »całkowicie Innym«, istotowo »Innym«. Ta uwaga o (...) granicach podobieństwa człowieka do Boga w języku biblijnym (...) musi być wzięta pod uwagę również wówczas, gdy w różnych miejscach Pisma Świętego (zwłaszcza w Starym Testamencie) znajdujemy porównania, które przypisują Bogu cechy »męskie«, albo też »kobiece«.

Pismo Święte – inaczej niż tradycyjna teologia i doktryna – odnosi do Boga symbole i metafory nie tylko męskie, lecz i kobiece. Jan Paweł II jako przykłady tych drugich przywołuje zaledwie kilka, ale znamienitych biblijnych passusów, koncentrując się na Starym Testamencie (np. Iz 42, 15; 46, 3-4; 66, 13; Ps 131, 2-3). Przeczytajmy choćby wołanie Boga w Księdze Izajasza (49, 15):

*Czyż może niewiasta zapomnieć
o swym niemowlęciu,*

Ta, która kocha syna swego łona?

A nawet gdyby ona zapomniała,

Ja nie zapomnę o tobie.

Podobnie u psalmisty (131, 2-3):

Jak niemowlę u swej matki,

*Jak niemowlę – tak we mnie jest moja
dusza.*

*Izraelu, złóż w Panu nadzieję
Odtąd i aż na wieki!*

Jan Paweł II w encyklice o Duchu Świętym „Dives in misericordia” (1980) przypominał jeszcze o innym biblijnym kobiecym aspekcie tajemnicy Boga. Jednym z hebrajskich słów, którymi Stary Testament nazywa miłosierdzie Boże, jest *rahamim*, pochodzące od *reham*, oznaczającego „łono matczyne”, „macicę”, miejsce w kobiecie, gdzie poczyną się nowi człowiek. Papież pisał: „Z tej najgłębszej, pierwotnej bliskości, łączności i więzi, jaka łączy matkę z dzieckiem, wynika szczególnie do tegoż dziecka stosunek, szczególna miłość (...) całkowicie darmo dana, niezastulona, że w tej postaci stanowi ona jakąś wewnętrzną konieczność: przymus serca. (...) »rahamim« rodzi całą skalę uczuć, a wśród nich dobroć i tklliwość, cierpliwość i wyrozumiałość, czyli gotowość przebaczenia. Takie też cechy Stary Testament przypisuje Bogu, ilekroć mówiąc o Nim, posługuje się tym wyrażeniem »rahamim« (nr 4).

Szczególnego znaczenia nabiera więc także i ten fakt, że w Biblii hebrajskiej słowo *Ruah* (Duch) – jest rodzaju żeń-

skiego. To m.in. dlatego w pierwszych wiekach Kościoła w Syrii do Ducha Świętego, Trzeciej Osoby Boskiej, odnoszono wyobrażenia macierzyńskie. Przykładem taka oto modlitwa liturgiczna: „Ten świat ma Ciebie za miłosierną matkę. Przynies z sobą pokój i ukojenie i ogarnij swymi skrzydłami nasze grzeszne czasy”.

W Kościele współczesnym jednak na nic się zdała tradycja biblijna i syryjska. W 1997 r. Kongregacja Nauki Wiary w dokumencie „Normy tłumaczenia tekstów biblijnych stosowanych w liturgii” nakazała: „W wierności natchnionemu Słowu Bożemu ma być zachowana tradycyjna biblijna praktyka nazywania osób Trójcy Świętej jako Ojca, Syna i Ducha Świętego. Podobnie w zgodzie z tradycją Kościoła, żeńskie (...) zaimki nie mogą być stosowane w odniesieniu do osoby Ducha Świętego” (nr 4, 3-4).

Bóg – Tata i Matka

W historii teologii i doktryny Kościoła doszło do tego, że to, co męskie, zrosło się tak ściśle z tym, co boskie, iż odniesienie do Boga wyobrażeń i metafor kobiecych, nawet tych znanych z Pisma Świętego, budzi wśród wiernych zdziwienie.

Wbrew temu, co stwierdza Katechizm Kościoła Katolickiego: że „Bóg (...) nie jest ani mężczyzną, ani kobietą (...), jest czystym duchem, w którym nie ma miejsca na różnicę płci” (nr 239 i 370) – Boga traktuje się w Kościele tak, jakby był mężczyzną. Jeśli nawet – jak twierdzą obrońcy tradycyjnego języka o Bogu – nazywanie Go z pomocą wyłącznie wyobrażeń męskich nie jest równoznaczne z utożsamianiem Go z mężczyzną, to – jeszcze raz s. Johnson – „skąd bierze się tyle zastrzeżeń, kiedy do opisu Boga wprowadza się wyobrażenia kobiece?”.

Skąd – można pytać dalej – bierze się sprzeciw, gdy do Boga odnosi się imię Matki, nawet jeśli właśnie tak nazwał Go papież Jan Paweł I 10 września 1978 r., podczas rozważań na Anioł Pański: „[Dio] E papà; più ancora è madre” ([Bóg] Jest Tatą; jeszcze więcej – Matką)? Problematyczność – tłumaczą obrońcy tradycyjnego stanowiska – bierze się stąd, że autorzy Świętych Ksiąg nigdy nie nazywają Boga Matką, podczas gdy nazywają Go Ojcem. „Biblia wielokrotnie mówi, że Bóg JEST OJCEM, bądź też, że jest JAK MATKA (...). Nigdzie natomiast nie orzeka, że jest Matką” (ks. Wojciech Życkiński). Jeśli zaś Pismo Święte odnosi do Boga język matczyny, to tylko →

→ po to, by wskazać na szczególną, właśnie macierzyńską cechę Jego ojcowskiej miłości, bliskości, czułości, delikatności. Tak też widzi to Katechizm: „ojcowska tkiliwość Boga może być wyrażona w obrazie macierzyństwa, który jeszcze bardziej uwidacznia immanencję Boga, czyli bliskość między Bogiem i stworzeniem (...): nikt nie jest ojcem tak jak Bóg”.

Argumentacja taka jednak nie przekonuje. Pismo Święte w żadnym miejscu nie nazywa Boga również Trójcą Świętą czy Osobą, nie znajdziemy w nim również – tak charakterystycznych dla tradycyjnej teologii i doktryny – pojęć w rodzaju „transsubstancjacja” czy „unia hipostatyczna”. Mimo to nie wyprowadzamy z tego wniosku, że Boga nie wolno nazywać Osobą i Trójcą, że w Eucharystii nie dokonuje się przeistoczenie albo że Chrystus nie jedna w sobie dwóch natur, ludzkiej i boskiej. Problem nie polega zatem na tym, czy autorzy biblijni posługują się taką czy inną terminologią, ale na tym, czy tej terminologii w Świętych Księgach odpowiada konkretna rzeczywistość.

Z faktu, że Biblia nazywa coś z pomocą określonych słów, nie wynika od razu ich normatywność dla wiary. Pismo Święte zna wiele przykładów takiego mówienia o Bogu, które – w myśl rozumowania tradycyjnego stanowiska – winno być normatywne, a jednak takie nie jest. W Biblii znajdziemy np. stwierdzenia, że Bóg „stwarza zło” (Iz 45, 7) lub jest miłośnikiem zniszczenia, „Mocarzem wojny” (Wj 15, 3). Czy zatem mamy nazywać Go Stwórcą zła i przypisywać Mu koszarne zło wszelkich wojen?

Jezus zobowiązał swoich uczniów, by pamiętali o kobiecie, która namaściła Mu nogi: „Gdziekolwiek po całym świecie głosić będą tę Ewangelię, będą również opowiadać na jej pamiątkę to, co uczyniła” (Mk 14, 9). Tymczasem Kościół nawet nie zapamiętał jej imienia, a i w działalności

Kościół w pierwszym stuleciu spośród wszystkich imion, jakimi Jezus nazywał Boga, **upodobał sobie w tym jednym: Ojcu.**

ewangelizacyjnej raczej nie zajmuje ona poczesnego miejsca. Można by powiedzieć w tym wypadku, że coś, co Rabbi z Nazaretu uznał za normę, nie normuje życia i działalności Kościoła.

Zwolennicy wyłącznie męskiego języka o Bogu zapominają, że – zgodnie z fundamentalnymi regułami języka wiary, także zatem języka Pisma Świętego – imię „Ojciec” odniesione do Boga jest metaforą. Nie można go pojmować dosłownie, ono znaczy tyle, że Bóg jest „jak ojciec”. Jan Paweł II: „Ta właściwość biblijnego języka, jego antropomorficzny sposób mówienia o Bogu, wskazuje także pośrednio na tajemnicę odwiecznego »rodzenia«, które należy do wewnętrznego życia Boga. Jednakże to »rodzenie« samo w sobie nie posiada cech ani »męskich«, ani »kobiecych«. Jest całkowicie Boskiej natury. Jest najdoskonalej duchowe, albowiem »Bóg jest duchem« (J 4, 24), nie posiada żadnych cech właściwych ciału, ani »kobiecych«, ani »męskich«. Również więc i »ojcostwo« w Bogu jest na wskroś Boże, wolne od cielesnej charakterystyki »męskiej«, jaka właściwa jest dla ludzkiego ojcostwa” („Mulieris dignitatem” nr 8).

Boska Gospodyni

W słowniku Jezusa Bóg nosi różne imiona – jest Gospodarzem, Pasterzem, Siewcą, Żniwiarzem, Właścicielem winnicy, Królem, Panem, Mistrzem, Nauczycielem czy Abbą. Co znaczące, w zbiorze tym znajdziemy także imiona kobiece. Bóg w na-

uczaniu Jezusa jest np. Gospodynią. Dowiadujemy się o tym z przypowieści o kobiecie szukającej drachmy w Ewangelii Łukasza: „Jeśli jakaś kobieta, mając dziesięć drachm, zgubi jedną drachmę, czyż nie zapala światła, nie wymiata domu i nie szuka starannie, aż ją znajdzie? A znalazłszy ją, sprasza przyjaciółki i sąsiadki i mówi: »Cieszcie się ze mną, bo znalazłam drachmę, którą zgubiłam«” (Ł 15, 8-10). Nie ma wątpliwości, że Jezus przyrównuje Boga do gospodyni, tak jak tuż wcześniej, w tym samym rozdziale, przyrównał Go do pasterza szukającego zagubionej owcy (Ł 15, 1-7), a za chwilę przyrówna do miłosiernego ojca (Ł 15, 11-32).

W nauczaniu Rabbiego z Nazaretu Bóg jest także kobietą przygotowującą ciasto na chleb – tym razem w przypowieści w Ewangelii Mateusza: „Królestwo niebieskie podobne jest do zaczynu, który pewna kobieta wzięła i włożyła w trzy miary mąki, aż się wszystko zakwasiło” (Ł 13, 33). Kobieta ta symbolizuje samego Boga, co znowu wynika z logiki przypowieści znajdujących się w rozdziale trzynastym. Człowiek, który zasiał nasiona na swej roli (Ł 13, 24-30), i ten, który zasiał ziarno gorczycy (Ł 13, 31-32) wyobrażają samego Boga.

Jak to się dzieje, że Pismo Święte odnosi do Boga metafory i wyobrażenia kobiece, jak też widzi w Nim to, co kobiece/ /matczyne, a w tradycyjnej teologii, doktrynie, jak też w liturgii Kościoła zasadniczo wciąż ich brak? Jak to możliwe, by nie dać się pociągnąć w tym względzie Biblii, normie porządkującej życie i nauczanie Kościoła?

Cóż sprawia, że tradycyjna teologia nie idzie za przykładem Świętych Ksiąg, by z pomocą języka nie tylko męskiego, ale również kobiecego jeszcze głębiej i szerzej poznawać, nazywać, akcentować, artykułować, podziwiać, sławić i wychwalać niewypowiedziane i niezagłębione bogactwo tajemnicy i dzieł Boga? © JÓZEF MAJEWSKI

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygn. I Ns 1230/17, toczy się, na wniosek Bogusławy Dyry, postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Joannie Gralińskiej, zm. 14 marca 1994 r. w Otwocku, ostatnio stale zamieszkałej w Sulejówku.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, toczy się, na wniosek Adama Wąsaka, pod sygn. I Ns 1199/17, postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia własności nieruchomości położonej w miejscowości Budy Kumińskie, o łącznej powierzchni 1,5400 ha, składającej się z działek oznaczonych w ewidencji gruntów numerami: 144 i 236/2.

Sąd wzywa zainteresowanych, w szczególności spadkobierców Ryszarda Jabłonowskiego, aby w terminie 3 miesięcy zgłosili się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

SZYMON

Hołownia:

Gdy kraj pęka w mszach



„EUCHARYSTIA JEST POZBAWIONA SWOJEGO znaczenia i efektu, gdy ubodzy są ignorowani i odrzuceni” – napisał w liście pasterskim biskup malowniczej maltańskiej wyspy Gozo, ks. Mario Grech. Miał rzecz jasna na myśli znajdującą coraz więcej zwo-

lenników w UE politykę zamykania portów przed łodziami wyławiającymi uchodźców z Morza Śródziemnego. „Nie można otworzyć serca na Chrystusa, a jednocześnie zamknąć je przed tymi, którzy cierpią” – pisał biskup, zarządzając jednocześnie zbiórke na jezuicką organizację niosącą pomoc uchodźcom, którym udało się na Maltę dostać.

W swoim liście bp Grech odwoływał się do 11. rozdziału Pierwszego Listu do Koryntian. Św. Paweł pisze w nim, że jeśli wierni schodzący się na Eucharystię są podzieleni, Eucharystii *de facto* nie ma, warunkiem jej efektywności jest jedność wspólnoty gromadzącej się przy stole (uwaga: jedności nie należy spłycać do jednolitości). Niezawodny o. Kasper Mariusz Kaproń OFM dodał do tego na swoim facebookowym profilu odnośny cytat (długi, ale warto) ze św. Jana Chryzostoma. Ów pisał (w „Homilii na Ewangelię Mateusza”): „Jeśli pragniesz oddać cześć Ciału Chrystusa, nie zapominaj o Nim, gdy jest w potrzebie. Nie czcisz Go w kościele jedwabiem, jeśli na zewnątrz nie zauważasz, gdy jest zziębnięty i nagi. Ten bowiem, kto powiedział: »To jest Ciało moje« i sprawił to, co powiedział, mówił także: »Byłem głodny, a nie daliście Mi jeść« oraz »czego nie učiniliście jednemu z tych najmniejszych, Mnieście nie učinili«. (...) Tutaj, w kościele, z pewnością nie potrzebuje okrycia, ale czystych dusz, tam na zewnątrz bardzo potrzebuje pomocy... Cóż za pożytek, jeśli stół Chrystusa ozdabiają złote kielichy, podczas gdy On sam jest głodny. Daj najpierw jeść głodnemu, a dopiero z tego, co zostanie, ozdabiaj Jego stół. Ofiarujesz złoty kielich, kubka zaś wody nie podasz? Na cóż zaścielać stół Chrystusa drogocennymi nakryciami, jeśli Mu się odmawia koniecznego odzienia. Jaki stąd pożytek? Bo powiedz mi, jeśli napotkasz zgłodniałego, nie zajmiesz się nim, a tylko stół będziesz mu kosztownie ozdabiał, czy będzie ci za to wdzięczny, czy może raczej zagniewany z tego powodu. A jeśli byś zobaczył go w podartym odzieniu i drżącego z zimna pozostawił bez okrycia, natomiast wznosił złote kolumny utrzymując, iż czynisz to na jego chwałę, to czy nie będzie sądził, iż jest niegodnie wyśmiewany i obrażany? Pomyśl, że to właśnie Chrystus wędruje i tuła się pozbawiony dachu nad głową; ty zaś nie przyjąwszy Go w gościnę, przyozdabiasz dlań posadzkę, ściany i kapitele kolumn. Srebrnymi łańcuchami przytwierdzasz lampy, Jego zaś związanego w więzieniu nawet zobaczyć nie chcesz...”.

Biskup Grech to nader ciekawa postać. W 2011 r., gdy na Maltie miało miejsce referendum nad wprowadzeniem

do państwowego prawa dopuszczalności rozwodów, oskarżano go, że publicznie dał do zrozumienia, iż katolicy, którzy poprą rozwodowe prawo, popadną w grzech i nie powinni przystępować do komunii, zanim nie wyjaśnią sprawy ze spowiednikiem. Z miejsca stał się idolem kościelnych „konserwatystów”. Którzy dziś psioczą na niego i knują wokół niego spiski, bo parę lat później ten sam bp Grech okazał się zwoleńnikiem radykalnie – nazwijmy to tak – „liberalnej” interpretacji słynnego już rozdziału 8. adhortacji „*Amoris laetitia*”. I wraz z resztą Episkopatu Malty (czyli z jeszcze jednym kolegą po piusce) wydał instrukcję dla księży, wskazującą, że mogą nie odmówić komunii osobom w kolejnych związkach, o ile wcześniej upewnili się, że poniechanie relacji intymnych jest dla nich „po ludzku niemożliwe”, a proces rozoznawania (w sumieniu, ale dokonywany wraz z Kościołem) „doprowadzi zainteresowanych do przekonania, że są pojednani z Bogiem”.

Sam hierarcha zaprzecza, jakoby miał grozić suspensą księżom, którzy nie zastosują się do instrukcji. Pozostaje jednak „franciszkowy”, np. przypominając, że „konfesjonał to nie sala tortur”.

Tak na zdrowy chrześcijański rozum: co dziwnego lub nienormalnego jest w tym, że katolicki biskup jest przeciwko rozwodom, ale za tym, by jak najusilniej szukać w naszej wspólnocie miejsc dla tych, którzy dramat rozwodu przeszli? Czy twardość przykazania „Nie cudzołóż” stoi w sprzeczności z troską o następę tych, którym w tej dziedzinie powinęła się noga (i których odejście, powiedzmy to sobie szczerze, zdzięsiłoby nam Kościół momentalnie)? Czy przypominanie o tym, jak ważne jest w świecie błyskawicznego powielania informacji ósme przykazanie Dekalogu, wyklucza konieczność walki o tych, którzy nadpsuli ten świat kłamstwem lub plotką? W warstwie norm prawnych katolik w oczach reszty świata zawsze będzie „konserwatystą”. Warto jednak, by pamiętał, że wobec niego samego w każdej dokładnie spowiedzi Bóg okazuje się niepoprawnym wręcz „liberałem”.

Głupio byłoby spłycać przesłanie biskupa Grecha (podobnie jak wspaniałe listy pisane ostatnio przez świeckich i biskupów z Włoch, a więc z tego rejonu naszego kontynentu, gdzie życie Ewangelią kosztuje dziś nieporównanie więcej niż w Polsce coraz szczelniej odciętej od reszty Europy), opatrując go etykietami prawego czy lewego, betonu czy poluzowacza. Dla nas jest chyba przecież jasne, że orędzie Jezusa w naszym domu przetrwa nie wtedy, gdy zagwarantują mu to politycy, ale jeśli Jego Kościół walczyć będzie o każdego Europejczyka, niezależnie od tego, w jakich tarapatach się znalazł, i o każdego, kto będzie pukał do naszych bram.

Spożywa się w Polsce tony komunii świętej, poczynając od władz naczelnych, zawsze pierwszych w kolejce, na mnie niegodnym kończąc. I dzięki niech będą biskupowi z Malty, że przypomniał mi, dlaczego w skali społecznej zdaje się to w Polsce nie działać. Coraz więcej wielkich mszy, a kraj coraz bardziej pęka. Oto, dlaczego nie działa: Chrystusa, którego przyjmujemy w kościele, poza nim (często w Jego imię, co pokazuje skalę paranoi) odrzucamy. On więc chyba cierpliwie czeka ze swoją łaską i cudami na koniec naszej dwubiegunowości, na spójną decyzję.

Czy tego doczeka – nie wiem, ale warto chyba zacząć się martwić, byśmy my tego doczekali. ©

WSZYSTKO, CO NIE ISTNIEJE

ZOFIA ROSIŃSKA, FILOZOF:

Nie jestem stara, ale inni myślą odwrotnie.

I to jest katastrofa.

Widzą starą kobietę, którą nie jestem.



JUSTYNA DĄBROWSKA: Czym się Pani profesor teraz zajmuje?

ZOFIA ROSIŃSKA: Modlitwą.

Jak to?

Piszę książkę o modlitwie. Ale modlitwa nie interesuje mnie z teologicznego punktu widzenia. Interesuje mnie z antropologicznego punktu widzenia. Chcę napisać, jak i dlaczego jest ważna dla człowieka. Chciałabym tą książką zakończyć swoją biografię filozoficzną i intelektualną, jeśli oczywiście pożyje jeszcze te dwa-trzy lata.

Dlaczego akurat modlitwa Panią zaintrygowała?

Zaczął się od tego, że mój kolega filozof, profesor Jacek Hołówka poprosił, żebym napisała rozdział do jego książki „Filozofia religii”. Kiedy zaczęłam czytać, okazało się, że jest mnóstwo literatury na ten temat – ogromna dziedzina, o czym w ogóle nie wiedziałam. Przedtem zajmowałam się doświadczeniami. Doświadczeniem psychotycznym, estetycznym, mistycznym, ale nigdy modlitewnym. Teraz nagle idę w nowym kierunku. Może to z powodu wieku? Nie wiem, ale wciąga!

Proszę opowiedzieć więcej o modlitwie nieteologicznie.

To doświadczenie jest mi obce.

Bo pani jest jeszcze za młoda. Modlitwa sprawia, że człowiek wydobyla się poza siebie samego. Kiedy się modłę, to już nie boleję nad tym, że mnie boli noga albo że nie jestem taka sprawna jak kiedyś, tylko po prostu zwracam się poza siebie. Na przykład: „Duchu Święty, pozwól mi rozwiązać ten problem teoretyczny, który mam”. To pozwala mi wyjść poza moje dolegliwości.

ZOFIA ROSIŃSKA (ur. 1940)

jest profesorem nauk humanistycznych, profesorem zwyczajnym w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Kierownik Zakładu Filozofii Kultury, członkini Komitetu Nauk Filozoficznych Polskiej Akademii Nauk. Zajmuje się problemami z pogranicza psychologii i filozofii oraz historii psychologii, głównie zaś psychoanalizą.

Modlitwa ma terapeutyczną moc?

Tak. Ja nie wiem, co Duch Święty mi zleci i czy mi pomoże, ale dzięki modlitwie wydobywam się ze swojego problemu, którego nie mogę rozwiązać. Mówię akurat o Duchu Świętym, bo on jest od mądrości.

Modlitwa jest prośbą?

Bywa, ale nie musi być. Może być dziękczynieniem, może być wielbieniem, może być po prostu wydobywaniem się z siebie. To powoduje wzmocnienie dobrostanu wewnętrznego.

Jak modlitwa to robi?

Uzyskuję dystans do siebie, do problemów, urazów. Pozwala mi uznać, że jest jeszcze coś. Wyżej. Albo obok.

Daje ulgę, bo mogę się na tym czymś oprzeć?

Tak, chociaż nie wiem dokładnie, na czym. Sam fakt, że mogę się odwołać do czegoś poza mną, przynosi ukojenie. Niby mogę się odwołać do przyjaciela, on też jest poza mną. Ale jednak nie na tyle, na ile trzeba. Wie pani, istnieje transcendentja pionowa albo pozioma. Doświadczenie modlitewne ma charakter pionowej transcendencji. Ja to nazywam „odruchem metafizycznym”.

Modli się Pani?

Bardzo bym chciała umieć, ale nie potrafię. Staram się. Odmawiam „Ojcze nasz”, „Zdrowaś Mario”.

Często?

Bez przerwy. Codziennie, kilka razy dziennie. Idę sobie ulicą i mówię tak: „Duchu Święty, proszę Cię, pomóż mi, wejdź w mój umysł, prowadź go, bo inaczej nie wydołę”. Na przykład powiem coś, czego nie powinien mówić. Dzisiaj przed spotkaniem z panią modliłam się do Ducha Świętego, żeby poprzez mój umysł zadziałał. Ale naprawdę nie jestem tu żadnym wzorcem, mam znajomych, którzy są zaangażowani religijnie. Oni naprawdę się modlą.

A Pani nie naprawdę?

Jakoś tak nie bardzo... Może nie nawykłam do tego, może nie wciągnęłam się wystarczająco, może trzeba od dziecka? Babcia mnie prowadziła do kościoła, ale potem byłam bardzo przeciw. Teraz chciałabym być ponownie za, ale to nie

jest łatwe. Jak człowiek się wyalienuje, potem mu trudno wrócić. Może najbardziej by mi odpowiadała modlitwa świeckich?

Czyli w modlitwie Pani prosi się wyższą o wsparcie?

Niech ona działa, jak chce, a nie tak, jak ja chcę. Właśnie na tym ta zabawa polega, że człowiek się wyzwala od swojego „ja”.

Poddaje się?

Tak, ja się poddaję. To mi daje wielką ulgę. Ale nie mogę się oddać całkiem: Panie Boże, rób, co tam chcesz. Bo Pan Bóg – jak w dowcipie – mówi: „Człowieku, zagraj choć raz, kup los i daj mi szansę”. To musi być współpraca.

Choć nieraz myślę: człowiek gada do obrazu, a obraz doń ani razu. Ale to naturalne, że mamy momenty niewiary. Też to mam. Pytamy, wątpimy. Czasem mam tego więcej, czasem mniej. To jest nieprzyjemne, nie lubię tego, bo mam wtedy poczucie winy od razu: a dla czego ja wątpię? Może diabeł mnie kusi? No ale wiem, że trzeba wątpić, wątpienie jest konieczne.

A co to jest modlitwa świeckich?

Modlitwa ludzi, którzy nie są egoistyczni nie zapatrzeni w siebie. My mamy moc, ale ona nigdy nie jest w pełni nasza. Zawsze jesteśmy troszeczkę sterowani, oczywiście jeżeli mamy choć trochę wężu metafizycznego.

Po czym możemy poznać, że go mamy?

Tego nie wiem. Ja kiedyś go nie miałam, a teraz widzę, że mam. Po prostu. To się czuje. Fajnie jest mieć kontakt z kimś poza sobą. Naprawdę. Na panią też przyjdzie pora, na razie jest pani młoda. Ateiści mają do czynienia raczej z transcendencją poziomą. Ona jest mi bliska, ale niewystarczająca.

Dlaczego?

Dobre pytanie. Trzeba, żeby człowiek, z którym rozmawiam, miał autorytet. A ja jestem na tyle stara, że moich autorytetów już nie ma, odeszli. Nie ma Tatarkiewiczza, Kołakowskiego... już nie mogę im zadać tych pytań, które mnie teraz dręczą. A moi koledzy... cóż, mniej więcej wiem, co powiedzą. Prawdopodobnie to samo, co ja.

Może modlitwa jest po to, żebyśmy mieli nadzieję?

Tak, nadzieja jest bardzo ważna. Ale wie pani, jak trudno ją mieć? Pamięta pani, co Styron pisze w książce o swojej depresji: brak nadziei bardziej rani niż najgorszy ból. Jakby mnie pani teraz zapytała, czy mam jakąś nadzieję, to bym powiedziała: „Nie, wręcz przeciwnie”.

Jak to?

Nadzieja to nie tylko pragnienia i oczekiwania. Nadzieja także mieszka w ciele. Chce się pani wstać rano, chce się pani umyć zęby, zrobić gimnastykę. A to jest nudne. Dostojewski pisał: „mam już dosyć tego rozbierania się i ubierania...”. Dobrze jest, jak ciało się chce.

Dzisiaj miałam nadzieję, że pani przyjdzie, i że ciekawie porozmawiamy. Spotkania są dla mnie ważne. Wierzę Martinowi Buberowi.

W co?

W spotkanie. Jestem przekonana, iż poza tym, że istnieje „ja” i „ty”, jest jeszcze coś więcej. Relacja. Dialog jest dla mnie bardzo ważny, jeśli jest naprawdę autentyczny, jeśli nie jest eksploatacją, jeśli nie jest instrumentalnym traktowaniem drugiego człowieka.

A o czym by Pani porozmawiała z Kołakowskim, jakie pytania teraz Panią dręczą?

W kogo ja dokładnie wierzę? Jak rozumiem Boga, do którego się modlę? Jak go określam?

Jakie odpowiedzi przychodzą do głowy?

Właśnie nie wiem. Ale wiem, że tego potrzebuję. Bardzo chciałabym być człowiekiem wierzącym. Niestety, to jest niełatwe, bo wiara nie sprowadza się tylko do chodzenia do kościoła, do cerkwi czy bożnicy. Ludzie chodzą, nawet regularnie, ale często nic z tego nie wynika, żadne dobro, a cóż mówić o wierze. Wiara jest bardzo trudna.

Do czego Pani Profesor jej potrzebuje?

Do życia! Żeby mieć trochę więcej entuzjazmu, żeby się nie poddawać starzeniu biologicznemu. Nie chcę, żeby ludzie mówili: „Skończyła 70 lat, to odstawmy ją”. Mnie nikt tak nigdy nie powiedział, ale wiem, że tak się myśli. Nawet sami tak mówimy o naszych starszych kolegach, →

⇒ którzy chcą jeszcze być aktywni: „Oj, dajcie już sobie z nim spokój”.

Wiara może pomóc przejść przez starość?

Chroni trochę od samotności, bo mamy jakiegoś kumpla w niebie. Ale jak można w to uwierzyć? Chciałabym panią nawrócić, ale pani się pewno nie da.

Ale by była niespodzianka!

To musi być potrzeba. Pani może tego tak nie potrzebuje, bo pani się społecznie angażuje. A ja jako filozof jestem bezinteresowna, nie angażuję się społecznie. Uczucia mnie interesują, myśli, relacje z ludźmi. W Polsce jest tak mało dobrych relacji między ludźmi.

Dlaczego?

Nie wiem. Kiedy jadę gdzieś za granicę, to często lepiej czuję się tam niż w kochanej ojczyźnie. Tam ludzie się uśmiechają, pogodniejsi są. Nie wiem dlaczego. Ale jest, jak jest. Nie szkodzi, przeżywam to spokojnie.

A co jest po śmierci?

Nie wiem. Fajnie jest być chrześcijaninem. Chrześcijanie wierzą w zmartwychwstanie Chrystusa, czyli w zmartwychwstanie człowieka. Czyli nie wierzą w śmierć i to jest bardzo przyjemne. Uwierzyć, że się nie wierzy w śmierć, to jest to, co bym bardzo chciała. Pięknie by było wierzyć, że śmierć jest tylko przejściem. Wtedy się umiera inaczej. Człowiek nie leży i nie jęczy, tylko umiera. Koniec.

Czy to możliwe, żeby w obliczu śmierci mieć taką wiarę?

Właśnie tego bym bardzo chciała. A cały problem możliwości i niemożliwości to jest podstawowy problem filozoficzny. Dlaczego jesteśmy ludźmi wierzącymi? Bo wierzymy, że niemożliwe rzeczy może tylko Bóg uczynić, a możliwe może uczynić człowiek. Wierzyć w niemożliwe.

W tym jest cała sztuka?

Dokładnie w tym.

My w wiele niemożliwych rzeczy wierzymy. W miłość na przykład.

Miłość jest możliwa! Jak najbardziej. Ale tylko w literaturze. W żadne życiowe miłości nie wierzę, ale wierzę w wiersze o miłości. Miłość doświadczalna nie istnieje, bo rzeczywistość jest beznadziejna.

Fajnie jest być chrześcijaninem.

Chrześcijanie wierzą
w zmartwychwstanie
Chrystusa, czyli
w zmartwychwstanie
człowieka. Czyli nie wierzą
w śmierć. Uwierzyć,
że się nie wierzy w śmierć,
tego bym chciała.

Samo doświadczenie miłości nie istnieje?

Nie. A co to niby jest?

Pani Profesor nie może mnie tak zbywać. Jak to: „nie istnieje”?

Owszem, istnieje przyzwoitość, lojalność, uczciwość. Jest pani z kimś na stałe, albo na chwilę, ale jest pani przyzwoita wobec niego, współpracuje pani z nim, pomaga mu, towarzyszy, jest pani obecna. A miłość to jest rzecz wyobraźni i pragnień. Takie pragnienia to poezja zaspokaja.

Miłość to jest cieszenie się z tego, że ktoś jest na świecie.

Ja się cieszę, że jestem teraz z panią. Miło nam jest, ale czy to jest miłość? Spokojnie, jeszcze nie.

To jest też przekraczanie samego siebie, czyli odsuwanie na chwilę swoich pragnień, potrzeb, chęci.

Czy pani myśli, że ja nie odsuwam siebie, jak zmywam garnki? Odsuwam siebie przecież, zmywam, żeby było czysto w domu. Albo jak mąż zajmuje kuchnię i gotuje? Też się odsuwam, bo też lubię gotować, ale on jest mocniejszy. Ciągłe coś z siebie odsuwamy. W to „ja” to ja też nie bardzo wierzę.

W „ja” też nie?!

Traktuję siebie jako przedmiot, poprzez który różne idee się zjawiają. Najgorzej, że naprawdę w to wierzę, a nie tylko tak mówię. Wiem, jak to brzmi. I dalej – myślę, że nie autor jest dla nas, nie poeta jest dla nas, tylko my dla poezji.

Ale miłość to przecież ważna sprawa!
Nie taka znowu ważna.

Czy chodzi Pani o to, że my się za bardzo nią ekscytujemy?

Oczywiście. Dwie rzeczy są nadmierne przesadzone: jedna to seks. Opowiem pani anegdotę. Byłam w Kalifornii. Idę sobie ulicą, nagle ktoś mi się rzuca na szyję i woła: „Słuchaj, miałam orgazm!”. To moja koleżanka, której dziesięć lat nie widziałam. Jak by pani zareagowała?

Byłabym zaskoczona, to musiał być naprawdę dobry orgazm!

Też byłam. Odsunęłam ją, bo nie lubię, jak mi się ktoś rzuca na szyję, lubię dystans. „Co się stało, o co chodzi, pomóc ci?” – pytam. Ona mi dalej opowiada o tym orgazmie, po dziesięciu latach niewidzenia!

Ale to nie była wina seksu.

Przereklamowanego seksu.

W jakim sensie on jest przereklamowany?

Że wszyscy gadają na ten temat i spodziewają się nie wiadomo czego. Owszem, to jest przyjemność, no pewnie, dla czego nie, ale znowu – raczej w literaturze. To nie znaczy, że jestem zimna, bezwzględna, jęcza, tylko widzę rzeczywistość. I ona mnie tak bardzo znowu nie fascynuje. Wcale nie dlatego, że jestem bezradna i stara.

Szukamy sposobów na to, żeby było nam trochę weselej. Życie pełne jest cierpienia, utrat.

Nudne jest po prostu samo w sobie. Chyba że się rozmawia z kimś. No tak, teraz na przykład rozmawiamy, śmiejemy się. Cieszy mnie, jak się pani oczy błyszczy, jak się pani uśmiecha, przyjemne to jest, ale to są rzadkie chwile. Rzeczywistość w swojej masie jest nudna. Chyba że o czymś poważnie rozmawiamy, to wtedy jesteśmy przedmiotami dla tych idei, które poprzez nas się wylaniają. To jest fascynujące. Tylko rzadkie. Rzeczywistość bez idei to takie nudy na pudy.

Kiedy Pani z takim zapamiętaniem mówi o różnych rzeczach i mówi, że rzeczywistość jest nudna, to mi się jakoś nie klei.

Słusznie pani mówi. Jak to połączyć? Chcę powiedzieć, że bez idei życie jest

nudne. Ubieranie się i rozbieranie. Jedzenie i wydalanie. Spotykam na ulicy sąsiadkę, a ona: „Wiesz, miałam dzisiaj zaparcie”.

Pani Profesor chyba przyciąga takie osoby.

Faktycznie przyciągam bziki. Wszyscy mi to mówią.

Czyli podsumujmy: seks przereklamowany, miłość też. A co pozostaje oprócz rozmowy?

Obowiązek jest ważny, w życiu, nie w miłości. To jest sprawa elementarna. Podam pani znowu przykład: zakochuję się, jest jakaś fascynacja erotyczna. Potem ślub, wesele itd. Może też być bez wesela i ślubu, ale jesteśmy razem. Jestem wobec tego człowieka zobowiązana, biorę odpowiedzialność za moje słowo i jestem z nim nawet wtedy, kiedy on mnie już brzydzi.

Ale po co być z kimś, kto nas brzydzi?

Bo powiedziałam. Może trzeba kupić dwa pokoje i już nie mieszkać w jednym, może wyjeżdżać od czasu do czasu. Nie wiem. Ale trzeba być przy nim, bo jeśli ten człowiek nas brzydzi, to prawdopodobnie to są jego ostatnie lata i jest mu bardzo trudno. Słowa trzeba dotrzymać. To bardzo ważne w ludzkich relacjach, w przyjaźni. Miłość jest na chwilę, a potem idzie dalej. Było, przeszło. Rzeczywistość nigdy nie osiąga ideału. Ale ideały są nam potrzebne.

Do czego?

Bo nas pociągają ku czemuś lepszemu. Mają siłę. Pchają nas. Jeżeli w coś wierzymy, to coś nas ciągnie ku górze: chcę być lepsza, chcę być kochana, chcę kochać. To wszystko nie jest, jak chciałam, ale przynajmniej się staram. Robię, co mogę. Nie mogę wiele, ale jednak. Strasznie mi przykro, że mówię pani takie rzeczy.

Czy Pani Profesor czuje się czasami szczęśliwa?

Nie wierzę w szczęście. Dajcie spokój z tym.

Jego też nie ma czy nie warto za nim gnać?

Może być jakieś zadowolenie, ale to jest taki by-produkt, efekt uboczny, poznawany *ex post*. Jak coś fajnego nam się zdarzy, to wtedy jesteśmy w zadowoleniu. Ale

Szczęście?! Wszyscy dziś lubią o tym mówić i być szczęśliwi, najlepiej w orgazmie.

Przereklamowane.

Prawdziwą wartością jest rozmowa na ważne tematy.

To są te chwile ważne, podnoszące na duchu, uwznioślające, nadające sens.

szczęście?! Wszyscy dziś lubią o tym mówić i być szczęśliwi, najlepiej w orgazmie. Przereklamowane.

Jak te orgazmy?

Tak. Powtarzam: prawdziwą wartością jest rozmowa na ważne tematy. To są te chwile ważne, podnoszące na duchu, uwznioślające, nadające sens, tak. A szczęście... na temat szczęścia nie rozmawiam.

Teraz szczęście jest towarem.

Właśnie. Pięknie pani to powiedziała.

Co jest więc warte starania w życiu?

Człowiek musi mieć chleb, dach nad głową. A co potem? Powiem tak: nie trzeba dążyć do maksymalizacji. Nie gnać za tym, by mieć dwadzieścia bochenków i dwa dachy.

Trzeba mieć trochę dystansu do siebie. Może to z wiekiem przychodzi?

A ile Pani Profesor ma lat, tak w środku?

Teraz? Dziś nie tak znów dużo. Może ze trzydzieści. Myślę, że nie jestem stara. A inni myślą odwrotnie. I to jest katastrofa. Widzą starą kobietę, którą nie jestem. Reagują wedle metryki, a to się w ogóle ze mną nie zgadza. Mam jakieś dolegliwości, ale duch jest młody. Muszę więc za wszelką cenę trzymać ciało w jakiejś kondycji. Ale też nie chcę za bardzo się tym zajmować, bo na to szkoda czasu. Nie chciałabym być młoda jeszcze raz.

Dlaczego?

Przeszłam wszystko, co chciałam przejść, byłam „sobie dana”, zrobiłam, co

chciałam, tak jak chciałam i niczego nie żałuję. Za wszystko ponoszę odpowiedzialność. No, niektóre rzeczy utajmiam, ale żyję z tym utajnieniem w środku i nie chcę o tym mówić. I dobrze. Nie muszę się zwierzać ze wszystkiego. Ale nie żałuję niczego. Nie chciałabym tego ponawiać, bo wtedy byłabym zupełnie kimś innym. Moje życie to wszystkie plusy i minusy, ale to jestem ja. Nie zamienię się.

A bilans jest jaki?

Nie wiem, niedługo umrę, ale nie chce mi się. Człowiek nie żyje długo, do dwustu nie pożyje.

Chciałaby Pani do dwustu?

Nie. Starość bywa bardzo trudna. Ten brak sprawności, psychicznej i fizycznej. Ja od jakiegoś czasu mam stale tyle samo lat – nie starzeje się od środka, nic.

Myśli Pani czasem o horyzoncie życia?

Że wkrótce do piachu? Myślę, że jak będzie pora, to stanie się, co się ma stać. Za dużo o tym nie myślę.

Można się do tego jakoś przygotować?

Ja nie potrafię. Wiem, że dobrze by było mieć trochę dystansu do świata materialnego, do tej codzienności, do tych kłótni, nieporozumień, do tych bólów, do tych cierpień. Pomaga modlitwa. Pozwala wydobyc się trochę.

Obaj moi synowie mieszkają w świecie i ostatnio pytają mnie częściej, czy do nich przyjadę zamieszkać. Nie przyjadę, tu jestem u siebie.

Dlaczego pytają?

Bo się starzeje.

Ale boi się Pani śmierci?

Oczywiście. Boję się, że będę sama. Czasem nawet myślę, że jak przyjdzie pora to...

Radykalne podejście.

A jak inaczej? Leżeć i gnić? Ale może będzie tak, jak trzeba. Wszystko jest możliwe, może umrę tak, o, w rozmowie z panią na przykład, fik i już. Mówimy czasem z mężem o śmierci. On nawet jakiś grób znalazł, mówi, że to dla mnie też.

Razem tam będziecie?

Ja nie chcę, mam klaustrofobię.

© Rozmawiała JUSTYNA DĄBROWSKA



DOMU JUŻ NIE BĘDZIE NIGDY

Samera matka ścięła na krótko, bo szkolni koledzy, śmiejąc się z jego niepełnosprawności, ciągnęli go za włosy. On jest duszą tego domu: biega, skacze, łapie za burki i czadory swoje młodsze siostry.

TEKST MARCIN ŻYŁA, ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA Z PÓŁNOCNEJ JORDANII

USIĄDZIEMY Z FATIMĄ MOHAMMAD NA tych czterech matach, w kącie, po turecku. Podkurczymy nogi, przestaniemy się ruszać i odzywać – i ludzie o nas zapomną. Ona, młoda lekarka, to nasza przewodniczka. Będzie mówić o pacjentach. Słowami, gestem, czasem grymasem twarzy. „Spójrz, ma 20 lat i już troje dzieci”. „A tej ojciec w domu nie pozwala mówić, że boli”.

To pomieszczenie – 3 na 5 metrów, dywan ze słomy, na ścianach rysunki dzieci – plus jeszcze sąsiednie, w którym inny lekarz bada ciężarne kobiety – to mobilna przychodnia zdrowia. Mieści się w ośmiu kartonach (w nich: lekarstwa, teczki z danymi pacjentów, stetoskopy, przenośny ultrasonograf i rękawiczki jednorazowe). Można ją rozłożyć w kwadrans.

Dzisiaj lekarze przywieźli przychodnię na obrzeża jordańskiej wsi Umm al-Kutajn, kilka kilometrów od terytorium Syrii. Jest początek lipca. Po tamtej stronie granicy jedenasty dzień trwają bombardowania; wspierana przez Rosjan armia rządowa odbija z rąk syryjskiej opozycji prowincję Dara. Po tej mieszkają ci, których wojna już kilka lat temu wypędziła z domów – syryjscy uchodźcy.

Wstyd, że dziewczynka

„Ile czasu musi upłynąć od zapalenia szczy, zanim można nakarmić dziecko pier-

sią?”. „Kiedy słońce daje najwięcej witaminy D? Rano czy w południe, gdy piecze najbardziej?”. „Kawa i herbata utrudniają absorpcję żelaza. Tylko jak na Bliskim Wschodzie nie pić herbaty?”. Tak pytają podczas szkolenia pomagający lekarzom wolontariusze. Zanim przyjedzie mobilna przychodnia, podróżując po pograniczu jordańsko-syryjskim rozpoznając, co dolega całym społecznościom.

– Czasem uwzględniam zwyczaje uchodźców – tłumaczy Mohammed, lekarz, który bada ciężarne Syryjki. – A czasem z nimi walczę. Na przykład ze wstydem ojca, gdy urodzi się mu dziewczynka. „To mężczyzna ma wspomagać rodzinę”, „Kobieta? Weźmie ślub i będzie żyć z mężem, co nam po niej” – mówią mi czasem. Napatrzę się, nasłucham. Postanowiłem w końcu, że będę jak stewardesy w samolotach – choćby nie wiem co się działo, zachowam kamienną twarz.

Fatima się irytuje: – Średnia wieku Syryjek w chwili zamążpójścia to 15 lat, czyli o 3-4 lata wcześniej niż u Jordanek. Prawie wszystkie chcą cesarskiego cięcia, nazywają je „królewskim porodem”. Trudno im to wyperswadować.

Wysypka po wojnie

Samer. Który to syryjski chłopiec tak miał na imię? Trzeba spojrzeć w ich dokumenty. Wydawane przez Biuro Wysokiego Komisarza ds. Uchodźców ONZ, z pozoru wyglądają tak samo: dwie błękitne pieczęcie z rzutem kuli ziemskiej,

kilka zdań o prawach i obowiązkach azylanta. Najciekawsze są fotografie: robione szybko, na przypadkowym tle (tu kawałek jakiejś mapy, tam dziecko wciśnięte w duży fotel obrotowy), o różnych porach roku (dziewczynka w kapturze puchowej kurtki) lub doby (zaspany chłopiec, podtrzymujący go rodzice) – tak jak wiele lat temu przybyli do Jordanii.

Samer wyróżnia się spośród innych dzieci. Ma nieregularny kształt twarzy, lekkiego zęza, nierówny zgryz. W grudniu skończy 17 lat, choć wygląda na 10. Jego wada rozwojowa to efekt niedotlenienia podczas porodu.

Matka ścięła go na krótko, bo gdy poszedł do szkoły, chłopcy, śmiejąc się z jego niepełnosprawności, ciągnęli go za włosy. A Samer jest przecież duszą tego domu! Biega, podskakuje, łapie za burki i czadory swoje młodsze siostry. Rozwijający się wolniej syn i potem pięć młodszych córek – pod górkę musi mieć wśród swych sąsiadów Aladin, 44-letni ojciec i głowa rodziny. Czwarty już rok czeka na decyzję o przyznaniu statusu uchodźcy. Nie wolno mu pracować. Wynajem mieszkania – na przedmieściach Zarki, 600-tysięcznego miasta w pobliżu Ammanu – kosztuje 150 dinarów (równowartość ok. 800 zł).

A dochodzą nowe problemy. Szaila, matka Samera, mówi, że w wyniku przeżyć wojennych i traumy ze skóry jednej z córek nie mogą zejść białe plamy. Nic dziwnego: w składzie maści, którą dostają, ➔

W obozie uchodźców syryjskich, Zaatari, Jordania, 1 lipca 2018 r.

→ jest głównie parafina. Nawet taka maść kosztuje 30 dinarów (ok. 150 zł).

W izbie przyjęć

Jeden z kartonów, wśród których siedzi Fatima, wypełniają takie właśnie leki „dla zdrowych” – tabletki do ssania, saszetki z proszkiem do uzdatniania wody, polopiryna. Bo jakże to, przyjść do lekarza i wyjść z niczym? W pomieszczeniu, które robi za rejestrację, poczekalnię i gabinet w jednym, zrobiło się tłoczno. Pielęgniarki podają pierwsze teczki z nazwiskami chorych.

Pierwszego pacjenta, dziecko z nogą owiniętą w bandaż, boli brzuch i ciągnie na wymioty. Dostaje od Fatimy środek na odwodnienie.

Potem zgłasza się kobieta z trojgiem dzieci, na oko wyglądają na równolatki. Ale to nie trojaczki. Fatima: – Zobacz, zachodziła w ciążę trzy razy pod rząd, niemal bez przerwy. Jej ciało nie miało kiedy się zregenerować.

Trzeci pacjent, 12-letnia dziewczynka w różowym sweterku, kręci się po pokoju już dłuższy czas. Nieśmiała, ani razu nie spojrzy w oczy. – Brak pewności siebie jest typowy dla dzieci uchodźców, którzy żyją na małej przestrzeni – komentuje lekarka.

Kobieta, która przychodzi jako kolejna, dopiero przestała karmić piersią. Nie nauczyła dziecka właściwie połykać, mleko dostawało się do zatok, wdała się infekcja. Małec płacze. Fatima, osłuchując go, strzela palcami, żeby choć na moment był cicho.

Jest i dziewczynka z anemią, z plamami na paznokciach, pod oczami i w kącikach ust. Lekarka denerwuje się na zwyczaje panujące w konserwatywnych rodzinach: – Zwłaszcza chłopcom ojcowie zabraniają czasem mówić o chorobach, okazywać ból, każą ukrywać objawy. Dlatego trafiają do nas tak późno.

Kuca kobieta z 5-letnim synem, który na ręce ma wysypkę alergiczną. Fatima mówi mamie, aby wyprała mu ubrania i dokładnie wysuszyła je na słońcu.

Siódmy i ósmy pacjent to znów rodzeństwo. Dzieci są odwodnione. Dostają saszetki minerałów do rozpuszczenia w wodzie.

– Czasem – mówi Fatima, korzystając z chwili przerwy po dziewiątym pacjencie – wystarczy, że usłyszysz, jak dziecko mówi, i już wiesz: kłopoty z oddychaniem, to znów przez ten piasek i kurz, w którym tutaj, w obozie, mieszkają od urodzenia.



Fatima Mohammad przyjmuje dzieci w mobilnej przychodni, Umm al-Kutajn, pogranicze jordańsko-syryjskie, 3 lipca 2018 r.

Matka dziesięcioletniego dziecka, które dziś przyjmuje, dostaje lek i pouczenie: brać do końca, a nie tylko przez 2-3 dni, gdy ustąpią objawy. Syryjscy uchodźcy za szybko odstawiają leki.

Trzy kwadranse później Fatima jest już po dwudziestu pacjentach.

Namiet tam, gdzie praca

Dlaczego mobilna przychodnia przyjechała akurat tutaj, do Umm al-Kutajn, gdzie na równinie wielkości krakowskiego Rynku, w piasku i upale, który sięga dziś 40 stopni, od kilku lat stoją namioty uchodźców? Do najbliższego sklepu są dwa kilometry; za szkołę robi namiot postawiony przez organizację dobroczynną; luksusem są małe szklarnie, w których uprawia się warzywa.

Odpowiedź brzmi: ten nieoficjalny obóz uchodźców powstał tam, gdzie jest praca. Namioty ustawiono wzdłuż muru jordańskiej farmy. W ciągu dnia pracują tu mężczyźni. To efekt polityki władz jordańskich, które kilka lat temu zaczęły wydawać syryjskim uchodźcom pozwolenia na pracę. Jest to wsparcie symboliczne – na ponad milion Syryjczyków w Jordanii uprawnionych do pracy jest zaledwie ok. 50 tys. – ale w miejscach takich jak to pozwala na przeżycie całemu społeczeństwu.

Inaczej jest w Zaatari, największym obozie uchodźców w Jordanii, w którym mieszka ok. 80 tys. Syryjczyków (co piąty

z nich ma mniej niż pięć lat). Zaatari, czyli ustawione na pustyni, ciągnące się kilometrami miasto z kontenerów, pojawia się najczęściej w reklamach społecznych ONZ-u. Tu najczęściej przywozi się polityków czy dziennikarzy; tu przyjeżdża aktorka Angelina Jolie, najbardziej znana na Zachodzie ambasadorka uchodźców. Jeśli myślisz „obóz uchodźców”, przed oczami, choćby nigdy cię tu nie było – pojawia się właśnie Zaatari.

W obozie o pracę trudno. Standardem jest stan apatii.

WhatsApp, czyli nauka pisania

Hasna i jej 14-letni syn pochodzą z Dary, w której w tych dniach toczą się walki. Kobieta pisze czasem do swojej siostry, która została w Syrii. Ale w telewizji omija wiadomości, woli animowane bajki. – To w tych czasach jedyne ładne rzeczy do oglądania – śmieje się.

– Na Zachodzie wiele domów buduje się z drewna? – upewnia się Hasna. W Zaatari mieszka już piąty rok. Parzy kawę w kuchni jakby żywcem przeniesionej ze skromnego europejskiego domu. Jej mąż zmarł jeszcze w Syrii. – Z przyczyn naturalnych – dodaje szybko kobieta, z westchnieniem ulgi. W tym samym obozie mieszka jeszcze jej 64-letnia matka. Choruje na serce i Hasna szuka dla niej lekarstwa.

Kiedy tu przybyła, do jej użytku oddano pojedynczy kontener. Potem udało się dostać drugi. A gdy ponad nimi Hasna zrobiła daszek z plandeki – powstało zadane podwórko. Prawie jak w domu.

W czasie tych wizyt nie jesteśmy równi. O uchodźcach wiemy dużo, chcemy wiedzieć jeszcze więcej: czy żyją sami, czy owdowieli, pytamy o to, gdzie śpią, wchodzimy do ich kuchni i sypialni. A oni odpowiadają, czasem z trudem ukrywając zaniepokojenie.

Na przykład Hasan. Ma 35 lat, pochodzi ze wschodniej Ghuty. Nie ma żony. Kiedy pięć lat temu przyjechał do Zaatari, ONZ odmówiło mu kontenera – samotnym nie przysługują. Single są bardziej podejrzani, dokładnie się ich sprawdza. Zamieszkał w kontenerze dzięki pomocy prywatnej organizacji.

W Syrii był kierowcą, miał pick-upa, pomagał ojcu prowadzić farmę bydła. Lubiał tamtą pracę. Nie myślał, że kiedyś przyjdzie mu robić co innego. Nie umie czytać ani pisać (poza prostymi wiadomościami WhatsApp), nie ma wykształcenia.



17-letni Samer z matką, siostrami i wolontariuszkami medycznymi, Zarka, Jordania, 5 lipca 2018 r.

Dwa razy w tygodniu, dzięki przepustce, którą odnawia co miesiąc, Hasan wychodzi z obozu uchodźców. Pracuje w dusznych szklarniach, które w Jordani cięgną się wzdłuż głównych dróg – to jedyny sposób ochrony upraw przed spalaniem przez słońce. Podobnie jak on, od 2 do 4 tys. Syryjczyków w Zaatari wychodzi z obozu pracować w ciągu dnia. To w większości rolnicy, wykonują proste prace: zbierają warzywa, ładują je do samochodów dostawczych...

Hasan wciąż nie wie, gdzie jest lepiej. W obozie – gdzie koszty utrzymania są minimalne, choć obóz zawsze będzie więzieniem – czy tam, w mieście, gdzie można poczuć się wolnym, ale gdzie życie kosztuje już dużo. Sam się śmieje, że w Zaatari przez pięć dni w tygodniu, kiedy nie pracuje, jego życie składa się głównie z parzenia kawy i herbaty.

Jak morze

– W społeczności syryjskich uchodźców zdarza się, że 40-letnia kobieta ma już dziesiątkę dzieci – mówi Eman al-Hammouri, ginekolożka, która oprowadza dziennikarzy po szpitalu w obozie Zaatari. – Spotkałam się z podejściem: „im więcej dzieci urodzę, tym bardziej pomogę swojemu narodowi”. Promując antykoncepcję nie przekonujemy ich, że to sposób na ograniczenie ich liczby – chodzi nam o to, aby zwiększyć odstęp między kolejnymi ciążami, aby organizm kobiety miał czas na regenerację.

Al-Hammouri dodaje, że na początku Syryjki nie chciały stosować antykoncepcji, zwłaszcza mechanicznej – bały się, że wpłynie na płodność. Poskutkowało dopiero akcja informacyjna.

Lekarka odwiedza z nami uchodźców w jeszcze jednym kontenerze – z zadaszonym przedśmionkiem i wystrojem, w którym dominuje jeden kolor.

On, syn, mówi: – Dlaczego niebieski? Bo na pustyni przypomina o morzu. Mieszkamy tu od czterech i pół roku. Pochodzimy z Dary. Tak, śledzimy wiadomości, piszę czasem do swojego brata, który tam został. To w tym mieście zaczęła się rewolucja w Syrii. Chcieliśmy wolności, tylko o nią nam chodziło. W Syrii prowadziłem własną kawiarnię. W Zaatari jestem stolarem, projektuję i wykonuję meble dla sąsiadów. Marzę o tym, aby jeszcze raz spojrzeć na moją wieś w Syrii, na jej najbliższe okolice. Ale nigdy tam nie wrócę. Mam 34 lata, ale dla mnie ten obóz to początek i koniec wszystkiego. Dla mnie domu już nie będzie nigdy.

Ona, jego matka, dopowiada: – Dom, ogród, sąsiedzi. Za tym tęsknimy najbardziej. W obozie na małym przestrzeni musieliśmy się przyzwyczaić do nowych sąsiadów. Niektórzy pochodzą z innych regionów Syrii niż my, mają inne zwyczaje i styl bycia, ale przecież tutaj dzielimy jedno życie.

Narzekają na warunki: od ONZ dostają miesięcznie 20 dinarów na osobę (równowartość ok. 100 zł). Mężczyzna jednak

zarabia – przy kontenerze ustawili już panele słoneczne, więc nie muszą czekać na piątą po południu, kiedy w tej części obozu włączany jest prąd. Za wodę i mieszkanie w obozie nie płacą.

Gwiazdka? Zażywać w nocy

W Umm al-Kutajn Fatima skończyła właśnie dyżur. W ciągu niecałych czterech godzin przyjęła 45 dzieci. Ostatniej pacjentce – dwuletniej dziewczynce, której niedawno, gdy zaczęła chodzić, ujawniła się wada serca – nie mogła pomóc. Musi zrobić pełną diagnostykę, płatną, w jordańskim szpitalu publicznym. Wątpliwe, aby rodziców dziewczynki było na to stać.

Czas zebrać wszystkie kartony i wracać do domu. Na grubej tekturze Fatima stworzyła własny system informowania o częstotliwości leków dla tych, którzy nie umieją czytać. Cztery równoległe kreski – brać lek cztery razy dziennie; gwiazdka – zażywać nocą; kwiatek – tylko w dzień; cztery kreski w kółku – przyjmować w czasie jedzenia...

Pod koniec dnia Fatima i Mohammed jeżdżą do ośrodka w Zarce. Powstał w 1978 r. w dzielnicy uchodźców palestyńskich, dziś korzysta z niego ponad sto kobiet, Jordanek i Syryjek. Właśnie kończy się szkolenie prowadzone przez polskich lekarzy. Cierpliwie odpowiadają na pytania: „Jeśli kobieta karmi piersią, lepiej żeby w ogóle nie paliła szizy”. „Pierwsze godziny słońca na niebie są najlepsze dla witaminy D, wtedy słońce nie wypala jeszcze skóry”. „Tak, rozumiemy, trudno się powstrzymać przed pić kawy”.

– Mamy na Bliskim Wschodzie trzech bogów: muzułmańskiego, żydowskiego i chrześcijańskiego – mówił kilka dni wcześniej prezes jednej z jordańskich organizacji humanitarnych. – I żaden z nich nie kiwnie palcem, wszystko, co dobre, robi człowiek. Trzech bogów i nie! Ludzie staną się ateistami. ©© MARCIN ŻYŁA

Polska Misja Medyczna, dzięki której powstała ta korespondencja, prowadzi w Jordani dwa projekty pomocowe – w obozie uchodźców Zaatari i mieście Zarka – które w ramach polskiej współpracy rozwojowej współfinansuje Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP.

Uchodźców syryjskich można wesprzeć wpłatą na konto PMM nr 08 1240 4650 1111 0010 4607 7315, z dopiskiem „Syria”.



Chorwaccy piłkarze witani w Zagrzebiu, 17 czerwca 2018 r.

Ukryte pod szachownicą

DARIUSZ KAŁAN Z ZAGREBIA

Futbol przyciąga radykałów. Na Bałkanach, gdzie pamięć konfliktów etnicznych jest świeża, gospodarka stoi w miejscu, a historia wywołuje wielkie spory, widać to szczególnie mocno.

GWIZDEK ARGENTYŃSKIEGO SĘDZIEGO Nestora Pitany kończy mecz finałowy mundialu. Na placu imienia bana [wojewody – red.] Jelačića w Zagrzebiu wybuchają radości.

W strefie kibica wybrzmiewają pieśni piłkarskiej Chorwacji: „Igraj moja Hrvatska”, „Srce Vatreno”. Oraz najbardziej kultowe „Neka pati koga smeta” – z wersem, który nieomal okazał się profetyczny: „Hrvatska je prvak svijeta” (Chorwacja jest mistrzem świata).

Niby na placu nie ma gdzie szpilki włożyć, ale ze wszystkich stron nadal ciągną ludzie ubrani w białą-czerwoną szachownicę. Można by pomyśleć, że to Chorwacja zdobyła mistrzostwo świata – chociaż przegrała z Francją.

Kibice nagrodzili ją jednak za wynik: Luka Modrić i spółka przebili pokolenie Davora Šukera, które dokładnie 20 lat temu zdobyło brązowy medal. A przede wszystkim za walkę do końca, za żelazne nerwy i bezwzględność w wykorzystywaniu kiksów rywali. Czyli za pasję i charakter, no i szczęście, które w Rosji wyjątkowo im sprzyjało.

Przypadek osobny

Ekstaza w Zagrzebiu i innych miastach to na pierwszy rzut oka nic szczególnego, bo przecież z równym oddaniem świętowano na paryskim Champs Élysées albo w Brukseli, kiedy przebojowi Belgowie wygrali mecz o trzecie miejsce.

A jednak Chorwacja to osobny przypadek. Nie tylko dlatego, że to drugi po Urugwaju najmniejszy kraj (4 mln mieszkańców), który dotarł do finału. I nawet nie z tego powodu, że jeszcze miesiąc wcześniej piłkarze byli wyzywani od zdrajców, a restauratorzy informowali, że nie będą transmitować meczów.

Tu po prostu wszystko przeżywa się bardziej. Ci, dla których futbol to tylko nudnawa gonitwa spoconych facetów od jednej do drugiej bramki, wzruszą ramionami. Ale dzieje Chorwacji przekonują, że w tej gonitwie zawsze chodzi o coś więcej. Piłka nożna, czyli po chorwacku *nogomet*, to lustro, w którym przeglądają się historyczne demony, dawne i współczesne frustracje i melancholie, a także sny o potęgę narodu.

Przesada? Aleksandar Holiga, dziennikarz sportowy dziennika „Jutarnij List”, pisze tak: „Piłkarze nie reprezentują siebie ani nawet chorwackiego sportu; oni reprezentują całą Chorwację, cały naród do tego

stopnia, że przeciętny obywatel odbiera ich sukcesy jako swoje własne”.

Ta gorączka wykracza poza sport. W 1990 r. bohaterem masowej wyobraźni został Zvonimir Boban, piłkarz-intelektualista, kapitan brązowej jedenastki z 1998 r. Przyczyną jego nagłej popularności nie był efektowny gol, lecz to, że pobił na murawie serbskiego milicjanta. Czyli zrobił to, o czym pewnie każdy Chorwat, czujący się w ówczesnej Jugosławii jak obywatel drugiej kategorii, w duchu marzył. Boban został skreślony ze składu jugosłowiańskiej drużyny na mundial – ale zyskał szacunek i status małego boga.

To działa w obie strony: brak zainteresowania wyczynami piłkarzy jest dziś uważany za niepatriotyczny. Przechadzając się uliczkami Zagrzebia widziałem morze koszułek w białoczerwonej szachownicy: od tych najstarszych z połowy lat 90. aż po najnowsze efektowne czarne trykoty, zwykle podróbki, bo oryginały Nike’a zostały dawno wyprzedane.

Paradowały w nich sprzedawczynie w piekarniach, kioskarze, nawet księża i bezdomni, no i oczywiście młodzież, która wypełniła plac bana Jelačića. Zdziwiło mnie, że chłopcy i dziewczyny doskonale znają słowa piłkarskich piosenek, jakby uczyli się ich w szkołach razem z hymnem.

Maskotki prezydenta

Trudno powiedzieć, kiedy zaczęła się ta futbolowa gorączka. Zapewne w momencie, kiedy sport dotarł na obecne tereny Chorwacji, czyli przed ponad dwoma tysiącami lat – tak twierdzą zwolennicy tezy, że piłka nożna nie narodziła się w Anglii, ale w Dalmacji. Łatwiej stwierdzić, kiedy futbol został namaszczony do roli przewodniej w życiu narodu: było to pod koniec lat 80. XX w., kiedy Chorwacja szykowała się do separacji z Jugosławią. Taką rolę wyznaczyła jej Chorwacka Wspólnota Demokratyczna (HDZ), partia Franja Tuđmana – pierwszego prezydenta niepodległej Chorwacji.

Ten generał w okularach korekcyjnych pozował na ojca narodu, a na swoich ambasadorów wyznaczył właśnie sportowców. „Obok wojny sport jest jedyną rzeczą, która pozwala odróżnić od siebie narody” – twierdził. Korzyści były obustronne: zawodnicy mogli robić kariery za granicą – mimo toczącej się w kraju krwawej wojny o niepodległość z lat 1991-95 – a w zamian legitymizowali ideę narodową Tuđmana,

a po wojnie jego coraz bardziej represyjną władzę. „Bez jego odwagi nie zdobylibyśmy medalu mistrzostw świata” – pisał Miroslav Blažević, trener legenda, a zarazem lojalny stronnik pierwszego prezydenta.

Oczkiem w głowie Tuđmana było Dynamo Zagrzeb, odpowiednik warszawskiej Legii z czasów wojskowych – czyli klub ukochany przez decydentów i lokalnych patriotów, a nienawidzony poza stolicą. Dynamo miało być wizytówką niepodległej Chorwacji – stąd zmiana w 1993 r. jego tradycyjnej nazwy na Croatia. Nie Hrvatska, lecz właśnie Croatia, żeby nawet przeciętny zjadacz chleba na Zachodzie nie miał wątpliwości, że ten klub, Tuđman i Chorwacja to jedno. Croatia udało się zabłysnąć dopiero pod koniec życia Tuđmana: jako druga drużyna z Chorwacji awansował do Ligi Mistrzów, gdzie stoczył wyrównane boje z Ajaksem Amsterdam, Olympiacosem Piraeus i Manchesterem United.

Dynamo *vel* Croatia było maskotką Tuđmana do tego stopnia, że osobiście angażował się w transfery i – jak ujawniło śledztwo tygodnika „Nacional” – wysyłał swoich ludzi na rozmowy z sędziami, żeby ci „pomogli” utrzymać dominację klubu w krajowej lidze. Jednak prawdziwym powodem do dumy była dla Tuđmana reprezentacja Chorwacji – zwana *Vatreni*, czyli „Ogniści”.

Dziewiczej Chorwacji czar

W 1998 r. – Tuđman miał przed sobą jeszcze nieco ponad rok życia – na mistrzostwach świata we Francji Chorwacja zdobyła brązowy medal. Było to trzy lata po zakończeniu wojny, kiedy kraj nie opłacał jeszcze swoich ofiar, nie stanął na nogi pod względem gospodarczym, a z powodu autorytarnych zapędów Tuđmana pograżał się w coraz większej izolacji. I oto w takiej chwili Chorwaci przez chwilę mogli poczuć się jak królowie świata. Na salony wprowadził ich supernapastnik Davor Šuker, który z Francji przywiózł koronę króla strzelców.

Pamiętam to dobrze – podobnie jak zapewne wielu z pokolenia obecnych 30-latków, wychowanych na blokowiskach. Dla nas Chorwacja miała wtedy posmak pieprzu i wanilii: egzotycznego świata położonego na innej galaktyce, gdzie zawsze świeci słońce, a za oknem szumi morze, a jednocześnie bliskiego i ważnego elementu dzieciństwa. Tak jak nasi rodzice

wieszali na ścianach czarno-białe zdjęcia Grzegorza Łaty i Kazimierza Deyny, tak my, przy deficycie rodzimych bohaterów, wieszaliśmy wycięte z „Piłki Nożnej” plakaty Šukera, Bobana, Roberta Jarniego, Roberta Prosineckiego i Aljošy Asanovicia.

Wtedy, przed 20 laty, nie słyszeliśmy o wojnie i Tuđmanie. Widzieliśmy tylko złotą lewą nogę Šukera, parady ociężałego bramkarza Ladicia, tragiczny błąd Bobana w półfinale z Francją i trzy gole wpakowane Niemcom – co, jak mówili nam rodzice, wystarczy, by uznać Chorwatów za sprzymierzeńców.

Dopiero z czasem, kiedy z Chorwacji zaczął opadać przyjemny idylliczny posmak sztubactwa, zacząłem odkrywać drugie dno. Dowiedziałem się np., że mój bohater Šuker poza boiskiem jest dosyć nieprzyjemnym *bon vivantem*, składającym kwiaty na grobach chorwackich faszystów, dodatkowo wmieszanym w absurdalną aferę z kradzieżą cennych monet.

Matka narodu

Czar tamtej dziewiczej Chorwacji dawno prysł. Ale dzięki temu jestem dziś chyba w stanie lepiej zrozumieć obecną euforię. To zresztą zdumiewające, jak niewiele się zmieniło. My niby dorośliśmy, niby po Tuđmanie został tylko monumentalny grób na równie monumentalnym cmentarzu Mirogoj (jakby żywcem wyjęty z mrocznych powieści Emily Brontë), niby Chorwacja przeszła drogę od izolacjonizmu do eurocentrycznego hurraoptymizmu.

A jednak – czas stanął w miejscu. My z powodu popisów chorwackich piłkarzy znowu czujemy się jak dzieci, a w Chorwacji zaczynają budzić się tuđmanowskie demony.

Różnica jest taka, że dziś nad wszystkim czuwa „matka narodu”: pani prezydent Kolinda Grabar-Kitarović. Każdy, kto śledził mecze Chorwatów, pamięta, że przekaz telewizyjny miał troje bohaterów: Modricia, skupionego trenera Dalicia i właśnie ją. A to tańczyła na trybunach jak amerykańska cheerleaderka, a to w strugach deszczu obcałowywała wicemistrzów świata. Jej wizyty w szatni, w czasie których wieszala się na szyjach półnagich spoconych graczy, stały się rytuałem, wykpiwanym nawet w przychylnych tabloidach. Ktoś powie, że mocno przeżywa osiągnięcia rodaków.

Ale przecież z podobnych chwytów korzystał Tuđman. Otaczał piłkarzy ojcowską →

⇒ opieką i wygrzewał się w ich blasku, a cel był prosty: pokazać, że zostali namaszczeni do narodowej misji osobiście przez prezydenta.

Pozornie niewiele łączy 50-letnią dziś Kolindę – tak po prostu nazywają ją Chorwaci – z Tuđmanem (poza barwami partyjnymi). To dyplomatka z bogatym doświadczeniem w Ameryce. Daleko jej do niewykształconego wojskowego Tuđmana. Jednak w okresie narodowego wzmocnienia repertuar wypracowany przed dwoma dekadami okazuje się zaskakująco skuteczny. Kolinda jest przedstawicielką nowej generacji chorwackiej prawicy, która doszła do władzy na hasłach przywracania narodowej dumy po latach liberalnego rozpasy.

A futbol ciągnie na prawo. To zrozumiałe: naród, walka, wróg – po takie zestawienie chętniej sięga prawica, nie lewica. Jak wszędzie, przyciąga też radykałów. A na Bałkanach, gdzie pamięć o konfliktach etnicznych jest wciąż świeża, gdzie gospodarka stoi w miejscu, gdzie historia (w tym ustaszków, chorwackich faszystów z czasu II wojny światowej, kolaborantów III Rzeszy) nadal wywołuje gorączkowe spory – jest ich wręcz w dwójnasób.

Nacjonaliści chętnie korzystają z sukcesów reprezentacji. Jak ultranarodowy piosenkarz Thompson, który pojawił się na mobilnej platformie wraz z wracającymi z Rosji piłkarzami.

Struktury quasi-mafijne

A oni nie są lepsi. Np. Josip Šimunić, otwarty sympatyk skrajnej prawicy, nie pojechał na mundial w 2014 r., bo pożegnał fanów faszystowskim pozdrowieniem. Najgorsze jest to, że nikomu to nie przeszkadza: ani federacji, bo bez mruknięcia okiem płaci słone kary, ani Kolindzie, która sama robiła sobie zdjęcia z flagą ustaszków.

Ale polityka to tylko jeden aspekt chorwackiej piłki. Jej nieprzejrzyste quasi-mafijne struktury przetrwały wszystkie etapy ostatnich 30 lat. Socjolog Dražen Lalić, autor książki „Nogomet i politika”, pisze: „Ludzie stojący na czele chorwackiego futbolu od zawsze wykorzystywali hasła patriotyczne i bliskie związki z prawicą, żeby odciągnąć uwagę opinii publicznej od przekrętów finansowych”. Człowiekiem trzymającym władzę był przez długie lata Zdravko Mamić, były prezes Dinama. Z klubu uczynił masynekę do zarabiania na sobie i rodzinę,

Tak już jest w Chorwacji, że „nogomet” nie może być po prostu „nogometem”.

Musi być czymś więcej.
Ucieczką przed smutną
i biedną rzeczywistością,
schronieniem przed wojną,
walką za duszę i serce narodu.

a z piłkarskiej federacji – folwark, w którym na stanowisku selekcjonera reprezentacji zatrudnił kiedyś elektryka bez sukcesów szkoleniowych.

Mamić był sponsorem kampanii Kolindy – i gościem honorowym na ceremonii jej zaprzysiężenia w 2015 r. Niedawno okazało się, że ich prywatne rozmowy zostały nagrane przez służby, ale pani prezydent nie pozwoliła na ich upublicznienie. Trudno się dziwić: 10 dni przed pierwszym meczem Chorwatów w Rosji Mamić został skazany na 6,5 roku więzienia za oszustwa podatkowe i defraudacje. Na jakiś czas pewnie wycofa się na drugi plan. Ale dziedzictwo Tuđmana – niebezpieczne związki futbolu, biznesu i polityki – nawet się nie zachwieje. W tym samym procesie skazano Damira Vrbanića, sekretarza generalnego federacji, który w Rosji oglądał mecze obok Kolindy.

W Chorwacji, kraju pulsujących emocji, nic nie jest czarno-białe. Bohater nie może być po prostu bohaterem, musi mieć jakąś tragiczną (albo groteskową) rysę. Jak Šuker, genialny napastnik, który teraz jest, jakżeby inaczej, szefem federacji, czyli marionetką w rękach Mamicia i wrogiem publicznym numer dwa. Albo Luka Modrić, mały wielki kapitan prowadzący obecnych „Ognistych” do największego sukcesu w historii, a wcześniej Real Madryt do Pucharu Mistrzów – i to czterokrotnie. W procesie bronił Mamicia i sam został oskarżony o krzywoprzysięstwo.

Dzieci wojny

Mimo problemów Modrića, obecni „Ogniści” wydają mi się szlachetniejsi od generacji Šukera. Może dlatego, że ich sukces jest świeży, a oni jeszcze nie zmanierowani. Na rosyjskich boiskach poka-

zali wielkie serca. Cztery razy jako pierwsi tracili gola – i zawsze doprowadzali przynajmniej do remisu. Przetrwali trzy dogrywki, nie spalili się w rzutach karnych. Nigdy nie odpuszczali.

I wszystko zawdzięczają sobie, a nie politykom albo działaczom. Zasłali tak daleko, choć w kraju nie działa system szkolenia ani nie ma infrastruktury sportowej. Stadion Maksimira w Zagrzebiu nie ma nawet dachu. Jesienią trzeba było przełożyć mecz eliminacyjny, bo po ulewie piłka gubiła się w kałużach, a zawodnicy ślizgali się jak na lodowisku.

Najstarsi z członków obecnej narodowej jedenastki to dzieci wojny. Modrić w wieku sześciu lat musiał opuścić rodziną miejscowość, jego dziadek został zamordowany, a dom spalony. Rodzina obrońcy Dejana Lovrena uciekła do Niemiec. O traumatycznych przeżyciach opowiadali też inni weterani kadry: Vedran Ćorluka, Mario Mandžukić i Danijel Subašić, urodzeni w połowie lat 80. Jeszcze przed rozpadem Jugosławii z kraju za chlebem wyjechali rodzice Ivana Rakitića, który – gdyby chciał – mógłby grać w reprezentacji Szwajcarii.

Oni sprawiają wrażenie twardo stąpających po ziemi lokalnych patriotów, przywiązanych do swoich Zadarów, Slavonskich Brodów, Osijeków, Dervent i innych miasteczek, rozrzuconych po Chorwacji i Bośni, w których dorastali.

Coś więcej

Tak już jest w Chorwacji, że *nogomet* nie może być po prostu *nogometem*. Musi być czymś więcej. Ucieczką przed smutną rzeczywistością, w której średnia płaca krajowa wynosi 750 euro. Kontynuacją tradycji rodzinnych. Schronieniem przed wojną. Walką za duszę i serce narodu. Albo czymś jeszcze innym.

Pisarz Miljenko Jergović – Chorwat, urodzony w 1966 r. w Sarajewie, który był świadkiem wojny w Bośni, zanim uciekł przed nią do Zagrzebia – w powieści futbolowej „Wilimowski”, której akcja dzieje się przed wybuchem II wojny światowej, szukał w meczach mistrzostw świata odpowiedź nadchodzącej apokalipsy.

Zupełnie jak Tomasz Mann w epidemii cholery na ulicach Wenecji.

© DARIUSZ KAŁAN

Autor jest korespondentem mediów polskich i angielskojęzycznych z Europy Środkowej. Kibic reprezentacji Chorwacji od 1998 r.



Barack Obama ze swoją „przyszwaną” babcią Mamą Sarah (w kolorowej sukni) i innymi krewnymi. Kogelo w Kenii, 16 lipca 2018 r.

Obamowo

SZYMON OPARYSEK Z KOGELO (KENIA)

Barack Obama odwiedził rodzinną wioskę swojego ojca w Kenii. Sen o kuzynie z Ameryki spełnił się w Kogelo, spychając na dalszy plan inne problemy. Ale o tych subtelnie przypomniał Kenijczykom były prezydent USA.

RÓWNIKOWY UPAŁ I WSZECHOBECHNY kurz, który spowija okoliczne pola kukurydzy. Kogelo leży na zachodzie Kenii, nieopodal Jeziora Wiktorii. Dwie godziny drogi przepełnionym „matatu” (lokalnym busem) od Kisumu, największego miasta w rejonie. Dziesięć lat temu pojechałem tam porozmawiać z Mamą Sarah, znaną na świecie jako babcia Obamy.

Był rok 2008, Barack Obama dopiero miał zostać zaprzysiężony na najwyższy urząd Stanów Zjednoczonych. Świat powtarzał jego hasło wyborcze „Yes we can” („Tak, możemy”), na Starym Kontynencie jeszcze nikt nie mówił o rozpadzie Unii Europejskiej, a Kenia liżała rany po powy-

borczych zamieszkach między plemionami Luo i Kikuj.

W błaznanym barze w Kogelo spokojnie popijano piwo Senator, produkowane na cześć Obamy. Dziś w tym samym barze podają piwo Prezydent.

Zmiany w światowej polityce w ostatniej dekadzie są jednak o wiele bardziej drastyczne. Po dwóch kadencjach na miejscu Obamy zasiadł Donald Trump, który mówi wciąż o przywracaniu wielkości USA. W kolejnych krajach Unii do głosu też zaczynają dochodzić populiści.

Za to problemy Kenii wciąż są podobne: po ubiegłorocznych wyborach prezydenckich znów doszło do zamieszek,

choć mniejszych niż w 2007 r. W marcu Uhuru Kenyatta, prezydent kraju, oraz Raila Odinga, lider opozycji, podali sobie ręce i rozpoczęli wspólny, symboliczny projekt „Budujemy mosty”, który ma zasypać społeczne podziały w Kenii.

Syn Kogelo

– Dzięki Barackowi miałam pierwszy murowany dom we wsi. Chciałam mu się odwdziżyć przed wizytą, więc kupiłam łóżko. No i nie zmieściło się do środka i wnuczek spędził noc na podłodze – opowiadała mi Mama Sarah w swoim saloniku, wspominając wizytę wówczas jeszcze amerykańskiego senatora w Kogelo.

To było w 2008 r. Zza meblówianki przypatrywał nam się tekturowy Obama w nieco pogniecionym garniturze. Babcia zapozowała do zdjęć z flagą USA i Polski (przez długi czas była przekonana, że to jeden ze stanów Ameryki).

Mały domek babci wciąż stoi na działce Obamów, ale właścicielka wyniosła się do nowego, położonego tuż obok. Teraz tuż przed wjazdem stoi tablica informująca o tym, że to gospodarstwo należące do najstarszej przedstawicielki rodu Obamów.

Leciwa sąsiadka właśnie kupuje mleko od obamowych krów. Jest też poletko →

→ kukurydzy, jakieś warzywa, ktoś też podlewa kwiaty. Babcia Obama ma do pomocy pięć osób, po wojsku chroniących ją na zlecenie rządu kenijskiego ślad zaginał. Ale na widok „mzungu” [Europejczyk, biały – red.] zaraz przyjeżdża patrol policji.

Sarah Onyango Obama to przysadzista, pomarszczona kobieta. Mówi w języku Luo, po angielsku zna tylko kilka słów. Urodziła się w 1921 lub 1922 r., wychowywała w „wiosce pasterzy kóz”, jak zwykł mówić jej wnuk o Kogelo. Jest trzecią żoną dziadka Obamy, wychowywała ojca prezydenta.

Barack senior miał już dwójkę dzieci, gdy w latach 60. XX w. zostawił rodzinę i opuścił Kenię, by studiować na uniwersytecie na Hawajach. Tam poznał drugą żonę, Ann Dunham. Urodził im się syn, po dwóch latach się rozwiedli. Wrócił do Kenii, gdzie popadł w alkoholizm; w 1982 r. zginął w wypadku samochodowym.

Zdażył spłodzić ośmioro dzieci z czterema kobietami. Wśród nich przyszłego prezydenta. Ten, jeszcze jako student, wyruszył do Kenii w poszukiwaniu swej tożsamości (napisał rodzaj pamiętnika na ten temat, krytycznego wobec zachowania ojca), odwiedził też przyszywaną babcię.

– Nie ma znaczenia, gdzie mój wnuk się wychował. I nie jest ważne, że jest wyznawcą innej religii. Taki jest dzisiejszy świat. Najważniejsze, że w jego żyłach płynie kenijska krew. Jest synem Kogelo i ma do tego szacunek – opowiadała Mama Sarah. – I lubi moje placki chapo, czyli jest Kenijczykiem.

Wtedy, tuż po wyborach prezydenckich w USA i jeszcze przed zaprzysiężeniem Obamy, było o niej głośno. Popularnością przebiła Wangari Muta Maathai, kenijską laureatkę Pokojowej Nagrody Nobla. Setki kuzynów pielgrzymowały do Kogelo, by ogrzać się w blasku jej sławy.

Maraton babci

Dziś nie udaje nam się spotkać. Sławna babcia musiała wyjechać do Nairobi. Podobno w sprawach zawodowych. Za jej fundację odpowiada sztab specjalistów, którzy pouczają mnie, jakie pytania mogę zadać pani Obamowej.

Na pewno nie można pytać o porażki wnuka. A przecież dziesięć lat temu mówiła: „Barack zmienił już naszą wioskę, więc uda mu się z USA i całym światem. W Kenii przydałoby się zmodernizować drogi, zbudować mieszkania, znaleźć ludziom pracę. Dajcie wnukowi czas”.

Problem w tym, że pytania o czas też są niewskazane. „Wobec wizyty byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych pani Mama Sarah informuje, że bardzo cieszy się z przyjazdu wnuka. Najlepszym dowodem jego sukcesów jest to, jak zmieniło się Kogelo” – informuje niepodpisany z nazwiska mail z fundacji babci Obamy.

Życie babci przyspieszyło po dziewięćdziesiątce. Włączyła się w budowę fundacji, która pomaga sierotom i dzieciom z najbiedniejszych rodzin, oferując im edukację. Pod jej opieką są też wdowy, które uczą się m.in. wyrabiania rękodzieła. Hitem jest coroczny maraton pod patronatem babci Obamy dla wsparcia sierot.

Otrzymała tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Wielkich Jezior w Kisumu. Odwiedziła USA, Kanadę, Niemcy; spotykała się z przywódcami m.in. Egiptu, Sudanu, Tanzanii, Ugandy czy Etiopii. Wpis w anglojęzycznej Wikipedii określa ją jako pedagoga i filantropkę. Jeszcze kilka lat temu była zwykłą rolniczką.

George ma 24 lata, wystylizowane afro, jest kierowcą „boda-boda”, rodzaju mototaksówki, w wolnych chwilach studiuje. Wiezie mnie po okolicy śladami Obamów i snuje wiejskie opowieści o ich rodzinie.

– Matka mówiła mi, że zanim zrobiło się głośno o prezydencie, jego babka handlowała na targu warzywami. Dziś jest wielką panią – opowiada. – Wiesz, w ich rodzinie panuje matriarchat. Mama Sarah to mądra i silna kobieta, kazała dzieciom wrócić z Nairobi, czerpać profity ze sławnego nazwiska.

Ekspedientka w lokalnym sklepie zachwyca się roztropnością babci: – Była wdową, ale i tak miała najlepiej zadbane obejście w wiosce.

– To jej zawdzięczamy więcej niż Barackowi. Jego nie obchodzi przecież Kogelo. A ona wykorzystwała rodzinne więzi i załatwiła nam prąd. Jest prąd, to jest i życie – przekonuje Edwin, lekko podпиты mechanik.

Amerykański sen

Barack Obama ma dziesięć lat. Jest uczniem szkoły podstawowej im. Senatora Baracka Obamy, położonej przy ostatnim przystanku firmy wycieczkowej Barack Obama Safari Tour i nieopodal hotelu, który oferuje Barack Obama Suite.

Nieco dalej leży Barack Obama SPA, ale nikt w okolicy nie wie, co konkretnie się tam oferuje. Jakby tego było mało, na skrzyżowaniu z główną drogą jest jeszcze sklep spożywczy o nazwie Barack.



W ponad 70-osobowej klasie dziesięcioletniego Baracka Obamy jest i drugi Barack Obama. Samych Baracków jest zresztą bez liku, a nowa generacja dopiero nadchodzi. – Mój kuzyn tak nazwał syna. Wciąż wierzymy w dobre duchy. Skoro jednemu Barackowi się powiodło, czemu ma się nie udać innym? – uśmiecha się George.

Gdyby Kogelo przemianowano na Obamowo, nikt by się nie zdziwił. Dziesięć lat temu dojazd tutaj nie był łatwy. Najpierw wsiałem do „matatu”, potem łapałem kierowcę „boda-boda”, a na końcu wiozł mnie lokalny taksówkarz na rowerze.

Dziś przez Kogelo przechodzi droga o niespotykane gładkim w Kenii asfalcie. Wraz z obamomanią przyszedł tutaj prąd i woda bieżąca. A za nimi turyści.

– To realizacja amerykańskiego snu na prowincji Kenii. Tutaj spełnia się hasło wyborcze Obamy z pierwszych wyborów: „Yes we can”. Ale tylko w przypadku tych zaradnych – uśmiecha się Jackie, dziennikarka z wpływowego „Daily Nation”. – Obama nie spełnił nadziei pokładanych w nim przez Kenijczyków – dodaje.

Dziennikarka ma rację, zaradni krewni czerpią profity z korzeni byłego prezydenta USA. Nicolas Rajula, lokalny biznesmen i reprezentant kenijskiej odnogi



PIOTR SIONKO

Mama Sarah (siedzi, w kolorowej sukni) i dalsza rodzina Baracka Obamy. Kogelo, 2008 r.

rodziny Obamów, przedstawiający się (niezgodnie z prawdą) jako kuzyn Obamów, wybudował Kogelo Village Resort. „200 metrów od domu babci Obamy” – można przeczytać na broszurze.

Pieniądze w hotel oraz w biznes turystyczny zainwestował też Malik Obama, przyrodni brat prezydenta. O jego głośnych imprezach w Nairobi krążą legendy. Za wywiady żąda sowitych zapłat (od lokalnych dziennikarzy 100 dolarów, od zagranicznych 1500). Zajął się też polityką. Od dwóch lat wpisami na Twitterze wyraża poparcie dla... Donalda Trumpa.

Trójka Obamy

Głodziutka droga, stały prąd, bieżąca woda, turyści i zainteresowanie rządu odmieniły życie mieszkańców w Kogelo. Ale przysłoniły też wielkie problemy.

To zwłaszcza korupcja, wysokie bezrobocie i jedno z wyższych w kraju wskaźniki zarażeń wirusem HIV (pod tym względem Kenia przoduje na kontynencie). W prowincji Siaya problem dotyczy co piątej osoby. Tereny nad Jeziorem Wiktorii należą do najbiedniejszych, dlatego szybko się wyludniają. Pozbawieni perspektyw młodzi wyjeżdżają do Kisumu lub stołecznego Nairobi. Zwykle lądują w slumsach.

Ciężko im wyrwać się z zakłętego kręgu biedy. Dlatego podczas swojej wizyty w Kogelo w połowie lipca były prezydent USA mówił głównie o problemie korupcji oraz przymusie emigracji zarobkowej i edukacyjnej. Przypominał, że jego ojciec wyjechał z Kenii właśnie po to, aby się rozwijać.

„To, co widzimy w Kenii, jest częścią powstawania pewniejszej siebie, bardziej samodzielnej Afryki. Ale wiemy, że prawdziwy postęp oznacza rozwiązanie problemów, które pozostają. Oznacza to wykorzenienie korupcji, która osłabia życie obywatelskie” – stwierdził Barack Obama podczas krótkiego przemówienia.

Tym razem były prezydent wpadł do Kogelo w drodze do RPA, na obchody 100-lecia urodzin Nelsona Mandeli (zmarłego przed pięcioma laty). Zaprosiła go siostra Auma, bo założyła właśnie fundację Sauti Kuu (w języku suahili: „Silne Głosy”), która pomaga także sierotom i dzieciom z biednych rodzin.

Tłum ludzi z flagami Kenii i Stanów Zjednoczonych zebrał się przy drodze, by powitać „kuzyna”. Grupa młodych chłopców przyprowadziła byka, by podarować go Obamie. Ale ten zjadł tylko śniadanie z babcią Sarah (wieść niesie, że ubrała się w najwykwintniejszy strój), w towarzy-

stwie dygnitarzy otworzył centrum rekreacyjno-kulturalne, a potem wziął piłkę do koszykówki i trafił za trzy punkty.

„To duża radość wrócić do miejsca, w którym mam tylu krewnych. I tylu ludzi, którzy twierdzą, że są moimi krewnymi” – zażartował.

Źle nie będzie

Kenia bardziej kocha Obamę niż Obama Kenię. Już pierwszy kontakt 27-latką z afrykańską mentalnością nie wypadł najlepiej. W 1987 r. linie lotnicze zgubiły jego bagaż, a siostra Auma wiozła go z lotniska niebieskim VW „garbusem”. „Cały czas się psuł, spędzaliśmy czas na pobożu” – wspominał po latach.

Jego relacja z Kenią wydaje się być podobna do tej z ojcem. Określił ją kiedyś mianem abstrakcyjnej.

– Obama nie będzie miał żadnego wpływu na ewentualne zmiany polityczno-społeczne w Kenii. To nie jego świat. On jest wielkim liderem, erudyta, ale jego pomoc dla Kenii ogranicza się do inspirowania ludzi – uważa Augustus Muluvi, szef działu polityki zagranicznej w Institute for Public Policy Research and Analysis, jednym z czołowych think tanków w Kenii. – W trakcie jego rządów spodziewaliśmy się konkretnych funduszy pomocowych dla Kenii i Afryki Wschodniej. Za dużo sobie obiecywaliśmy. To nasz błąd.

Podczas dwóch kadencji Obamy w Białym Domu istotnie nie było rewolucji w polityce zagranicznej USA wobec krajów Afryki. Wprawdzie Stany podjęły inicjatywę rozszerzenia dostępu do energii elektrycznej na całym kontynencie, a fundusze na zdrowie publiczne i programy antyterrorystyczne wzrosły. Ale Kenia była i wciąż pozostaje na marginesie.

Jackie, dziennikarka „Daily Nation”: – Problem naszego kraju polega na tym, że chcemy tylko brać. Przed tegoroczną wizytą Obamy lokalni politycy wpadli na dwa pomysły: żeby w lokalnej szkole imienia Obamy zmienić słowo „senator” na „prezydent”. I żeby spisać listę najważniejszych problemów do rozwiązania i przedstawić ją Obamie. Miała zamknąć się, o dziwo, w 14 pozycjach.

Jednak w Kogelo nadal śnią swój sen.

– Obama, jak każdy członek ludu Luo, musi wrócić do swojej wioski i wybudować chatę. Czekamy – emocjonuje się mechanik Edwin. – Poza tym, jak mamy kuzyna z Ameryki, to już źle nie będzie. ©

SZYMON OPRYSZEK



Viktor Orbán objaśnia Mateuszowi Morawieckiemu mapę Węgier w granicach sprzed 1920 r., opisaną jako „państwo węgierskie”. Budapeszt, 2018 r.

JESZCZE BĘDZIEMY JEDNOŚCIĄ

Sto lat temu kraj walczący u boku Niemiec i Austrii przegrał I wojnę światową i stracił większość terytorium. Dziś pod rządami Orbána rozkwita nostalgia za Wielkimi Węgry.

DOMINIK HÉJJ Z BUDAPESZTU, SÁTORALJAÚJHELY I VÁRPALOTA

ZDJĘCIE NA POZÓR JEST NIEWINNE. PRZEDstawia premierów Węgier i Polski: Viktor Orbán i Mateusz Morawiecki stoją przed mapą, Orbán objaśnia coś Morawieckiemu. Zdjęcie ukazało się w węgierskich mediach społecznościowych kilka miesięcy temu, w dniu zakończenia kampanii przed wyborami parlamentarnymi.

Tego dnia w Budapeszcie odsłaniano pomnik katastrofy smoleńskiej, stąd obecność Morawieckiego.

Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie pewna okoliczność: Polak wpadł w mapę Węgier sprzed 1920 r., która nie została podpisana np. „Granice Węgier do 1920 r.”, lecz: „Państwo węgier-

skie”. To tak, jakby Angela Merkel zaproponowała premierowi Polski, że objaśni mu mapę Niemiec w granicach z 1937 r. (tj. sprzed zaboru Austrii i Czechosłowacji), a mapa ta, wydana współcześnie, opisana byłaby jako „Państwo niemieckie”.

To nie przypadek czy niezręczność. Już od 2010 r. – od chwili, gdy władzę objęła

koalicja Viktora Orbána – w polityce historycznej Węgier dokonuje się zwrot: w kierunku przywracania pamięci o dawnej wielkości. A także o ogromnej niesprawiedliwości, jaką miał być dla Węgier – uczestnika I wojny światowej po stronie przegranej (jako część Austro-Węgier) – traktat pokojowy. Podpisany w 1920 r. we francuskim Trianon przez kraje zwycięskie i Budapeszt (pokój z Austrią podpisano osobno), ukarał Węgry bardziej niż Austrię: pozbawił państwo dwóch trzecich obszaru sprzed 1914 r. na rzecz sąsiadów.

Jest to polityka prowadzona systemowo i świadomie. Zapewnieniom, że nikt nie chce powrotu dawnych granic, coraz częściej towarzyszy otwarty rewizjonizm. Przynajmniej na płaszczyźnie emocjonalno-symbolicznej.

„Dyktat pokojowy”

Do tamtych Węgier – państwa, jakim były u schyłku XIX stulecia – Orbán odwołuje się regularnie. Buduje analogie między współczesnością i historią, przywraca dawne nazwy instytucji (np. w sądownictwie), rewitalizuje miasta na ówczesne wzory.

I nie tylko. Już kilka lat temu parlament przyjął ustawę o podwójnym obywatelstwie – adresowaną do mniejszości węgierskiej w sąsiednich krajach. Następnie, w latach 2014-17, przyznano milion nowych obywatelstw. Posłowie ustanowili też Narodowy Dzień Jedności. Przypada 4 czerwca: tego dnia podpisano traktat w Trianon. Odtąd każdego 4 czerwca odbywają się obchody państwowe i samorządowe, flagi przed parlamentem i budynkami publicznymi w kraju są opuszczane do połowy masztów. Wicepremier Zsolt Semjén, któremu podlega polityka narodowościowa, wielokrotnie obchodził to święto w Siedmiogrodzie (tj. w Rumunii). W 2014 r. mówił, że „Węgrzy powinni być dumni, iż przetrwali Trianon”.

Również już jakiś czas temu, w 2011 r., w konstytucji upomniano się o „podzielony naród węgierski”. Czytamy w niej: „Przyrzekamy chronić i zachować duchową jedność naszego Narodu, która w wichrach minionego stulecia rozrywana została na części. (...) Węgry, mając na uwadze spójność jednolitego Narodu węgierskiego, ponoszą odpowiedzialność za los Węgrów żyjących poza granicami kraju, wspomagając przetrwanie i rozwój ich wspólnot, popierając ich dążenia do

zachowania węgierskości, realizację ich praw indywidualnych i wspólnotowych”.

Z kolei w znolizowanej ordynacji prawa wyborcze przyznano Węgom żyjącym poza granicami państwa – ze szczególnym uwzględnieniem tych, którzy zamieszkują ziemie należące kiedyś do Królestwa Węgier.

Istotny jest tu język: o Trianon mówi się na Węgrzech nie inaczej jak tylko „dyktat pokojowy”. I to niezależnie od sympatii politycznych, od lewa do prawa.

Prognoza pogody

Próbka z ostatnich lat. W czasie mistrzostw Europy w 2016 r. Orbán często fotografował się z fanami, którzy na flagach mieli namalowane nazwy historycznych krain węgierskich, także pozostających dziś poza granicami (i znowu: to tak, jakby Merkel pozowała do zdjęć z ludźmi, pokazującymi granice Niemiec sprzed II wojny światowej). W listopadzie 2016 r. Orbán mówił, że udało się zjednoczyć naród „ponad Trianon”. Rok temu podkreślał, że „od czasu Trianon” Węgom nie żyło się tak dobrze jak dziś. W marcu tego roku, przemawiając z okazji 170. rocznicy Wiosny Ludów, porównał unijny projekt relokacji imigrantów do „narzuconego dyktatu pokojowego z Trianon”. Teraz, w 98. rocznicę traktatu, podzielił się myślą, że „przyszłość pisana będzie w języku węgierskim”.

Dodajmy rzecz tak zwyczajną jak codzienna prognoza pogody w telewizji: na planszy kontury obecnych Węgier są szare, ale uwagę zwracają ciemnozielone tereny, wyróżniające się na tle jasnozielonej mapy. To kontury dawnego Królestwa. W telewizji używa się też historycznych nazw miast, a także przeprowadza chętnie wywiady z przedstawicielami ruchów domagających się autonomii w Siedmiogrodzie i na Seklerszczyźnie (oba regiony w Rumunii).

Aby lepiej zrozumieć fenomen takiej polityki historycznej (i jej skuteczności), trzeba poznać dwie jej kluczowe składowe: czym były Wielkie Węgry i czym jest dla Węgrów Trianon.

Mniejszość we własnym państwie

Wiek XIX, choć burzliwy, uważany jest powszechnie na Węgrzech jako wyjątkowy: taki, w którym państwo pod każdym względem było „naj”. I to mimo dramatu, jakim w latach 1848-49 była Wiosna Ludów: węgierskie powstanie, które upa-

dło pod naporem połączonych sił Austrii i Rosji, wspartych przez nastawione antywęgiersko mniejszości narodowe.

Ale już niespełna dwie dekady później, w 1867 r., Węgry znów były „naj”. Monarchia Habsburgów przekształciła się w federację dwóch podmiotów: Cesarstwa Austrii i Królestwa Węgier, związanych unią personalną. Były to dwa niezależne państwa, choć – jak pisał Henryk Batowski – „Austro-Węgry w stosunkach zewnętrznych (...) były traktowane jako jedno państwo”. Zarazem „wewnątrz swoich granic (...) były to od 1867 r. dwa państwa całkowicie o d d z i e l n e pod względem administracyjnym, połączone jedynie pewnymi wspólnymi instytucjami i osobą panującego”. Tym władcą był aż do 1916 r. Franciszek Józef, jako cesarz Austrii i król Węgier (ukoronowany w Budapeszcie).

Okres po 1867 r. odznaczał się szybkim wzrostem gospodarczym. Historyk Ignác Romsics w wydanej niedawno w Polsce „Historii Węgier” pisze, że był to „najbardziej dynamiczny i najefektywniejszy etap rozwoju” od przegranej bitwy pod Mohaczem w 1526 r. (gdy spora część Węgier trafiła pod kontrolę Turcji). Zwłaszcza dwa czynniki stymulowały wzrost: nowoczesny system kredytowy i rozwój infrastruktury. Taki szczegół: w latach 1846-67 powstało 2285 km nowych linii kolejowych, podczas gdy w 1890 r. było ich już 11 tys. km, a w 1913 r. aż 22 tys. km. Kolej była wtedy głównym środkiem transportu.

Kwitł handel, a morskim „oknem na świat” był port we Fiume (Rijeka, dziś Chorwacja). Stąd też na emigrację udawali się głównie nie-Węgrzy. A emigracja wpływała na strukturę etniczną. O ile w 1850 r. w krajach Korony Węgierskiej odsetek Węgrów wynosił tylko 36,5 proc., to 60 lat później było ich już 48 proc.

Zauważmy więc, że mimo rozwoju demograficznego korzystnego dla narodu panującego, etniczni Węgrzy nadal stanowili mniejszość w Koronie. Mniejszości – w sumie tworzące większość – tworzyli głównie Rumuni (14 proc. ludności), Niemcy (10 proc.) oraz Słowacy i Chorwaci (po 9 proc.).

Przerwany złoty wiek

Zmiany w strukturze etnicznej były efektem nie tylko emigracji (w latach 1871-1913 z Węgier wyjechało 1,3 mln osób; dwie trzecie nie wróciły), ale też wysokiego przyrostu naturalnego wśród →

→ Węgrów i postępującej (często wymuszonej) madziaryzacji nie-Węgrów. Przyrost liczby ludności to także efekt stworzenia systemu opieki zdrowotnej, co z kolei przełożyło się na wydłużenie długości życia. Stosowną ustawę parlament uchwalił w 1876 r., a jej efektem był m.in. wzrost liczby szpitali i łóżek szpitalnych (1867 rok: 44 szpitale i 4500 łóżek – rok 1913: 461 szpitali i 50 tys. łóżek).

W 1896 r. hucznie obchodzono tysiąclecie państwa węgierskiego – większość najpiękniejszych budynków, które możemy oglądać w Budapeszcie, powstała z tej okazji. Także w 1896 r. uruchomiono tu metro (pierwsze w kontynentalnej Europie). Pojawiają się telegraf i telefon. Miasta się „przybliżają”, łatwiej jest się między nimi przemieszczać. Królestwo pozostaje „spichlerzem” c.k. monarchii, ale rozwija się też przemysł maszynowy, powstają elektrownie (160 w ciągu 13 lat). Warto odnotować, że przed 1914 r. PKB *per capita* Węgier wynosił równowartość 40 proc. PKB *per capita* Anglii, 50 proc. Francji i 80-85 proc. Włoch. Nie był to zły wynik.

Poza stolicą najszybciej rozwijały się takie miasta jak Záhgráb (dziś Zagrzeb, Chorwacja), a także Temesvár (dziś Timișoara), Arad, Kolozsvár (dziś Kluż), Nagyvárad (dziś Oradea) – wszystkie cztery obecnie w Rumunii – a także Kassa (dziś Koszyce, Słowacja) oraz pozostałe w granicach Węgier: Miskolc, Győr i Segedyn. Już choćby to zestawienie miast, z których większość po 1920 r. znalazła się poza państwem, ukazuje skalę strat.

Sto lat później

Ale bardziej policzalny wymiar to zmniejszenie powierzchni państwa: aż o dwie trzecie, z 325 tys. km² do 93 tys. km². A także ludności: z prawie 21 mln do 7,6 mln obywateli.

Nie chodzi w tym miejscu o wartościowanie, czy po 1920 r. bardziej poszkodowani byli Węgrzy, a przed 1920 r. ciemniejsi przez nich mniejszości. Ani też o rozsądzenie, kto ponosi za to większą odpowiedzialność. Chodzi o konstatację faktu: o ukazanie percepcji narodowej traumy i jej skutków.

Pojechałem na Węgry, aby zobaczyć rock operę „Trianon”, reklamowaną już od zimy tego roku jako prolog do obchodów setnej rocznicy „dyktatu”. Na plakatach informowano, że patronat nad nią objął wspomniany wicepremier Semjén.

Zanim jednak znalazłem się na stołecznym placu Bohaterów, gdzie wystawiano tę rock operę, pojechałem do Sátoraljaúhely: niezwykle miejsca, gdzie już ponad 75 lat temu zbudowano „Węgierską Kalwarię”, upamiętniającą ziemie odebrane w 1920 r. Odwiedziłem też miasto Várpalota, gdzie w 2004 r. otwarto Muzeum Trianon.

Kalwaria narodowa

Sátoraljaúhely to 15-tysięczne miasto w komitacie (województwie) Borsod-Abaúj-Zemplén, przy granicy ze Słowacją. Miasto historyczne: liczy przeszło 755 lat, a nazwę zawdzięcza górze Sátor, znajdującej się w pasie zielonych wzgórz Zemplén. Aby dojechać tu z Budapesztu, potrzebne są trzy przesiadki, w tym autobus zastępczy (na remontowanym odcinku kolei). Podróż zajmuje w najlepszym wypadku pięć godzin. Nad miastem góruje ogromna wieża telewizyjna i stacja kolejki linowej. Nieco na lewo widać mniejszy szczyt Szár. Na nim węgierska flaga: dumna, acz zniszczona.

Tu znajduje się kalwaria upamiętniająca Wielkie Węgry sprzed 1920 r. To 14 budowli przypominających kapliczki drogi krzyżowej, pnących się na szczyt góry. Na każdej nazwy miejscowości, które nie są już w granicach państwa (odnotowanych miast i regionów jest 38).

Pomysł jej utworzenia powstał w 1935 r., gdy w 15. rocznicę Trianon na szczycie góry ustawiono sto węgierskich flag. Jesienią 1936 r. kalwaria była gotowa. Dwa lata później ukończono już tylko wieńczącą ją Kaplicę św. Stefana – w 900. rocznicę śmierci tego pierwszego chrześcijańskiego króla Węgier.

Gdy przeglądam oficjalną notkę informacyjną o tym miejscu (będącym tyleż miejscem kultu, co atrakcją turystyczną), rzuca się w oczy oddzielona linijka tekstu: „Proporzec na ogromnym postumencie ogłasza sąsiadnim narodom, że Węgry raz jeszcze, od nowa będą jednością”.

Część tablic jest wyraźnie nowsza od pozostałych. Od pracownika wyciągu dowiaduję się, że przed dwoma laty był tu generalny remont. Zamontowano oświetlenie, wprowadzono interaktywny e-przewodnik. Fundusze miały pochodzić od samorządu, a część także ze środków unijnych. Z kolei na tablicach informacyjnych, których jest kilkanaście, widnieje logo Muzeum i Instytutu Historii Wojskowości w Budapeszcie.

Po kalwarii poszedłem na węgiersko-słowackie przejście graniczne. Droga jest prosta: kilka kilometrów aleją Rakocznego, za skrzyżowaniem z drogą krajową, jeszcze kilkaset metrów, mostek na rzeczce (nazywa się po węgiersku Ronnya, po słowacku Roňava). Przy moście, kilka metrów od granicy, duży głaz, a na nim tablica z napisem „4.06.1920 Trianon” i grafiką, którą przedstawia podzielone na dwie części miasto i komitat.

Tablica wjazdowa: „*Magyarország*”, wpisane w unijne gwiazdy. Nad nią ręcznie malowane godło Węgier. Corocznie na węgierskiej części mostu zbiera się młodzież śpiewająca historyczne pieśni. Uczestnicy całodniowej imprezy na kosztach mają kontury Wielkich Węgier, dzieci trzymają mapy ze starymi granicami. Na okrągłe rocznice pod pomnikiem wieńce składają przedstawiciele rządu. Nad całością obchodów czuwa burmistrz Péter Szamosvölgyi.

„Chrystus Narodów”

Várpalota leży bliżej Budapesztu, niecałą godzinę pociągiem. 4 czerwca tego roku był tu wicepremier Semjén.

Muzeum Trianon znajduje się w odrestaurowanym pałacu Zichyich i od 2011 r. ma zapewnione stałe finansowanie z budżetu państwa. Na maszcie powiewa flaga Węgier na stałe opuszczona do połowy. Na dziedzińcu – mityczny ptak Turul, który wedle legendy prowadził lud Madziarów ze stepów Azji na miejsce obecnego osiedlenia. Ptak ma związane skrzydła. Za nim granitowa tablica na głazie. I napis: „Węgry, Chrystus Narodów”. To nie trawestacja Mickiewicza, lecz werset z Sándora Máraiego, jednego z najwybitniejszych XX-wiecznych pisarzy węgierskich.

Muzeum przedstawia skutki „pokojuwego dyktatu”. W kolejnych salach znajdziemy np. opowieść, jak Rumunia zniszczyła węgierską kolej. W osobnej: czarne postacie polityków, którzy przypieczętowali los Węgrów. W innej: jakie straty poniosły Węgry w rolnictwie. Obszernie prezentowane są rewizjonistyczne plakaty z lat 20. i 30. XX w. Generalnie przyjęto tu tylko węgierski punkt widzenia. Wystawa przygotowana jest w „kulcie Trianon”.

Głównym celem muzeum, które stale odwiedzają szkolne wycieczki, jest budowanie węgierskiej tożsamości w oparciu o narodową tragedię i poczucie niesprawiedliwości. Darmowe bilety otrzymują ci,

którzy zamieszkują „ziemie utracone”. Jeden z projektów – „interaktywny Trianon” – był współfinansowany ze środków Unii.

I znów – szczegóły: na parkingu dostawcze auto, na nim wielki napis: „Odzyskajmy Węgry z powrotem”. Jednak, dzięki grze słów, formalnie napisano „szerezzük vissza”, a nie „szerezük vissza”, a zatem „Pokochajmy z powrotem”. Ot taki, podszyty rewizjonizmem, chwyt marketingowy.

Wierzę w jedną ojczyznę

Stolica, sobotni wieczór. W metrze linii M1 tłum. Niektórzy korzystają z nocy muzeów, ale chyba większość jedzie na plac Bohaterów, by obejrzeć rock operę „Trianon”. Przede mną młody człowiek, ramiona wytatuowane w symbole Wielkich Węgier. Nie dominują jednak bluzy z rewizjonistycznymi hasłami, nie ma też wyróżniającej się grupy wiekowej. Są młodzi i starsi.

W widowisku udział bierze 15 gwiazd węgierskiej muzyki, 20 aktorów, 200 tancerzy, 100 statystów (jak zaznaczają twórcy, część mieszka na dawnych ziemiach węgierskich), a także kilkadziesiąt koni. Najbardziej wyróżniającą się postacią jest Imre Vadkerti, który w trakcie przedstawienia nosi czarną koszulę z konturami Wielkich Węgier.

Rock opera zaczyna się w 1900 r. i kończy na uchwaleniu ustawy o Dniu Jedności. Nie sposób zrelacjonować całego spektaklu, ale warto odnotować kilka smaczków. I tak, przedstawia bezkrytycznie Węgry jako kraj dwukrotnie ukarany zmianą granic: w 1920 r. i 1947 r. (tzw. „małe Trianon”). Nie wspomina się, w następstwie czego do tego doszło, nie ma słowa o kolaboracji z Niemcami w czasie II wojny światowej i udziale w Holokauście. Uderza scena, gdy aktor mówi, że „Niemcy, w nadziei na rewizję postanowień traktatu wersalskiego, wybrały przewodniczącego partii robotniczej Adolfa Hitlera”. Tak właśnie, sugerując jej lewicową proveniencję, przedstawiono partię Hitlera (w istocie była to Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników).

Potem następuje „Węgierskie »Wierzę w Boga«”, ze słynnymi słowami: „Wierzę w jednego Boga / Wierzę w jedną ojczyznę / Wierzę w wieczną sprawiedliwość boską / Wierzę w Węgier zmartwychwstań. Amen!”.

Tuż po tym, gdy w uniesieniu słowa te wypiewał Miklós Varga, głos zabierają



Tablica na głazie-pomniku przy węgiersko-słowackim przejściu granicznym nad rzeczką Ronyva/Ronava, przedstawiająca podzielone w 1920 r. miasto i region.

dwaj gazeciarze. Jeden woła, trzymając gazetę: „Najnowsze oświadczenie Duce, Benito Mussoliniego: traktaty pokojowe nie są wieczne. Inspirowane Trianon polityczne kalkulacje zostały już osądzone przez praktykę i czas”. Zebrani na scenie biją brawo. Wtórzuje mu drugi gazeciarz: „Węgry pokładają nadzieje w monachijskich postanowieniach premierów Anglii, Francji, Niemiec i Włoch”. Podniosła muzyka. Głos przywódcy państwa Miklósa Horthy'ego i jego przemówienie po wkroczeniu w 1938 r. do Komarna (po 1920 r. słowackiego). Na telebimach – wojska witane na „ziemiach odzyskanych”.

Potem, także na telebimach, kontury Węgier z 1940 r. Widownia klaszcze. Słyszemy fragment powieści pisarza Alberta Wassera pt. „Nadeszli! Oddajcie mi z powrotem moje wzgórza”, traktujący o odzyskaniu Siedmiogrodu w 1940 r. i jego ponownej utracie w 1946 r.: „Wiedzieliśmy, że decyzje zapadły już w Wiedniu, wiedzieliśmy, że jacyś nieznani ludzie jednym ruchem ręki w ciągu minuty mogli przekreślić nasz los”. Narrator odczytuje nazwy ziem przyłączonych na nowo do Węgier w latach 1938-41 (dzięki kolaboracji z Hitlerem). Widownia znów klaszcze.

Piętnaście milionów

A potem – miła muzyka, w tle tykanie zegara. I nagłe: bombardowania. Nie wia-

domo, kto i dlaczego atakuje Węgry. Na scenie pojawiają się Żydzi z wpiętymi złotymi żonkilami. Są oddzieleni od pozostałych przez nieznane postacie w czarnych mundurach (dosłownie czarne charaktery) i kilku strzałokrzyżowców, tj. węgierskich faszystów, biegających po scenie w pewnym zagubieniu. Nie ma jednak o nich słowa, jakby nie byli częścią węgierskiej historii. Aby uniknąć niewygodnych pytań, okres hitlerowski połączono od razu z komunizmem.

Znów pojawia się gazeciarz, który mówi, że „10 lutego 1947 r. zwycięskie siły podpisały w Paryżu traktat pokojowy z Węgrami. Przywrócono granice Trianon sprzed 1 stycznia 1938 r.”. Następuje płynne przejście do wypędzenia Węgrów z Czechosłowacji.

Takich powyrywanych z kontekstu historycznych zdarzeń jest wiele. Np. słynną mowę Orbána (wtedy opozycjonisty) w 1989 r., także na placu Bohaterów, w czasie powtórnego pogrzebu ofiar powstania z 1956 r. – postulował on wycofanie wojsk sowieckich – przedstawiono jako początek upominania się o Trianon. Przytoczono też słowa Józsefa Antalla, pierwszego premiera wolnych Węgier, który w 1993 r. mówił, że na podstawie prawa jest premierem 10 mln obywateli, ale w sercu chciałby być premierem 15 mln Węgrów (tj. także tych poza granicami).

Rock operę kończy fraza: „Twoja jest ziemia, Twoim głos / Nie ma kreślonych granic / Tam, gdzie czerwona, biała i zielona jest flaga / Tam kraj, ojczyzna Twoja”. Przez plac przetaczają się gromkie brawa. Rozlega się hymn Węgier. A potem hymn Seklerszczyzny.

Droga w nieznane

Ktoś mógłby powiedzieć: to tylko wydalenie artystyczne. Albo: to tylko emocje, przeżywanie straty i poczucia niesprawiedliwości. Jednak jest to przeżywanie bez jakiegokolwiek autorefleksji. Przeżywanie oparte na historii zmitologizowanej, odrealnionej, sprowadzonej do figury Węgier jako współczesnego „Chrystusa Narodów”.

Jak będą wyglądać obchody stulecia Trianon? I co z nich wyniknie? Po tym, co właśnie pokazano na placu Bohaterów, wolno sądzić, że granica narracji o historycznej niesprawiedliwości jest przesuwana coraz dalej – w nieznane jeszcze rejony.

© DOMINIK HÉJ

ZMIANY W SPADKU

Jak to możliwe, że następnym pokoleniom mogą zostać przekazane cechy niezapisane w sekwencji DNA? Odpowiedzi szuka epigenetyka: nowa dziedzina genetyki, której odkrycia wiele nam powiedzą o ewolucji, ale też o naszym zdrowiu.

ŁUKASZ SAKOWSKI

HOLANDIA, ZIMA NA PRZEŁOMIE 1944 i 1945 r. Jeszcze trwa II wojna światowa. W kraju brakuje żywności. Czas ten przejdzie do historii jako „Holenderska Zima Głodu”. Sporą część ludności dotyczą fizjologiczne zmiany, zwłaszcza w metabolizmie tłuszczu. Późniejsze badania pokażą, że ludzie, których matki wówczas głodowały będąc z nimi w ciąży, mieli gorszą tolerancję glukozy w porównaniu do osób narodzonych rok wcześniej. Zaś u wnuków głodujących kobiet zaobserwowano skłonności do posiadania nadmiaru tkanki tłuszczowej po narodzinach. Podobnie było u potomstwa głodujących ojców. Dla naukowców oznaczało to, że odziedziczone zostały cechy niezapisane w genach.

Jeszcze nie tak dawno wśród biologów dominował pogląd, że dziedziczenie oznacza wyłącznie to oparte na sekwencji DNA, czyli kolejności w łańcuchu czterech rodzajów nukleotydów: adeniny, tyminy, guaniny i cytozyny. Coraz więcej badań pokazuje jednak, że oprócz tego istotne są też pewne modyfikacje chemiczne DNA, które mogą być przekazywane kolejnym pokoleniom. W pewnych sytuacjach nawet wówczas, gdy organizm nabył je za życia. Nazwano te modyfikacje „epigenetycznymi”, czyli ponadgenetycznymi (w języku polskim bardziej zrozumiała jest nazwa „pozasekwencyjne”, ponieważ wciąż mowa tu o genetyce, ale nie tej dotyczącej kolejności nukleotydów w DNA).

W ostatnich latach badania nad epigenetyką stały się wśród biologów niezwykle modne, zarówno w medycynie, genetyce, biochemii, fizjologii, jak i biologii ewolucyjnej. A odkrycia z nią związane dotyczą spraw tak ważnych jak leczenie nowotworów czy przedłużanie naszego życia.

Wyciszyć gen

W XIX wieku, kiedy nie znano jeszcze reguł i praw genetyki, ówczesni naukowcy spierali się o to, w jaki sposób rozmaite cechy przekazywane są z pokolenia na pokolenie. Choć prekursor genetyki, morawski augustinianin Grzegorz Mendel, swoje eksperymenty nad dziedziczeniem prowadził jeszcze za życia Karola Darwina, ten nigdy się o nich nie dowiedział. Zmarł, zanim przykuły one uwagę biologów po tym, jak wyniki zakonnikarza zostały potwierdzone przez kolejnych badaczy na początku XX wieku.

Pewną sławę zyskał również francuski botanik Jean Baptiste de Lamarck. Głosił on możliwość dziedziczenia cech nabytych. Jego poglądy zostały powszechnie odrzucone, także z uwagi na błędny opis samego procesu ewolucji biologicznej. Lamarck obserwował rośliny i w dużej mierze na ich podstawie konstruował swoje naukowe poglądy. Eksperymenty przeprowadzone w XX wieku, m.in. z odcinaniem ogonów myszom i sprawdzaniem, czy ich brak jest dziedziczny, przekonały środowisko przyrodników, że dziedziczenie cech nabytych jest niemożliwe.

I choć w takim kształcie, jak wyobrażano je sobie w czasach Lamarcka i w XX wieku, faktycznie ono nie zachodzi, to okazuje się, że w funkcjonowaniu naszego genomu istnieje szczególnie furtka – najwyraźniej pozwalająca na swego rodzaju przekazywanie nabytych za życia cech następnym pokoleniom.

Epigenetyka skupia się na zjawisku zwanym metylacją DNA. Jest to proces przyłączania chemicznych grup metylowych (CH_3 , czyli jedna cząsteczka węgla i trzy cząsteczki wodoru) do niektórych elementów sekwencji DNA: cytozyny, a czasem także adeniny. Zmetylowany fragment DNA staje się ciaśniej upakowany, co ogranicza dostęp do niego białkom biorącym udział w ekspresji, czyli odczytywaniu DNA. W efekcie aktywność poszczególnych genów słabnie, a nawet może zostać całkowicie zablokowana. Im więc wyższy stopień metylacji danej sekwencji, tym słabsza jest produkcja białka powstającego na jej podstawie.

Zjawisko metylacji DNA zaobserwowano u zwierząt, roślin, glonów czy bakterii. Pierwotnie była ona prawdopodobnie mechanizmem obronnym przed wirusami – bakteria metyluje fragmenty genomu zaatakowane przez wirusa, żeby je wyłączyć. Również nasze ludzkie DNA jest bogato metylowane w miejscach występowania pozostałości po wirusach, które utrwaliły się w naszym genomie w trakcie ewolucji biologicznej. Bez tego sekwencje wirusowe mogłyby



się przemieszczać i wywoływać mutacje. Znane są takie przypadki, a fragmenty DNA, które za to odpowiadają, nazywa się transpozonomi.

Metylowaniem DNA zajmują się enzymy zwane metylotransferazami. Istnieją różne ich typy i od tego, z którym mamy do czynienia, zależy rodzaj metylacji. Jedne aktywne są głównie w okresie prenatalnym, inne po narodzinach. Jedne odpowiadają za dziedziczenie wzoru metylacji, a inne za metylowanie od nowa.

Oprócz chemicznych zmian DNA epigenetycznymi mechanizmami są również modyfikacje histonów – czyli białek, na które nawinięta jest nić DNA, tworzących wraz z nią chromosomy. Zmiany te sprawiają, że fragmenty chromosomów zacieśniają się, na skutek czego również ekspresja genów leżących na zmienionym obszarze może się zwiększyć lub zmniejszyć.

Po matce i ojcu

Jednym z lepiej poznanych zjawisk związanych z epigenetyką jest tzw. piętnowanie gametyczne, zwane także piętnowaniem rodzicielskim lub imprintingiem. Polega ono na przekazywaniu informacji o blokowaniu poszczególnych genów zależnie od płci. W efekcie pewne geny

nie są odczytywane, jeśli zostały odziedziczone po ojcu, a inne po matce. Gdy plemnik zawierający wyciszone geny po ojcu połączy się z komórką jajową z wyciszonymi genami po matce, genom zygoty zawierał będzie wersje genów piętnowane po obojgu rodzicach. Kiedy nowy osobnik zacznie produkować własne komórki płciowe, sytuacja zacznie się powtarzać – zależnie od jego płci. I tak z pokolenia na pokolenie.

Piętnowanie rodzicielskie uniemożliwia ssakom rozmnażanie się przez partenogenezę: czyli bez udziału komórek płci przeciwnej. W partenogenezie z jaja zawierającego jądro komórkowe, ale bez DNA plemnika, lub z wypełnionego plemnikiem jaja pozbawionego własnego jądra może powstać zdrowy zarodek. Obserwuje się to np. u owadów, ryb, płazów, a nawet niektórych gadów, jak warany z Komodo. Tymczasem ssakom potrzebny jest materiał genetyczny od obojga rodziców, bo za sprawą piętnowania rodzicielskiego brak DNA matczynego skutkuje nieobecnością aktywnych sekwencji istotnych dla rozwoju zarodka, a brak genomu ojcowskiego – sekwencji ważnych dla rozwoju łożyska. Dlatego właśnie partenogenetyczne zarodki ssaków zamie-

rają na wczesnych etapach wzrostu. Eksperyment, którego wyniki opublikowano w czasopiśmie „Nature” w 2004 r., pokazał, że za sprawą skomplikowanych manipulacji pozwalających ominąć piętnowanie gametyczne, ze ssaczego zarodka partenogenetycznego mógł się urodzić zdrowy osobnik. Pierwszym ssakiem partenogenetycznym była uzyskana metodami biotechnologicznymi mysz nazwana imieniem Kaguya, zaczerpniętym z japońskiej baśni.

O ile o piętnowaniu gametycznym wiadomo od XX wieku, o tyle inne formy dziedziczenia epigenetycznego bada się od stosunkowo niedawna i to właśnie one budzą ogromne zainteresowanie. Odpowiadają bowiem właśnie za owo dziedziczenie cech nabytych. Otóż są dowody, że epigenetyczna modyfikacja powstała w trakcie dorosłego życia prawdopodobnie może zostać przekazana kolejnym pokoleniom.

Do trzech razy sztuka

Dziedziczenie epigenetyczne dzieli się na wewnątrzpokoleniowe oraz międzypokoleniowe. Co to oznacza? Z pierwszym mamy do czynienia, jeśli modyfikacja epigenetyczna zaszła przy bezpośrednim kontakcie danego pokolenia z czyn- ➔

→ nikiem zmieniającym metylację DNA. Jeśli zatem kobieta w ciąży (pokolenie nr 1) podczas wspomnianej holenderskiej zimy 1944/45 doświadczyła głodu, co zmodyfikowało u niej profil metylacji DNA, to z głodem zetknął się też płód (pokolenie nr 2) i komórki płciowe płodu, które są potencjalnym kolejnym pokoleniem (nr 3). U mężczyzn z tego oczywistego powodu, że nie zachodzą oni w ciążę, dziedziczenie epigenetyczne wewnątrzpokoleniowe zawsze będzie odnosiło się do pokolenia nr 1 (mężczyzna) i nr 2 (plemnik, czyli potencjalne nowe pokolenie).

Natomiast dziedziczenie międzypokoleniowe, które można uznać za faktyczne dziedziczenie cech nabytych, ma miejsce, jeżeli modyfikacja epigenetyczna utrzymuje się w kolejnych pokoleniach, przy braku bezpośredniego kontaktu z czynnikiem zmieniającym profil metylacji DNA. Jest to więc sytuacja, w której czynnik środowiskowy modyfikuje epigenetycznie DNA kobiety w ciąży (pokolenie nr 1), jej płodu (pokolenie nr 2) oraz komórek płciowych płodu (pokolenie nr 3), ale zmiana ta utrzymuje się też w kolejnych generacjach – nr 4, 5, 6... I z czasem może zanikać, utrzymywać się lub wzmacniać.

Istnieje wiele dobrze udokumentowanych przypadków dziedziczenia epigenetycznego wewnątrzpokoleniowego. Np. u myszy *aguti* z niedoborem grup metylowych w diecie obniżona zostaje metylacja DNA, co z kolei odblokowuje pewien transpozon (przypomnijmy: pozostałość po wirusie w DNA, która niezabezpieczona poprzez metylację może się poruszać po genomie). Jego ruch w genomie wywołuje mutację prowadzącą do zmiany umaszczenia zwierzęcia, utrzymującą się do drugiego pokolenia. Z gryzoniami wiąże się też inny, fascynujący przykład: w ubiegłym roku ukazały się wyniki badań pokazujących, że chomiki syberyjskie, które narażono na światło nocą, wykazują zaburzenia odpornościowe i hormonalne, a u ich potomstwa zmienił się profil metylacji DNA komórek śledziony.

W przypadku zaś ludzi ciekawe badania zwracają uwagę na autyzm. Jest to zaburzenie w funkcjonowaniu mózgu o różnych, ale przede wszystkim genetycznych – czyli wrodzonych – źródłach. Wieloletnie obserwacje z Wielkiej Brytanii pokazały tymczasem istotną korelację między zaburzeniami ze spektrum autyzmu w zakresie powtarzalności zachowań oraz komunikatywności ze społeczeństwem – a są to jedne

Już dziś przy niektórych nowotworach stosuje się leki epigenetyczne. Dziedzina ta daje także nadzieje na rozwój **medycyny regeneracyjnej**.

z kryteriów diagnostycznych – u wnuczek, których babcia od strony matki paliła papierosy w trakcie ciąży. Inne nowe odkrycia pokazały natomiast, że istnieją geny, których ekspresja związana jest z autyzmem, a w których metylacja zmienia się u dzieci matek palących papierosy w czasie ciąży. Daje to pole do spekulacji, że swoją rolę w rozwoju tego zaburzenia powodują czynniki epigenetyczne.

Nowe nadzieje

Wciąż trwają dyskusje nad istnieniem bądź istotnością dziedziczenia epigenetycznego międzypokoleniowego innego niż piętnowanie rodzicielskie. Z czasem pojawiają się jednak kolejne dowody. Problem polega głównie na tym, że nie odkryto dotąd mechanizmu takiego dziedziczenia. Niejasność wynika z faktu, że w trakcie rozwoju zarodkowego dochodzi do masowej demetylacji genomu embrionu, a następnie do ponownej jego metylacji. Nie wiemy, jak to się dzieje, że proces ten epigenetycznie ważne rejony pomija lub je „zapamiętuje”.

Mimo to pokazano np., że samce myszy równocześnie rażone prądem i wystawiane na zapach acetofenonu (bliski zapachowi róży) mają zmienioną metylację genu pewnego receptora węchowego w węchomózgowiu, a co za tym idzie – inną aktywność kodowanego przezeń białka. Zmiana ta była dziedziczona międzypokoleniowo: występowała u trzeciego pokolenia samców. Obserwowano to zarówno na poziomie metylacji DNA, aktywności wspomnianego białka, jak i w reakcjach na zapach acetofenonu w testach behawioralnych.

Dziedziczenie epigenetyczne szczególnie interesuje biologów ewolucyjnych i genetyków populacyjnych. Może się bowiem okazać, że jest to kolejny rodzaj dziedziczenia, który należałoby uwzględnić w teorii ewolucji biologicznej. Dziedziczenie wewnątrzpokoleniowe mogłoby być krótkotrwałym, ale przydatnym sposobem na przystosowanie się do stosun-

kowo szybko zmieniających się warunków, a międzypokoleniowe, po dokładniejszych badaniach, być może zostałoby uznane za równie ważne jak ściśle dziedziczenie sekwencji DNA.

Ale epigenetyka ważna jest też np. w kontekście odżywiania. Istnieje dział genetyki zwany nutrigenomiką, który systematyzuje wiedzę na temat tego, jak poszczególne pokarmy wpływają na nasz genom. Gałąź ta mówi nam też o tym, w jaki sposób związki chemiczne z jedzenia modyfikują profil metylacji DNA czy histony. Ponieważ jednym z ważniejszych źródeł grup metylowych w naszej diecie są witamina B₁₁ (kwas foliowy) czy B₁₂ (kobalamina), ich niedobór może prowadzić do zaburzeń. Stwierdzono na przykład, że niedobór kwasu foliowego jest zbliżony z obniżonym poziomem metylacji w DNA komórek układu odpornościowego u kobiet, a niedobory kobalaminy wiążą się ze zmianami epigenetycznymi w genach, co do których podejrzewa się, że biorą udział w rozwoju schizofrenii. Obecny w zielonej herbacie galusan epigallokatechiny blokuje enzymy odpowiedzialne za metylację, niedobory selenu korelują z obniżeniem metylacji w DNA komórek jelitowych i wątrobowych, występujący w czerwonych winogronach resweratrol aktywuje zaś białka zwane sirtuinami, które usuwają epigenetyczne zmiany histonów.

Sukcesy badaczy przyspieszają rozwój epigenetyki: w obszar ten inwestuje się coraz więcej grantów. Powstają nawet jednostki z epigenetyką w nazwie: np. Max Planck Institute of Immunobiology and Epigenetics we Fryburgu Bryzgowijskim.

Nadzieje wiążą się nie tylko z podstawową wiedzą na temat tego, jaki wpływ dziedziczenie epigenetyczne ma na ewolucję biologiczną. Chodzi także o wiedzę na temat jego wpływu na fizjologię organizmu oraz rozwój chorób w kontekście terapii. Już dziś przy niektórych nowotworach stosuje się leki epigenetyczne. Genetykom udaje się też na podstawie metylacji pewnych obszarów DNA ustalać przybliżony biologiczny wiek organizmu. Odkrycia w tej dziedzinie dają więc nadzieje także na rozwój medycyny regeneracyjnej.

Epigenetyka bez wątpienia jeszcze długo pozostanie w centrum uwagi badaczy. I niejednym nas jeszcze zaskoczy.

© ŁUKASZ SAKOWSKI

Autor jest biologiem i popularyzatorem nauki. Prowadzi blog naukowy www.totylkoteoria.pl

ANDRZEJ

Stasiuk:

Syn swego kraju



DO SAINT MALO ZAJECHAŁEM O ZMIERZCHU. Hotel stał na nabrzeżu. Znalazłem wolne miejsce i zostawiłem auto. Wyszedłem na bulwar. Na zachodzie ciemność gasiła złotoczerwoną zorzę. Widziałem granatowy zarys wyspy. W dole słychać było fale przy-

plywu uderzające o brzeg. Księżyc w pierwszej kwadrze był srebrny i czysty. Znalazłem otwarty bar, usiadłem na stołku i poprosiłem podwójną wódkę i małe piwo. Tak właśnie wyobrażałem sobie przybycie do obcego kraju: pusty bar, księżyc, odgłos fal, a między nimi krucha cisza. Tak wyobrażałem sobie przybycie do kraju, o którym nic się nie wie. Do kraju, do którego przyjechało się przypadkiem.

Podobało mi się to osamotnienie z czarnoskórym barmanem, którego postać podwajała się w lustrze, podobała mi się jego zdawkowa uprzejmość chwilę przed zamknięciem. Podobała mi się melancholia mojej podróży, z której miało nie wynikać poza przyjemnym i nienatarchywym doświadczeniem obcości. Ale przecież po to zazwyczaj wyjeżdżamy: po bezpieczną obcość, w której się odbijamy. Jak ten barman w lustrze.

Gdy wyszedłem, zorza już zgasła. Patrzyłem w huczącą ciemność i myślałem: Tam jest Anglia. Anglia, w której kiedyś byłem i najpewniej do niej nie wrócę. Jak do wielu innych miejsc, które nie zostawiają śladów w sercu. Ale chciałem dać szansę Saint Malo. Przyplływ rozbijał się o starą palisadę w dole. Prawie nikogo nie było. Szedłem całkiem sam, wsłuchany w huczącą czerń kryjącą kraj, w którym nigdy nie byłem. A gdybyś tak zaraz wyjechał? – zapytałem sam siebie. Gdybyś raptem zawrócił w tej podróży, unosząc w pamięci wieczorny obraz nieznanego miasta z jego ciemnym i solnym zapachem, z jego dyskretną obcością, z odbiciem barmana w lustrze i stygającym ciepłem starych murów? Cóż by się takiego stało? Przecież te obrazy już na zawsze pozostałyby w tobie. Zapewne mocniejsze i bardziej wyraziste niż te, które miał przynieść jasny dzień, pogodny poranek w swojej banalnej oczywistości. Z tym podnoszeniem żaluzji, zapachem kawy, z tą ociążałą i solenną powtarzalnością tysięcy wcześniejszych poranków, z których składał się ten kraj.

Był to śmiały plan literacki z gatunku tych, że jedzie się osiem tysięcy kilometrów, bo gdzieś na mapie przeczytało się nazwę miejscowości, która brzmi pięknie i obco jak na przykład Murgob w Pamirze. Tak, dobry plan, ale nie możesz tego zrobić swojemu wydawcy, dodałem w myślach i zawróciłem w stronę hotelu. Wziąłem rzeczy z auta. Od kobiety w hotelowym barze kupiłem butelkę wina i poszedłem na górę.

– Wiesz, Francuzi też mają długie weekendy – powiedziała Margot następnego dnia przed południem. – Paryż ma długi weekend, Rouen ma, Nantes ma.

Byłem już po porannym spacerze i dwóch kawach. Wyjąłem nawet zza wycieraczki mandat za trzydzieści euro. Margot spojrzała na niego obojętnie i schowała do torebki: – Wydawca się tym zajmie.

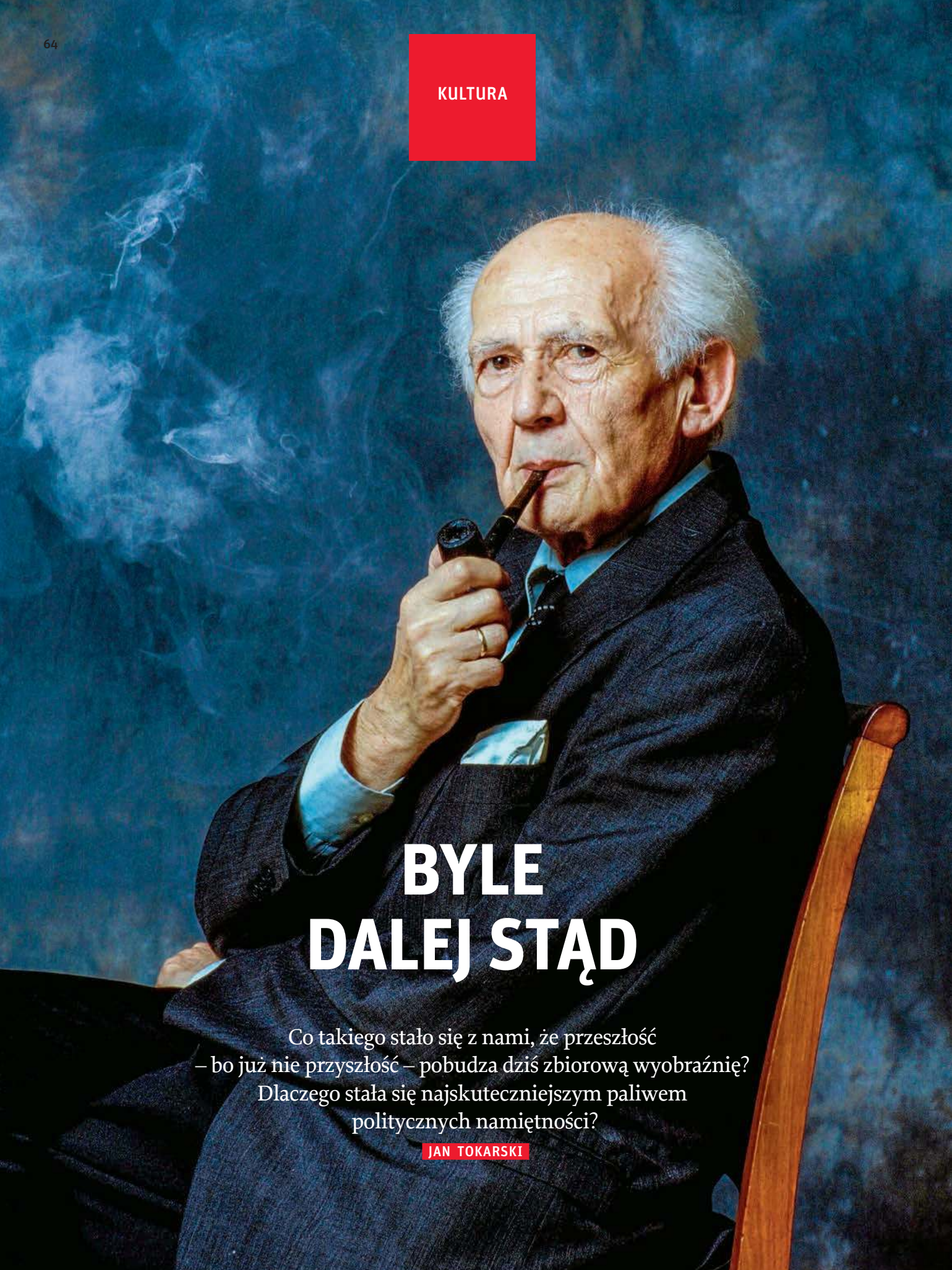
Aut wciąż przybywało. Stały na światłach i trąbiły. Zupełnie jak w Astanie albo w Ułan-Bator. Chodziły trzyosobowe patrole w kamizelkach kuloodpornych i z tymi śmiesznymi karabinami FAMAS przypominającymi trąbki.

– To dlatego, że jest festiwal – wyjaśniła Margot. Pierwszy raz byłem na festiwalu literackim, którego pilnowało wojsko. Nawet przyjemnie mi się zrobiło. Ktoś wreszcie poważnie traktował literaturę. Zaczynał się odpływ i tłum gęsiego drobił po mokrym piasku na wyspę z grobem Chateaubrianda. A my poszliśmy występować przed publicznością. W jakimś kinie wszystko się odbywało. Ludzi trochę było. Prowadzący wiedzieli, o czym mówią. Przeczytali książkę. Po francusku nazywała się „l'Est”. Ktoś z publiczności zapytał, dlaczego jeżdżę na wschód. Bo mam bliżej, odpowiedziałem. Odpowiedź, tak mi się wydawało, była dość inteligentna. I pomyślałem sobie, że słusznie słuchałem instynktu przez te wszystkie lata. Że szkoda mi było czasu na Paryż i wołałem śnić o Tatarii i Takla Makan. Że wołałem umierać z nudów jadąc do Ułan Ude, że wołałem zdychać z gorąca na Stepie Głodowym i trząść się w spiworze, gdy nad Selengą szronił się poranny przymrozek.

Co by tam jedni i drudzy nie myśleli, byłem przecież synem swojego kraju. I zanim większość to pojęła, czułem synowskim zmysłem, dokąd mój kraj zmierza. Czułem, dokąd go ciągnie. Czułem, w którą stronę kieruje go zew ciemnej, dawnej krwi. Zanim potrafiłem to powiedzieć, wiedziałem, że tak jest. Dlatego dość wcześnie pojąłem, że Paryż, Zachód, Śródziemnomorze, Dante wraz z Petrarą oraz Wspólnota Węgla i Stali, to są bardzo piękne i pożyteczne rzeczy, ale tutaj, w kraju, którego jestem nieodrodnym synem, dość ekstrawaganckie i niepraktyczne. Bo jesteśmy plemieniem, które potrzebuje chana. Chana, który nam powie, kim jesteśmy i co mamy czynić. A jak nas ten chan znudzi, to pójdziemy do innego. A jak i ten nie zaspokoi naszych mglistych i najtajniejszych pragnień, to przecież step szeroki, chanów na nim dość, więc odnajdziemy następnego, który nam końcu powie, jak się ostatecznie sprawy z nami mają. Z czyich kości i krwi kość i krew nasza.

Tak pomyślałem, ale siedziałem cicho. To była przecież trudna wiedza i, jak mi się wydawało, zupełnie publiczności niepotrzebna. Potem poszliśmy zwiedzać zabytki miasta, ale to było dość trudne, bo wszystko zasłaniali ludzie. Do grobu na wyspie wiódł wydeptany szlak szerokości autostrady. Ale wieczorem miał nadejść przyplływ i wygładzić piach. To mnie trochę uspokajało.

Wstałem po piątej, wziąłem prysznic i spakowałem rzeczy. Do auta miałem kawałek, ale za wycieraczką nie było mandatu. Zapaliłem silnik, westchnąłem i powiedziałem cicho: żegnaj, Saint Malo, pewnie się nie zobaczymy, ale jesteś piękne i takim cię zapamiętam. Szosa była zupełnie pusta. Po godzinie zajeżdżałem na zieloną, cienistą stację. Zatankowałem, wziąłem podwójne espresso i kilka red bulli. Ludzie jeszcze spali w swoich przyczepach i kamperach. Ktoś się poruszył w niewielkim namiocie. Może przewracał się na drugi bok. Dopilem kawę i jak najciszej odjechałem. Prosto na wschód, w stronę wstającego słońca. Zastanawiałem się, czy dam radę dociągnąć do NRD. ©



BYLE DALEJ STĄD

Co takiego stało się z nami, że przeszłość
– bo już nie przyszłość – pobudza dziś zbiorową wyobraźnię?
Dlaczego stała się najskuteczniejszym paliwem
politycznych namiętności?

JAN TOKARSKI

FRANZ KAFKA TAK TO OPISAŁ W SWOIM opowiadaniu: „Z daleka usłyszałem granie trąbki, zapytałem służącego, co to znaczy. Nie wiedział o niczym i nic nie słyszał. Przy bramie zatrzymał mnie i zapytał: – Dokąd pan jedzie?”

– Nie wiem – powiedziałem – byle dalej stąd, byle dalej. Tylko dalej, jedynie tak mogę osiągnąć swój cel.

– Znasz zatem swój cel? – zapytał.

– Tak – odparłem – powiedziałem przecież. Oddalić się stąd – oto mój cel”.

Ten fragment przypomina w swojej ostatniej książce „Retrotopia” Zygmunt Bauman. Pytał w niej, od czego staramy się uwolnić i ku czemu zmierzamy. Tylko tyle, aż tyle.

Wydana niedawno, została uznana za doskonały opis nas – współczesnego Zachodu. Czy rzeczywiście nim jest? Przecież nowy kształt świata rodzi się właśnie na naszych oczach.

Utopia w stylu retro

Czym jest tytułowa retrotopia? Jak każde utopijne marzenie, zawiera w sobie pragnienie ucieczki. Obiecuje przedostanie się do krainy, w której ból i dylematy, obecnie boleśnie przeżywane, przestaną nam doskwierać. Różni się jednak wyraźnie od klasycznej utopii tym, co stanowi najgłębsze źródło jej wyobrażeń. Jest nim w tym przypadku wizja utraconego raju, który kiedyś zamieszkiwaliśmy. Jak przekonuje Bauman, naszą wyobraźnię przestała ożywiać wizja przyszłości, którą możemy zbudować, dokonując społecznego i politycznego postępu.

Karmi ją teraz wizja przeszłości, do której można wrócić, osadzając kulturę z powrotem na fundamentach, z których się jakoby zsunęła. Podobnie jak wysnione wyspy przyszłej szczęśliwości, o których mówią utopie, również retrotopia to jednak fikcja.

Retrotopia jest zdaniem Baumana dzieckiem „płynnej nowoczesności”. Stanowi reakcję na charakterystyczne dla niej poczucie niestabilności. Poczucie to towarzyszyło ludziom od zawsze. Dawniej uśmierała je religia, a w czasach nowożytnych – jej świeckie substytuty.

„Utopie nowoczesne różniły się między sobą w wielu szczegółach, ale wszystkie były zgodne co do tego, że »świat dosko-

nały« może być tylko światem na wieki także samym, światem, w którym mądrość dziś zdobyta pozostanie mądrością jutro i pojutrze” – zauważał Bauman w „Ponowoczesności jako źródle cierpienia”. Wszystkie te śmiałe plany przebudowy ludzkiego świata zawaliły się jednak jeden po drugim.

Wiek XX był areną ich katastrofy. I, jednocześnie, momentem narodzin nowej odmiany nowoczesności, określanej przez Baumana mianem „płynnej”. Wszystko teraz podlega nieustannej zmianie, a ludzie w nieskrępowany sposób mogą wybierać swoją wizję szczęścia i próbować ją realizować: „W ponowoczesnym świecie swobodnie konkurujących stylów i wzorów życia pozostał wszak jeden surowy egzamin, który wszyscy ubiegający się o przyjęcie doń zdać muszą; trzeba dowieść, (...) że się sobie upodobało i że się praktykuje nieznaną przedtem możliwość wdziwania i odrzucania na przemian coraz to innych tożsamości i że jest się gotowym spędzić życie na poszukiwaniu coraz intensywniejszych przeżyć i coraz bardziej podniecających wrażeń”. Skoro obietnice „twardej” nowoczesności zawiodły, odpowiedź miał być nowy raj płynności.

Sprowadźmy te dość abstrakcyjne rozważania na ziemię. Synonimem wzrastającej przez ostatnie dziesięciolecia swobody przepływów – ludzi, towarów, informacji etc. – była globalizacja. Przez wiele lat widziano w niej raczej obietnicę niż zagrożenie. Świat miał połączyć jeden system gospodarczy, ludzkość wyznająca coraz bliższe sobie wartości byłaby mniej skłonna do wszczynania wojen, nierówności pomiędzy poszczególnymi państwami czy klasami społecznymi miały się niwelować.

Nadzieje te okazały się płonne. Najbardziej dotkliwe okazało się pęknięcie pomiędzy wyraźnie zglobalizowanym kapitałem a uwięzioną w lokalności polityką. Jak pisze w „Retrotopii” Bauman: „w wyniku globalizacji oraz postępującego wraz z nią rozdziału i oderwania polityki od władzy, państwa rzeczywiście zmieniają się obecnie w nic więcej, jak tylko leżące na sporym obszarze społeczności lokalne z ledwie zauważalnymi, nieszczelnymi i słabo ufortyfikowanymi granicami – podczas gdy historyczne regiony, które kiedyś miały zakończyć swój żywot tak jak inne *pouvoirs intermédiaires* na śmietniku historii, walczą o objęcie roli »małych państw«, maksymalnie wykorzystując

resztki *quasi*-lokalnej polityki oraz prerogatywę rozróżniania »nas« od »innych« (i odwrotnie), która niegdyś, zazdrośnie strzeżona, niepodzielna i nienaruszalna, leżała w gestii państwa-monopolisty”.

Państwo – dawny hegemon, zdolny zaprowadzić porządek na podległym mu obszarze – zostało więc wskutek procesów globalizacyjnych radykalnie osłabione. Rządy, dbając o dobrobyt obywateli, muszą zabiegać o inwestycje międzynarodowego kapitału, zachęcać wielkie firmy do budowania swoich siedzib właśnie u nich, a nie gdzie indziej.

Państwo stało się ciężkie, przywiązane do ziemi; kapitał – lekki, zdolny z największą łatwością ulecieć do innych, bardziej atrakcyjnych miejsc. Politycy w coraz mniejszym stopniu trzymają w rękach ster. O wiele częściej są biernymi obserwatorami mających miejsce wydarzeń. Globalizacja nie tylko włącza więc wszystkich do sfery dobrobytu w czasach wzrostu gospodarczego, ale również wsysa wszystkich w kryzys, gdy na którymś rynku ma miejsce drastyczne załamanie. Politycy niewiele mogą wobec tych toczących się ponad ich głowami procesów poradzić. Tak luminarze postępu i piewcy globalizacji tracą wiarygodność.

Jak narcyz się utopił

Zatem bezradność rzekomych władców została brutalnie obnażona? Jak pisze Bauman: „raz pozbawiona mocy, by kształtować przyszłość, polityka zwykle przenosi się w przestrzeń pamięci zbiorowej – przestrzeń znacznie bardziej podatną na manipulację i zarządzanie, a z tego właśnie powodu obiecującą szansę na błogą wszechwładność, dawno (i prawdopodobnie raz na zawsze) utraconą w naszych czasach i być może równie utraconą dla czasów nadchodzących. Rzeczą najbardziej oczywistą, a zatem najbardziej szkodliwą dla naszej pewności siebie, dla naszego poczucia własnej wartości i dumy z nas samych, jest poczucie, że to nie my kontrolujemy teraźniejszość, z której ma wykiełkować i zakwitnąć przyszłość – i dlatego nie żyjemy wielkich nadziei, że będziemy mieć nad nią kontrolę; w procesie jej kształtowania przeznaczona jest nam rola pionków na szachownicy należącej do kogoś innego, w grze prowadzonej przez kogoś innego, kogo nie znamy i nigdy nie poznamy. Z tej przyczyny prawdziwą ulgę przynosi powrót z owego zagadkowego, abstrakcyjnego, nieprzyjemnego, →

Zygmunt Bauman

→ wyalienowanego i alienującego świata pełnego pułapek i zasadzek do znanego, wygodnego i przytulnego świata pamięci, który choć czasem się zachwieje, jest nam pocieszeniem, nie rozstawia przeszkód i daje swobodę ruchów; świata *naszej* pamięci – a więc *mojej* pamięci, bo jestem jednym z *nas*; *naszej* pamięci – pamięci o naszej, nie ich, przeszłości – pamięci, którą to *my* i *tylko my* posiadamy (to jest: używamy jej i nadużywamy)”.

Drogą ucieczki jest więc agresywna polityka tożsamości, która chaosowi nowoczesnych żywiołów przeciwstawia wizję zamkniętej wprawdzie, ale dzięki temu właśnie jasno określonej wspólnoty: „Atrakcyjność populistów wynika z tego, że ich słowami przemawia gniew wykluczonych”.

Ich triumf jest wynikiem klęski lewicy, która w latach 90. i na początku nowego stulecia poszukiwała „trzeciej drogi”, starając się połączyć społeczną wrażliwość z regułami zglobalizowanej gospodarki wolnorynkowej – o tym już jednak Bauman nie pisze. Reguły rządzące kapitalizmem – jasne i czytelne – zdominowały trudne do uzgodnienia sprawy wrażliwości socjalnej. Co gorsza, lewica nie wypracowała żadnej krytyki obecnego systemu, która byłaby nośna i wiarygodna. Uwierzyła w skuteczność protestów alterglobalistów podczas szczytów G8 albo w okupowanie Wall Street. I na tym, zachwycona własnym odbiciem, jakie ujrzała w zwierciadélku mass mediów, poprzestała.

Zachłysnęła się płynnością nowoczesnego świata, elastycznością jego granic. Swobodę ich przesuwania utożsamiła z wolnością, nie zauważając najwyraźniej, że opowiadając się za takim jej rozumieniem, otwierała szeroko drzwi dla ekspansji mentalności kapitalistycznej. Kim jest bowiem człowiek wyzwolony z wszystkich krępujących go więzów (ekonomicznych, kulturowych, religijnych etc.)? Okazało się, że to konsument, który do wszystkiego podchodzi jak do to-

Państwo stało się ciężkie, przywiązane do ziemi;

kapitał zaś stał się lekki,
zdolny ulecieć do innych,
bardziej atrakcyjnych
miejsc. Więc po co nam
są potrzebni politycy.

waru i na wszystko patrzy przez pryzmat własnego zaspokojenia. Tak oto na scenę wkracza właściwy bohater naszych czasów – narcyz.

Kiedy wszyscy są skupieni na sobie, każdy staje się bardziej wyalienowany. Konsekwentny indywidualizm rodzi nieznośne poczucie zagubienia, nudy i samotności. Dla narcyza nawet miłość jest tylko środkiem zaradczym: „na jednej twarzy – roześmianej – maluje się wolność od wszelkich kłopotów, na drugiej – ponurej i posępnej – rysy wykrzywia groza utraty pozycji społecznej i obawa przed wykluczeniem”.

Strefy komfortu

Dokąd mamy więc uciekać? Gdzie można znaleźć schronienie przed rzeczywistością, w której nie znajdujemy żadnych trwałych punktów oparcia? „Wolna od niepokojącej i zniechęcającej kakofonii »sfera komfortu« to miejsce, w którym jedyną rzeczą, jaką słyszymy, są echa dźwięków wytwarzanych przez nas samych, a jedyne obrazy, jakie dostrzegamy, to odbicia własnej twarzy; ów stan zdaje się najbardziej przypominać stan nirwany przypisanej Iónu – stan, który mogą nam zapewnić (i zapewniają, przy naszej asyście) urządzenia elektroniczne”.

Z pomocą – ratując nas od nas samych – przychodzą więc taki Mark Zuckerberg od Facebooka, Sergiej Brin od Google’a i im podobni apostołowie roześmianej nowoczesności rodem z Doliny Krzemowej. Uciekać, jak przekonują, można tylko do przodu. Dlatego wszyscy stajemy się ludźmi przekonywanymi „do wydawania pieniędzy, których nie posiadamy, na rzeczy, których nie potrzebujemy, po to tylko, aby na krótko zaimponować ludziom, o których zdanie nie dbamy”. Bauman podkreśla, że „chroniczny brak usług zaspokajających autentyczne potrzeby staje się znośny dzięki

strategii iluzorycznego zaspokajania potrzeb fantomowych”.

Chodzi o to, aby płynnie przechodzić od zaspokojenia jednej fantomowej potrzeby do drugiej, zanim dopadnie nas jakiś rzeczywisty, a więc niemożliwy do łatwego odparcia lęk czy bólaczka. Sęk w tym, że każde rozwiązanie jest tu ściśle indywidualne, a w dodatku obarczone grzechem „krótkiego oddechu”. Jak tabletka przeciwbólowa, działa jedynie przez chwilę. Zanim ból do nas dotrze, musimy zażyć następną.

Świat nieskrępowanej niczym indywidualnej swobody w praktyce okazuje się więc nie do zniesienia. Pełno w nim wynikających z samej jego natury problemów, nie znajdziemy w nim jednak żadnych strukturalnych rozwiązań: „W naszym na wskroś zindywidualizowanym i rozregulowanym społeczeństwie krótkich, coraz to krótszych sojuszy i koalicji, w istocie swej doraźnych, ulotnych, tymczasowych, szybko przemijających i powodujących społeczne podziały, w którym każde przedsięwzięcie szybko traci swą przydatność i staje się kontrproduktywne, w społeczeństwie nawykłym do polityki społecznej, która rzeka się swych zadań na rzecz indywidualnie prowadzonej »polityki życia«, panującą dziś filozofię oraz wynikający z niej i podtrzymywany przez nią model życia można postrzegać jako strategię mającą na celu odarcie z wartości i umniejszenie znaczenia solidarności między ludźmi spoza kręgu najbliższej rodziny. Zachodzi również nikłe prawdopodobieństwo, że wspólna nam kondycja egzystencjalna trwale przełoży się na wspólne cele i działania. Zamiast wspierać budowanie solidarności, panujące dziś warunki egzystencjalne, wspomagane przez nową filozofię zarządzania i strategię dominacji, stają się fabryką wzajemnych podejrzeń, antagonistycznych interesów, rywalizacji i konfliktu”.

Histerie tożsamości

Skoro nieskuteczna okazuje się ucieczka do przodu, kuszącą opcją staje się ucieczka wstecz: nie ku temu, co będzie, ale temu, co było. Tak wykorzeni konsumenci zaczynają śnić sen o mocnych korzeniach, jednorodnej i dającej poczucie bezpieczeństwa wspólnoty. Tak rodzi się w nich resentyment wobec wszystkiego, co obce – co mąci poczucie jedności, powoduje dyskomfort, co trzeba tolerować. Inny staje się winny – odpowiedzialny za



Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

| Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM

| Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM

| Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl

moje poczucie niestabilności, rozchwianie świata.

Pragnienie plemienności jest, jak stwierdza Bauman, „produktem ludzkiej, arcy-ludzkiej potrzeby, by zredukować niepojemowalną, a przez to paralizującą złożoność kondycji egzystencjalnej człowieka, która jest udziałem nas wszystkich, do wymiaru postrzegalnego zmysłami i dającego się pojąć: wymiaru logicznej oczywistości”. Pragnienie to, innymi słowy, pojawia się jako nieodparte wszędzie tam, gdzie abdykuje rozum; gdzie rzeczy okazują się zbyt skomplikowane i chaotyczne, aby dało się je w racjonalny sposób uporządkować.

Czy pisząc w ten sposób, Bauman ma rację? Być może warunkiem zrozumiałości świata jest z konieczności arbitralne wytyczenie mu pewnych nieprzekraczalnych ram. Dopiero w ich wnętrzu możemy jasno nazywać i określać zarówno to, co widzimy wokół siebie, jak i to, co przeżywamy we wnętrzu. Pozbawiony tych metafizycznych podpórki rozum zapada się w sobie. Logiczne zdania zmieniają się w bełkot, zrazu jasne przejścia od przyczyn do skutków nagle stają się niewyraźne, nie ma po nich śladu.

Obsesją epoki staje się więc tożsamość – ta indywidualna, swobodnie kreowana przez konsumentów na wolnym rynku, oraz ta zbiorowa, wytwarzana przez polityków. Dzięki speccom od marketingu politycy szybko dokonują epokowego odkrycia. Ludzie bynajmniej nie głoszą zgodnie ze swoim realnym interesem – raczej zgodnie ze swoją tożsamością i swoimi wartościami – powtarza Bauman za noblistą z dziedziny ekonomii, George'em Lakoffem.

To w tożsamości i wartościach dopatrujemy się zabezpieczenia przed nowoczesnym żywiołem powszechnej zmiany. Punktem zapalnym polityki w naszych czasach – o czym Bauman już wprost nie pisze – okazuje się więc pojęcie granicy. Gdzie mamy je wytyczać – między tym, co swojskie i obce, własne i cudze, dozwolone i zakazane? Oto wielkie pytanie czasów, w których prysła iluzja powszechnej otwartości: granica miała nie istnieć, bo globalizacja (w gospodarce, a z czasem i w polityce) oraz oświecenie (w ludzkich głowach) miały zburzyć wszystko to, co ludzi do tej pory dzieliło.

Ze stwierdzeniem, że ludzie nie głoszą zgodnie ze swoim realnym interesem, są jednak dwa problemy. Pierwszy polega

**Wyдаjemy pieniądze,
których nie posiadamy,
na rzeczy, których nie
potrzebujemy, po to tylko,
aby na krótko zaimponować
ludziom, o których zdanie
nie dbamy.**

na tym, że redukujemy w ten sposób politykę do ekonomii, bo to ona oznacza tutaj „swój interes”. Podejście takie jest nieuzasadnione, bo ani fanatyzm religijny, ani polityczny nie mają przecież źródła wyłącznie w biedzie. Nie każdy międzyludzki konflikt jest przekształceniem sporu bogaczy i nędzników.

Kto właściwie i na jakiej podstawie może rościć sobie prawo do rozstrzygania, co jest obiektywnym interesem danej osoby czy grupy społecznej? Czy przyjmując taką perspektywę nie patrzymy na ludzi z góry, niczym na zagubione we mgle dzieci, nieświadome wybranej przez siebie drogi i konsekwencji podejmowanych działań? Taki paternalizm, prześwitujący niewyraźnie przez karty dzieła Baumana, jest niezdolny i szkodliwy. Tym bardziej że do wyboru tożsamości, swobodnego tworzenia swojego jestestwa zachęcali nas czołowi przedstawiciele szeroko rozumianej kulturowej lewicy (z którą Bauman się identyfikował). Nie przewidzieli jednak, że da się go z łatwością zabarwić tradycyjnie. Że można dokonać płynnego wyboru niewzruszonych wartości. Ba! – że te ostatnie można właśnie tworzyć na zasadzie postmodernistycznego kolażu, w tonie znakomitej zabawy.

Wystarczy połączyć nitką wyobraźni Zawiśse Czarnego, żołnierzy wyklętych oraz dzisiejszych wmawiających nam swoją „niezłomność” polityków i publicystów, a każdy zyska tożsamość naraz bezpieczną i dającą poczucie wartości. A nawet więcej, każdy zyska coś, co na politycznym rynku jest towarem bezcennym: poczucie moralnej przewagi nad „nimi” – tymi, którzy są po drugiej stronie.

Zmienność wszystkiego zostanie zatrzymana, zupełnie jakby ktoś wcisnął przycisk „pauza” na telewizyjnym pilocie. Co było rozchwiane, na powrót stanie się stabilne; co nie miało wyraźnego kształtu, zastrygnie w kamień. A przynajmniej: będzie

się nam takim wydawało dopóty, dopóki będziemy patrzeć na rzeczywistość przez okulary retrotopii.

Odwet zwierzęcia politycznego

„Oto i my – mieszkańcy ery zamętu i rozdzźwięku, ery, w której wszystko – lub prawie wszystko – może się zdarzyć, a przy tym nic – lub prawie nic – nie daje się przedsięwziąć z przekonaniem i pewnością, że uda się doprowadzić to do końca” – pisał Bauman. Oto my – dodajmy od siebie – ludzie zagubieni, przeczuwający coraz wyraźniej, że zapierający dech gmach nowoczesnej cywilizacji wzniesiony został na pustce. Z potrzebą stabilności, którą nosimy w sobie, nie ma co walczyć. To jedna z naszych najbardziej nieodpartych, najbardziej ludzkich potrzeb. Kto chciałby ją zagłuszyć, wydaje bezwzględną wojnę ludzkiemu sercu. I przegra wszystko.

Zygmunt Bauman kończy książkę dramatycznym wezwaniem: „Bardziej niż kiedykolwiek przedtem jesteśmy postawieni – my, ludzie, mieszkańcy Ziemi – w sytuacji albo-albo: albo wkroczymy we wspólną przyszłość, albo skończymy w zbiorowej mogile”. Polski socjolog zdawał się wierzyć w konieczność utworzenia czegoś na kształt rządu światowego, który zastąpiłby wyraźnie nieskuteczne już (jego zdaniem) państwa narodowe.

Jednak granic nie da się z polityki usunąć, a człowieka – zmienić w niepolityczne zwierzę. A gdyby nawet było to możliwe, rezultatem takiej transformacji mogłaby być jedynie globalna społeczność konsumentów. Nie ma więc żadnej cudownej receptury, która pozwoliłaby rozwiązać raz na zawsze napięcia między globalnymi procesami cywilizacyjnymi z jednej a lokalną polityką z drugiej strony.

Nie zmienia to faktu, że dzisiejsi populiści nie mają do zaoferowania żadnej rzeczywistej alternatywy. Przypominają bohatera przytoczonej na początku Kafkowskiej przypowieści. Oddalić się stąd, gdzie współcześnie jesteśmy – oto ich jedyny cel. Dokąd? Nie wiadomo, byle dalej. Jak każdy sen o ucieczce, również ten jest iluzją.

© JAN TOKARSKI

Zygmunt Bauman, RETROTOPIA, przeł. Karolina Lebek, PWN, Warszawa 2017.

Fragment opowiadania Franza Kafki przytaczamy w tłumaczeniu Romana Karsta.

Horyzonty Iranu

ANITA PIOTROWSKA

Pojawiła się nowa generacja irańskich twórców. Wielu z nich urodziło się już po rewolucji islamskiej i szuka dla siebie całkiem innego języka.

W ŚWIADOMOŚCI WIELU ZAGRANICZNYCH widzów mapa irańskiego kina pozostaje od lat nieporuszona. Polityczne alegorie Jafara Panahiego, zanurzone w pejzażu kontemplacji zmarłego przed dwoma laty Abbasa Kiarostamiego, wielowarstwowe thrillery psychologiczne Asghara Farhadiego, ale także „kino moralnego niepokoju” uprawiane ostatnio przez Massouda Bakhshiego i Mohammada Rasoulofa, utrwały fascynujący, choć dziś nie do końca adekwatny obraz tego kraju i jego kultury.

Nowi twórcy chętniej niż ku dawnym mistrzom zwracają się w stronę sztuk wizualnych czy zachodniej popkultury. Zamiast celować w arcydzieła, stawiają na inteligentną zabawę kinem. Naruszają obyczajowe tabu i krytyczniej patrzą na zachodzące wokół nich przemiany społeczne. Podczas tegorocznego festiwalu Nowe Horyzonty we Wrocławiu zobaczymy reprezentatywną próbkę tego, co dzieje się dziś w kinematografii Iranu oraz w bardzo aktywnej filmowo diasporze. Wspomniane wyżej trzy wielkie nazwiska również znalazły się w festiwalowym programie, lecz poza sekcją nazwaną w duchu piłkarskiego starcia „Iran : Iran”. Nie ma bowiem jednego kina irańskiego, tak jak podwójna bywa tamtejsza rzeczywistość.

JESZCZE WYRAŹNIEJ NIŻ NA EKRANIE, kulturowe zmiany zaznaczają się na ulicach Teheranu. Opowiada o tym dokumentalny esej Keywana Karimiego „Napisane miasto”. Powstał co prawda przed sześcioma laty, jednakże zarysowany w nim kierunek przeobrażeń pozostaje z grubsza ten sam. Film pokazuje, jak od upadku szacha oficjalna propaganda i polityczna rewolta ścierają się ze sobą na murach stolicy. W ostatnich dekadach rewolucyjne hasła czy martyrologiczne murale z czasów wojny w Zatoce Perskiej zaczęły blaknąć,

ustępując miejsca gigantycznym reklamom. Miasto rozrasta się, społeczeństwo zachłystuje się konsumpcją, a w miejsce naturalnej zieleni dostaje kiczowato-sielskie malunki pokrywające ściany budynków. Lecz choć wydaje się, że po stłumieniu zielonej rewolucji władza na dobre załuszczyła mury, zaś bunt stał się udziałem jeszcze bardziej nielicznych, „pisanie miasta” dalej trwa. Ryzykując aresztowaniem, twórcy teherańskich graffiti nocami podkopują system i wybudzają Irańczyków z politycznej drzemki.

Nocny Teheran powraca we współczesnych irańskich filmach fabularnych, odsłaniając swoją najciemniejszą podszewkę. W „Zniknięciu” Alego Asgariego para młodych ludzi, szukając pomocy ginekologicznej, przemierza na wpół śpiące miasto i odbija się od kolejnych szpitalnych drzwi. Bohaterowie wymyślają rozmaite historie, procedury są jednak nieublagane (para nie jest małżeństwem), zaś strach przed instytucjami władzy, w tym również przed rodzicami dziewczyny – paralizujący. Emocjonalny chłód i groza budują duszną atmosferę miejsca, w którym surowe prawo wespół z wszechobecną hipokryzją gwałcą intymność i lekceważą ludzkie cierpienie.

Młodzi próbują odciąć się od takiej rzeczywistości podczas nocnych rajdów samochodowych czy nielegalnych imprez, ale ucieczki nie ma, o czym przekonują się bohaterki filmu „Atomowe serce”. Ali Ahmadzadeh z surrealistyczną ironią przygląda się rozrywkowym dziewczynom z krzykliwie ufarbowanymi włosami wystającymi spod chust. Wydawałoby się, że nocny Teheran należy do nich, lecz jazda, którą zafunduje im demoniczny policjant, zasłuchany w przemówieniach Hitlera i mający konszachty z ukrywającym się Saddamem Husajnem, okaże się zaledwie wstępem do psychodelicznego koszmaru.

Bo jakkolwiek wiele spośród nowych filmów irańskich krąży wokół motywu pułapki, to przybiera ona czasem kształty bardzo nieoczywiste. W filmie „Kupał” reżyser Kazem Mollaie zatrząskuje tytułowego bohatera w jego własnej willi. Nic nie pomoże samotnemu krezusowi, kiedy na skutek awarii jego „inteligentny” dom odefinie mu wszelki kontakt ze światem. Trwa właśnie perski Nowy Rok, zanim więc odpowiednie służby uwolnią Kupala z domowej niewoli, czeka go walka o przetrwanie – tyleż dramatyczna, co karykaturalna. Zwierciadłem dla obłędnego sybaryty staje się telewizor non stop wylewający z siebie religijno-reklamową pulę. Archiwalne nagrania z kamer przemysłowych przypominają mu o popełnionych grzechach. Ten świetnie zrytmizowany, wypełniony gargantuiczną wyobraźnią film czeka na metaforyczne odczytanie.

NAJBARDZIEJ INTRYGUJĄCĄ WIZJĘ UWIĘZIENIA, zarówno w przestrzeni, jak i w czasie, dostarcza Shahram Mokri w „Inwazji”, gdzie policyjna rekonstrukcja zbrodni, odbywająca się wśród członków tajemniczego męskiego klubu, wraz z każdą odsłoną coraz bardziej zaciemnia obraz wydarzeń. Mokri brawurowo łączy dochodzeniowy dramat z motywami wampirycznymi, przy okazji multiplikując i zapętlaając rzeczywistość. W tak wypreparowanym klimacie osaczenia łatwo dopatrzeć się kolejnej figury retorycznej. Podobnie jak w komediowej „Świnii” Maniego Haghighiego, która tylko na pierwszy rzut oka jest satyrą na irański świat filmowy, czy w „Tresurze” Pooyi Badkoobeha – filmie o nastoletnich chuliganach, który okazuje się cichym protestem przeciwko sprzedawaniu swoich ideałów za cenę życiowego komfortu.

PROGRAM „IRAN : IRAN” musiał uwzględnić obecność reżyserów. Niektóre z nich, Samira Eskandarfar („Leczenie kanałowe”) czy znana już bywalcom Nowych Horyzontów Mania Akbari („Raz. Dwa. Raz”), wywodzą się ze świata sztuki wideo lub fotografii, co znajduje odbicie w wizualnej koncepcji filmów oraz ich feministycznej wymowie. W kręgach galeryjnych łatwiej o swobodę wypowiedzi, dlatego obie artystki śmiało sobie poczynają z problematyzowaniem kobiecej cielesności czy miejsca kobiet w irańskiej kulturze, obśmiewając jej stereotypy i fantazje. Akbari w pozornie niezwiązanych ze sobą epizodach,



MATERIAŁY PRASOWE



MATERIAŁY PRASOWE

Powyżej: „Atak serca”, reż. Keywan Karimi
Obok: „Leczenie kanałowe”,
reż. Samira Eskandarfar

shekan przygląda się zaaranżowanemu małżeństwu, w którym przybyła z Iranu żona okazuje się znacznie bardziej wyzwolona niż jej zadowolony w Europie mąż i nie pozwala wtłoczyć się w tradycyjną rolę.

W innej sekcji festiwalowej zobaczyć można nagrodzoną niedawno w Cannes szwedzko-duńską „Granicę” urodzonego w Teheranie Alego Abbasiego, w której eksperymenty genetyczne, afery pedofilskie i nordyckie legendy tworzą jedyną w swoim rodzaju wizję obcości, przekraczającą również wszelkie granice estetyczne i seksualne.

Dla takich właśnie tytułów przyjeżdża się na Nowe Horyzonty. Najambitniejszy festiwal filmowy w Polsce wchodzi właśnie w pełnoletność i jak zwykle serwuje nam przebogaty program: od retrospektywy Ingmara Bergmana, Nicolasa Roega, Ildikó Enyedi czy Pedro Costy, przez zdobywców najważniejszych nagród i polskie premiery, aż po niedające spokoju filmowe eksperymenty. ©

18. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY NOWE HORYZONTY, 26 lipca – 5 sierpnia, Wrocław

kręonych w różnych symbolicznych sceneriach, krytykuje irańską obsesję na punkcie idealnej twarzy – jest to w końcu jedna z nielicznych części kobiecego ciała, która w przestrzeni publicznej może pozostać odsłonięta. Z kolei Azadi Moghadam w dokumencie „Swatka” obserwuje z bliska pracę agencji matrymonialnej, by pokazać, jak małżeństwo definiuje społeczną tożsamość Iranek, i jak same kobiety stały się w tym kraju strażniczkami konserwatywnej moralności. W nakręconym poza granicami Iranu „Szukając Oum Kulthum” Shirin Neshat podkreśla rolę wielkiej diwy świata arabskiego w budzeniu się feministycznej świadomości, ale mówi

także o dyskryminacji kobiet w dzisiejszej branży filmowej.

IRAŃCZYCY TWORZĄCY W EUROPIE, wolni od cenzuralnych ograniczeń, wnoszą bardziej przekorny ton do swych tożsamościowych narracji. Film „Uwodziciel” wyowanego w Skandynawii Milada Alamiiego portretuje irańskiego przystojniaka, który próbuje naciągnąć na małżeństwo starsze od siebie Dunki. Im dalej w las, tym ów portret bardziej się komplikuje, a cyniczny podrywacz odsłania coraz więcej z tragicznego losu odciętego od korzeni imigranta. W „Dysfunkcyjnym kocie” urodzona w Niemczech Susan Gordan-



Amybeth McNulty jako Ania Shirley w serialu Netfliksa „Ania, nie Anna”

Ania emancypantka

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Dyskryminacja, przemoc i głębokie psychiczne rany okazują się tylko nową wersją wilka, który – choćby i zjadł Czerwonego Kapturka – na koniec i tak przegra, pokonany przez potężną logikę baśni.

UKOCHANA KSIĄŻKA MOJEJ MAMY TO „Ania z Zielonego Wzgórza”. Bardzo się ucieszyła, kiedy dowiedziała się, że Netflix pracuje nad serialem na podstawie powieści. Gdy wreszcie nadszedł dzień premiery, mama zasiadła przed ekranem z entuzjazmem, ale i niepokojem.

– Byłam bardzo rozczarowana, serial był zupełnie niezgodny z książką, zbyt reali-

styczny – zdradza moja mama w ekskluzywnym wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego” – Książka była powiastką dla nastolatek. Natomiast serial to jakaś makabra, zbyt dosłownie przedstawiająca warunki życia sto lat temu. Niezgodny z duchem, z ideą książki. Co mi się zdarza bardzo rzadko, obejrzałam dwa czy trzy odcinki i zrezygnowałam. Powieściowy

świat był taki pogodny i dobry, ta bohaterka była taka optymistyczna. A to nie była „Ania z Zielonego Wzgórza”, tylko „Makabra z Zielonego Wzgórza”.

Spór o Anię

„Za dużo realizmu sprzecznego z idyllicznym duchem książkowego pierwowzoru!”, „Za dużo ideologii kompletnie niezgodnej z duchem epoki”, „Zbyt realna, odarta z idealizmu lub tak podporządkowana ideologii, że aż nierealistyczna”. Takie głosy towarzyszyły pierwszemu sezonowi wyprodukowanego przez Netflix serialu „Ania, nie Anna” – na podstawie uwielbianej przez miliony czytelników powieści kanadyjskiej pisarki Lucy Maud Montgomery (1874–1942).

Premierę miał właśnie drugi sezon serialu. Wygląda na to, że jego twórcy uważnie przeczytali formułowaną pod swoim adresem krytykę i postanowili wziąć ją sobie do serca. A potem wykorzystać jako

gotowy przepis na kolejne dziesięć odcinków. Bo w nowej odsłonie przygód Ani dostajemy jeszcze więcej tego wszystkiego, co najbardziej irytowało krytycznych widzów – brutalnego realizmu epoki i współczesnej emancypacyjnej ideologii.

W dyskusjach o nowej produkcji Netflixa odbija się duch epoki rozdartej między pragnieniem realizmu a potrzebą symbolicznego oddania sprawiedliwości pokrzywdzonym. Chcemy, żeby dzieła kultury oddawały „prawdę historii”, lecz zarazem oczekujemy od nich współczesnego punktu widzenia – potępienia tego, co w przeszłości uważamy za skandaliczne. W przypadku ekranizacji klasyki dochodzi jeszcze obowiązek „wierności duchowi oryginału”.

Dlatego spór o Anię z zainteresowaniem śledzić mogą także ci, którzy nie oglądali serialu, a nawet nie darzą specjalnym sentymentem książkowego pierwowzoru. To spór o zobowiązania artysty i przepis na dzieło dobre, ważne czy – patrząc z innej nieco strony – szeroko dyskutowane i zyskowe. Oto kolejna bitwa w zwycięskiej kampanii seriali, umacniających we współczesnej kulturze dominującą pozycję.

Oglądasz na własną odpowiedzialność

Moja mama nie jest w swoim rozczerwaniu osamotniona. Wprawdzie serial chwalono za piękne ujęcia pejzaży odpowiadające powieściowym opisom przyrody, a także za grę aktorską, w tym za pełną energii kreację wcielającej się w Anię Amybeth McNulty; zarazem jednak tuż po premierze gazetowe szpalty i internetowe fora znów wypełniły się oskarżeniami o sprzeniewierzenie duchowi literackiego pierwowzoru.

W zeszłym roku na łamach „Tygodnika” o serialu pisała Justyna Bargielska (tekst dostępny na powszech.net/ania). Pod internetową wersją jej artykułu przeczytać można głos rozczerwanej czytelniczki: „[T]o całkiem inny film, jadący na popularności Ani. Zabrakło odwagi, żeby zrobić coś własnego...? I nie, nie każda książkę z dzieciństwa trzeba »udoroślić«, ludzie wiedzą doskonale, że życie nie jest czarno-białe, ale czasem chcą mieć miejsca, do których wrócą odetchnąć”.

Część widowni z kolei krytykowała serial za nadmierne eksponowanie „feministycznej ideologii”. „[T]o idealny wzór,

jak czystą literaturę dziecięcą zamoczyć w brudnej zaprawie politycznej – czytamy na wyczulonym na tym punkcie blogu „Toster Pandory” – Z niewinnej przeuroczej dziewczynki, jaką była literacka Ania, uczyniono małą wojującą feministkę, nadpisując dziewczynce cechy, których Montgomery nigdy w swej powieści nie ujęła”.

Nie ujęła, bo takie były czasy – odpierają zarzut zwolennicy nowego serialu. „Książkowa Ania miała więc zadatki na feminizującą, silną kobietę. Ale Montgomery, jako żona pastora, obdarzyła swoją bohaterkę konserwatywnymi poglądami” – pisała na łamach „Gazety Wyborczej” Kalina Mróz. „»Serial zawiera sceny drastyczne feminizmu nieodpowiednie dla patriarchy, w tym naturalistyczne obrazy emancypacji i walki kobiet o równe prawa. Oglądasz na własną odpowiedzialność« – komunikat tej treści zobaczą polscy widzowie serialu” – ironizował niezastąpiony ASZdziennik.

Fabryka homarów w puszkach

Określana bardzo często jako „ciepła”, powieść Lucy Maud Montgomery rozpoczyna się od rozmowy Maryli z jej przyjaciółką, panią Linde, w której przyszła przybrana matka Ani w ten sposób opisuje swoje plany: „Pomyśleliśmy, że weźmiemy chłopca. Mateuszowi przybywa lat, wiesz przecież, skończył sześćdziesiąt i nie jest już tak żwawy, jak kiedyś. Serce bardzo mu dokucza. A wiesz, jak straszliwie ciężko teraz o dobrego parobka. Nie ma nigdy nikogo, prócz tych głupich, nie dojrziałych małych Francuzów. Jak tylko wychowasz któregoś i czegoś go nauczysz, już ucieka do fabryki homarów w puszkach lub do Stanów”.

Ta scena ujawnia przecież okrucieństwo opisywanych przez Montgomery czasów. Sto lat temu dziecko można było traktować jako tanią siłę roboczą, a trafienie do fabryki homarów było dla niego całkiem kuszącą możliwością, dowiadujemy się z tej „cieplej” powieści. A jeżeli zamiast chłopca z sierocińca, który był wówczas szczególnie paskudnym miejscem, przysłano dziewczynkę – po prostu prostowało się pomyłkę, odsyłając towar niezgodny z umową.

„Pani też by płakała, gdyby była pani siostrą i myślała, że miejsce, na które pani przyjeżdża, będzie pani domem, a tymczasem okazałoby się, że nikt pani nie

chce, bo nie jest pani chłopcem” – tłumaczy się ze swoich łez Ania, która właśnie dowiedziała się, że jej przygarnięcie na Zielone Wzgórze to tylko pomyłka. Oczywiście wszystko kończy się dobrze, a idylliczna konwencja sprawia, że czytelnik ma w tym miejscu raczej zaśmiać się z kwiecistego stylu Ani, niż zapłakać nad jej losem.

Tymczasem w serialu skłonność Ani do uciekania w fantazję i jej specyficzna zaradność okazują się rezultatem przeżytych traum. Uzupełniając psychikę Ani o dręczące ją koszmarnie wspomnienia, twórcy serialu jedynie pokazują to, co Montgomery w swojej powieści pominęła milczeniem, być może pozostawiając domyślności czytelników, dla których była to codzienność. Szok, z jakim to okrucieństwo odbierają współcześni widzowie, mówi nam nie tyle o niewierności scenarzystów, ile o zmianie, jaka w ciągu stulecia dokonała się w naszej wrażliwości i otaczającym nas świecie.

W drugim sezonie serialu znajdziemy tej brutalności jeszcze więcej. A jednak pieczołowity realizm w odtworzeniu scenografii i stosunków społecznych nie objął fabuły, która składa się z wątków i łuków narracyjnych nie tyle nierealistycznych, co wręcz groteskowo nieprawdopodobnych. Od przekrętu niecznych łotrzyków dybiących na oszczędności mieszkańców Avonlea, przez Gilberta odbierającego poród pośladowy na Trynidadzie, po uratowanie ukochanej nauczycielki dzięki żarówkom rozpalonym energią wyzwoloną z kartofli.

Spódnica to nie zaproszenie

Etyka i estetyka spłotły się na ekranie. Właściwie nie da się dziś zrobić „dobrego” filmu ani serialu, który nie miałby też być „ważny”. Dotyczy to nawet gatunków tak, zdawałoby się, miażdżących jak kino superbohaterkie. „Wonder Woman” czy „Jessica Jones” poruszają problem upodmiotowienia kobiet i przemocy wobec nich, „Czarna Pantera” i „Luke Cage” – eksploduje kwestie rasizmu, odnajdywania czarnej tożsamości i związanego z nią poczucia godności.

Twórcy serialu „Ania, nie Anna” także czują obowiązek zabierania głosu. Albo raczej nie zabierania go, tylko – właśnie – oddawania. W tej kwestii nowa fala filmów i seriali podąża ścieżką wydeptaną między innymi przez badaczy pamięci zbiorowej →

→ – ich dewizą jest „oddanie głosu tym, którzy byli go dotychczas pozbawieni” (*give the voice to the voiceless*) – kobietom, reprezentantom warstw społecznych innych niż arystokracja i inteligencja, mniejszościom rasowym, etnicznym czy seksualnym. Historia, jaką znamy – słusznie wskazują badacze – to tylko jedna z wielu opowieści, która przedstawia przeszłość widzianą oczyma zamożnych białych, heteroseksualnych mężczyzn.

Scenariusz nowych odcinków pisano chyba z tymi pracami w ręku. Nie tylko kontynuuje wątki feministyczne, wkładając w usta Ani wciąż aktualne deklaracje w rodzaju „spódnica to nie zaproszenie!”, lecz także eksploruje tematy rasizmu i mniejszości seksualnych. Sekwencja „wymancypowana kobieta – walcząca z dyskryminacją potomek niewolników – odnajdująca swoją tożsamość gej” jest jednak zbyt podręcznikowa, by była wiarygodna. Twórcom serialu podpowiadam od razu pomysł na trzecią serię. Musi się w niej pojawić przedstawiciel tubylczej ludności znanej dziś jako „first nations”, wygnanej i zepchniętej na margines przez francuskich, a potem angielskich osadników.

W tym obszarze realizm w odmalo wywaniu cierpienia zderza się z idealizmem czy ideologią, każącą nam naprawić krzywdy i przywrócić sprawiedliwość przynajmniej w ramach małego fikcyjnego świata. W przekonujący sposób mówiła o tym niedawno pisarka Hilary Mantel, mierząca się z materią historyczną m.in. w powieści „W komnatach Wolf Hall”: „Wielu pisarzy tworzących powieści historyczne czuje potrzebę wyrażenia opowieści, która dotychczas została przemilczana. Pragną dać głos tym, których uciszano. Fikcja może to zrobić, ponieważ skupia się właśnie na tym, czego nie utrwaliła historia. Mówiąc w imieniu innych, musimy jednak zachować ostrożność. (...) Czy powinniśmy przerabiać historię tak, żeby ofiary stawały się zwycięzcami? To trudność, z którą stale mierzą się pisarki, pragnące pisać o kobietach z przeszłości i nie mogące oprzeć się pokusie emancypowania ich”.

Anachroniczna, zakończona sukcesami emancypacja – kobiet, czarnoskórych, gejów i lesbijek – którą oglądamy na ekranie w drugim sezonie, razi zwłaszcza w zderzeniu z realizmem psychologicznym, do którego serial aspiruje. Taka opowieść

W serialu Netfliksa **skłonność Ani** **do uciekania w fantazję** i jej specyficzna zaradność okazują się rezultatem przeżytych traum.

o przeszłości rodzi ryzyko, że widz dojdzie do wniosku, że choć świat sto lat temu był dość paskudny, to przecież ostatecznie swoje miejsce na własnych prawach znaleźli w nim i czarnoskóry, i homoseksualista, i ruda dziewczynka zbuntowana przeciw konwenansom.

Pragnienie realizmu i wola symbolicznego oddania sprawiedliwości zderzają się we współczesnych serialach z hukiem. Z ich syntezy otrzymujemy znowu baśń, za którą tęskniło wiele zniechęconych czytelników „Ani z Zielonego Wzgórza”. Ostatecznie przecież wszystko znów dobrze się skończy. Dyskryminacja, przemoc czy głębokie psychiczne rany okazują się tylko nową wersją przeszkód czekających w drodze na Szklaną Górę; wilkiem, który – choćby i zjadł Czerwonego Kapturka – na koniec i tak przegra, pokonany przez potężną logikę baśni.

Opętani przez literaturę

Sekretem literatury jest rozgrywająca się między autorem i czytelnikiem gra w dopowiadanie i uzupełnianie. Nawet w pełnej rozbudowanych opisów prozie realistycznej tak wiele pozostaje przecież nieopowiedziane. Dokładny wygląd bohaterów, ton ich głosu, sposób poruszania się, smaki, zapachy, dźwięki... Przy lekturze powieści, zwłaszcza tych, które są nam nieobojętne, w każdym z nas budzi się coś z Ani z Zielonego Wzgórza, która kolejne czytane akapity uzupełnia fantazją, w wyobraźni tworząc swoją własną, niepowtarzalną ekranizację.

Działo się tak na długo przed wynalazkiem braci Lumière. Kamera tylko zmateriałizowała i uczyniła bardziej uchwytym proces, który przez wieki rozgrywał się w naszych indywidualnych wyobraźniach. Każdą próbę ekranizacji można więc odczytywać w kategorii walki o panowanie nad naszymi wyobrażeniami.

Po jednej stronie imaginacja scenarzystów czy reżysera, po drugiej – tysiące indywidualnych odczytań, w których bohaterowie byli wyżsi lub niżsi, bardziej żwawi lub powolni, wypowiadali swe kwestie ironicznie lub śmiertelnie poważnie.

Stawka tej walki staje się jeszcze wyższa w przypadku tych wyjątkowych, najważniejszych książek – ukochanych opowieści, które na pewnym etapie naszego życia stały się cegiełkami tworzącymi naszą tożsamość.

Kiedy jako dorosły człowiek wróciłem do lektury „Ani z Zielonego Wzgórza”, byłem przede wszystkim zaskoczony tym, jak bardzo przypomina... moją mamę. Bez cienia wątpliwości Anię można nazwać jej pokrewną duszą. Może to potwierdzenie tezy, że zdolni jesteśmy pokochać tylko te powieści, które odzwierciedlają jakieś nasze własne cechy, choćby nawet nieuświadomiane? A może skrywa się za tym mroczniejsza tajemnica, godna niewyczerpanego pióra Stephena Kinga? Może każda kolejna lektura sprawia, że jakaś część książkiowej postaci niepostrzeżenie wstępuje w czytelnicką, na zawsze splatając się z jej jaźnią? Wielokrotnie, uporczywie powtarzana lektura ukochanej książki przenosiłaby wówczas do naszego świata jej bohaterów, zdolnych opętać nieświadomych niebezpieczeństwa czytelników.

Oczekiwania wobec ekranizacji wyniesione są najwyżej w przypadku powieści należących do kanonu czy kultowych, jak to się dziś chętniej określa. Nic dziwnego. To w końcu powieści, które stały się częścią życia całych pokoleń. Opętanych nimi czytelników są miliony.

Czy twórcy ekranizacji sprostają oczekiwaniom? Czy odtworzony przez nich świat będzie choć trochę przypominał ten, który wykreowała nasza czytelnicza wyobraźnia? Jak daleko posunąć się może swoboda interpretatora? Czy, skoro powieść ma w jakimś sensie moc opętywania czytelników, można mówić o czymś takim jak duch oryginału, który wyznacza dozwolone granice odczytania?

Serial Netfliksa nie spodobał się mojej mamie, więc mogę sądzić, że raczej nie znalazłby także uznania Ani Shirley, rozmiłowanej w baśniowej, idyllicznej poetyce. Ale z drugiej strony: czy Emma Bovary czytywałaby Flauberta?

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI



Wernisaż wystawy *Cricot idzie!*, maj 2018 r.

Powrót przedniej straży

DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Cricot to dynamizm, lekkość, wspólna zabawa. Czyli elementy rzadko spotykane w naszej kulturze. W swych największych dziełach samotniczej, poważnej, ciężkiej i smutnej.

CRICOT IDZIE!” – TO TYTUŁ WYSTAWY, którą oglądać można w krakowskiej Cricotece. Jest wzorowany na sienkiewiczowskim ostrzeżeniu („Jarema idzie!”), w którym brzmiał podziw i strach wobec tego, co nadchodzi. Przejęty przez awangardowe środowisko rozbawionych artystów stał się okrzykiem nadziei i radości.

Z cienia

Celem jest przypomnienie teatru Cricot, o którym dziś, z „winy” Tadeusza Kantora,

trzeba mówić „pierwszy” i zaraz dodawać, że nie miał z twórcą „Umarłej klasy” nic wspólnego. Założony w Krakowie w roku 1933 przez grono artystów związanych z Komitetem Paryskim, a dowodzonych przez Józefa Jarema, był – co lubi podkreślać kuratorka wystawy Karolina Czerska – najdłużej działającym polskim teatrem eksperymentalnym dwudziestolecia międzywojennego.

Długo znany głównie historykom teatru, funkcjonował jako coś w rodzaju

mglistej legendy – zjawisko, o którym wiadomo, że było ważne, ale nie do końca wiadomo dlaczego. Znaczenie Cricotu fundowane było przede wszystkim poprzez nazwę zespołu założonego w 1955 r. przez współtworzącą pierwszy Cricot Marię Jaremią i Tadeusza Kantora. Ten Cricot 2, czyli następca przedwojennego teatru artystów, stał się po kilku latach przede wszystkim, a później już wyłącznie, teatrem Kantora. Gest kontynuacji, wykonany przez przyjęcie historycznej nazwy, okazał się gestem wymazania. Kantor wprowadził wielokrotnie mówił o znaczeniu rodzeństwa Jarema i całego środowiska Grupy Krakowskiej dla jego twórczości, ale siła jego kreacji, osobowości i dokonań nieuchronnie zepchnęła pierwszy Cricot w cień. Tym ważniejsze wydaje się, że to właśnie Ośrodek Dokumentacji Sztuki Tadeusza Kantora zorganizował tę wystawę w jego muzeum, doprowadzając do tego, że z historycznej mgły wynurzyć się wreszcie mogły kolory i kształty Cricotowych fantazji.



→ A są one doprawdy niezwykle. Wchodzących na wystawę wita powiększony projekt jednego z kostiumów Henryka Wicińskiego do „Mątwy” Stanisława Ignacego Witkiewicza, wystawionej w 1933 r. – niesamowita figura zbudowana z ludzkiego ciała i krzyża, który śmiałością i precyzją także dziś wywołuje wielkie wrażenie, nawet jeśli na pierwszy rzut oka może wyglądać jak któryś z późniejszych o 30 lat bioobiektów Kantora. A to zaledwie początek – za nim i wokół wiszą wielokolorowe ślady i odpryski niezwykłych kreacji, o których można by powiedzieć, że są typowymi przykładami utopijnych awangardowych fantazji, gdyby nie to, że Cricot albo je realizował, albo dawał artystom mocne podstawy do wiary w ich urzeczywistnienie w niedalekiej przyszłości.

Konstelacja Cricot

Od razu muszę uprzedzić, że zwiedzanie „Cricot idzie!” wymaga uwagi i cierpliwości. Przyznaję, że nie jestem do końca pewien, czy ta niewielka, ale bardzo „gęsta” ekspozycja przemówi w pełni do mnie lub bardziej przypadkowych zwiedzających, niekoniecznie wiedzących cokolwiek o teatrze Jaremy i przyjaciół. Wyobrażam sobie zwłaszcza trudności, jakie mogą mieć w skupieniu się na niej turyści biegający po Krakowie od atrakcji do atrakcji, którzy do Cricoteki wybiorą się głównie dla Kantora. Sam jednak mam doświadczenia zupełnie przypadkowo zwie-

Cricot był kreacją grupy ludzi o niezwykłych talentach i osobowościach, którzy powróciwszy na początku lat 30. z Paryża do znów sennego i mieszczańsko-prowincjonalnego Krakowa, zdawali się rozpoczynać kolejną erę jego przebudzenia.

dzianych wystaw, które otwierały przede mną niespodziewanie nieznane światy artystyczne. Więc może i to się komuś zdarzy, choć wystawa przygotowana przez Karolinę Czerską nie ma jakichś oczywistych „atraktorów”, a to, co na niej najciekawsze i najlepsze, to drobne rysunki, niewielkie akwarele czy tempere na papierze albo wręcz zdjęcia. Historia sprawiła, że z kilkuletniej pracy Cricotu i jego twórców pozostało niewiele bardzo rozproszonych śladów. Jest wielką zasługą kuratorki, że tak wiele z nich udało się zgromadzić w jednym miejscu, dzięki czemu tworzy się z nich wielokolorowa mozaika, paradoksalnie pozwalająca lepiej dostrzec swoiste jakości i niezwykłość poszczególnych jej elementów.

Cricot zawdzięczał bowiem swoją siłę konstelacji, która się wokół niego wytworzyła. Był kreacją grupy ludzi o niezwykłych talentach i osobowościach, którzy w sposób dość niespodziewany, powróciwszy na początku lat 30. z Paryża do znów sennego i mieszczańsko-prowincjonalnego Krakowa, zdawali się rozpoczynać kolejną erę jego przebudzenia, jakąś „jeszcze Młodsza Polska”. Siły twórcze wybitnych artystów – Jaremy, jego siostry, Henryka Wicińskiego, Zygmunta Waliszewskiego, Zbigniewa Pronaszki, Tadeusza Piotra Potworowskiego, Jacka Pugeta, Tadeusza Cybulskiego – były wzmacniane i dynamizowane poprzez oddziaływanie wzajemne i wpływ środowiska, jakie się wokół nich wytworzyło. Cricot był pod tym względem jedynym obok – stosunkowo słabej – działalności polskich futurystów ruchem awangardowym o charakterze twórczego wiru: zbiorowej, niemal ekstazy kreacji przebiegającej i wyglądającej jak towarzyska zabawa. Myślę, że to właśnie dzięki lekkości, którą ta zabawowa atmosfera zapewniała, możliwe były te eksplozje barwnych fantazji, których ślady (niekiedy niestety tylko czarno-białe) możemy oglądać na wystawie.

Dynamizm, lekkość, wspólna zabawa i barwność Cricotowych przedstawień (nie tylko teatralnych) to elementy rzadko spotykane w naszej kulturze. Jest ona w swych największych kreacjach samotnicza, poważna, ciężka i smutna. Wyżej od

REKLAMA

Burmistrz Bieczy zaprasza

Patronat honorowy:

Jan Wątroba - Biskup Rzeszowski

Jacek Krupa - Marszałek Województwa Małopolskiego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

KROMER
BIECZ
FESTIVAL

Bruno Cocset
Léon Berben Ensemble
Oltremontano
Huelgas Ensemble
Chór Polskiego Radia
Royal Baroque Ensemble
Lilianna Stawarz
Anna Radziejewska
Sławomir Zubrzycki
Agnieszka Budzińska-Bennett

1–5 sierpnia 2018

Wstęp wolny



GINA
BIECZ

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Projekt dofinansowany
ze środków Ministerstwa
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego

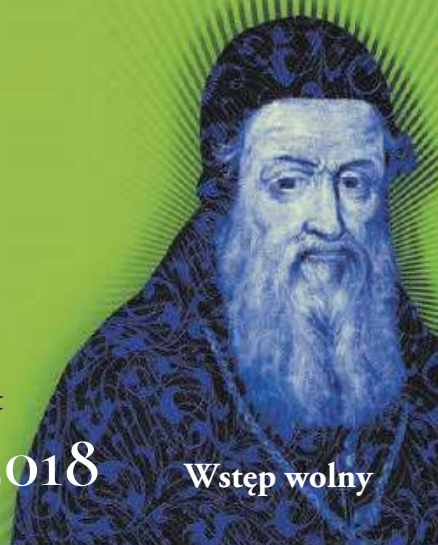
MAŁOPOLSKA

Projekt zrealizowany
przy wsparciu
finansowym Województwa
Małopolskiego

PGE
Polska Grupa Energetyczna



www.kromerbieczfestival.pl



zabawy ceni rytuał, mit, ofiarę lub protest. Nadużywa dużych liter, wielkich figur. Cricot teatralny dobrze zobaczyć na tle teatru monumentalnego Leona Schillera i Andrzeja Pronaszki (artystów też przecież związanych z awangardą). Po jednej stronie ogromne przestrzenie sceniczne wypełnione syntetycznymi konstrukcjami zdominowanymi przez linie proste i sprowadzonymi do mocnych znaków utrzymanych w ciemnych barwach, po drugiej – eksplozja kolorów i hybrydycznych kształtów, nachodzące na siebie i przecinające się w pozornym chaosie płaszczyzny, krzywizny i poziomy scen. Żeby było zabawniej i dziwniej – i w jednym, i w drugim przypadku mówi się o konstruktywizmie. Tylko że konstruktywizm Pronaszki został sprawowany ogromem narodowych mitów, a konstruktywizm Wicińskiego wydaje się grać z wielością płaszczyzn i elementów, które stają dęba i tańczą jak cyrkowe konie.

Podobno kiedy Józef Jarema po raz pierwszy obejrzał „Kurkę wodną” Cricotu 2, miał z rozczarowaniem pytać: „Coście tacy bidni, tacy smutni?”. Pytanie warto powtórzyć i zadać nie tylko ze społeczności Tadeusza Kantora.

Inne sceny

Polska awangarda artystyczna dwudziestolecia międzywojennego co jakiś czas przyciąga na nowo uwagę, na nowo jest – w różnych swoich przejawach i aspektach – odkrywana, a z odkryć tych wynikają czasem przedziwne rezultaty. Historia inspiracji w sztuce nie jest – jak czasem myślą naiwni komparatyści – historią analogii i kontynuacji. Częściej chyba dochodzi w niej do przejęć, przekrętów i przeinaczeń, gdy pod hasłami nawiązywania do poprzedników rozwija się własną pracę, z poprzednikami mającą niewiele lub nic wspólnego. Tak było z oboma Cricotami, tak z fascynacją malarstwem, teatrem i osobowością Witkacego, tak z „kontynuacjami” Grotowskiego.

W roku ubiegłym doszło w Polsce do kolejnego „przekrętu” – na skutek jakichś niezwykle zawirowań konserwatywny prezydent Andrzej Duda, odwołujący się nieustannie do tradycji i sprawiający wrażenie zapalonego czytelnika Sienkiewicza, został patronem Roku Awangardy. Ogłoszono go w jej ustanowione jako tam przez znawców

„stulecie”, które rzecz jasna wpisano w stulecie odzyskania niepodległości przez Polskę. Awangarda artystyczna, przednia straż rewolucyjnej, antytradycyjnej sztuki przyszłości, stała się oto forpocztą propaństwowych ceremonii umacniających najbardziej tradycyjne, sienkiewiczowsko-sanacyjne hierarchie i zachowania. Przy różnych okazjach przypomniano wprawdzie, że tworzyli ją głównie lewacy, jeśli nie wręcz komuniści. Stawiano także tezy, że to, co w działalności awangardowej najważniejsze: radykalna zmiana świata – stanowi cel zasadniczo wrogi organizatorom i patronom Roku Awangardy. Niemniej jednak nie przeszkadzało to w jego celebrowaniu, które politycznie większego znaczenia nie miało, przyniosło za to kilka niezwykle ciekawych wydarzeń, przede wszystkim wystaw (tu prym wiodło Muzeum Sztuki w Łodzi).

Przyniosło też pewien kłopot, który może najbardziej jednoznacznie wystawił Grzegorz Laszuk w autorskim przedstawieniu „Siedem pieśni o awangardzie”, wyprodukowanym przez Komunę/Warszawa i Instytut Teatralny. Rozpoczyna je parodystyczny sen, w którym do lewicowego i opozycyjnego artysty dzwoni prezydent Duda, by namawiać go na zrobienie przedstawienia o awangardzie. Sytuacja absurda, budząca sprzeciw i chęć wyśmiania. Ale przedstawienie jednak powstaje i mimo całej ujawnianej w nim świadomości, jak nieskuteczny był awangardowy zryw, jak oderwane od realiów jej postulaty i jak szybko i boleśnie zatrzymany jej pęd, kończy się apoteozą postawy awangardowej jako postawy nieskrępowanego myślenia o przyszłości, która może ochronić – jeśli nie świat, to przynajmniej nas – od upiornie zmonumentalizowanego powrotu przeszłości.

Krakowska wystawa też jest w jakiejś mierze powrotem do przeszłości, ale takiej, która w swoim rozproszeniu, mnogości i różnorodności, dynamice i jaskrawości barw wydaje się czekającą wciąż na wykorzystanie alternatywą. Choć Cricot wraca, to jednak – idzie!

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI

CRICOT IDZIE!, *Cricoteka*, kurator Karolina Czerska, wystawa otwarta w dniach 12 maja – 19 sierpnia 2018

WARTO ZOBACZYĆ W TV [TV 28 VII – 3 VIII]

1. Zamknij się i graj na pianinie



Dokumentalny, reż. Philipp Jedicke, Niemcy 2018, CANAL+ Discovery, 29 VII, 21.30, 30 VII, 9.10

Kariera Chilly Gonzalesa

jest dowodem na to, że dobra muzyka nie uznaje żadnych granic. Kanadyjski wirtuoz fortepianu od lat eksperymentuje z rockiem, hip hopem i brzmieniami elektronicznymi, zamieniając swoje występy w unikalne performanse. Film przedstawia fenomen artysty, który co jakiś czas zaskakuje kolejną woltą.

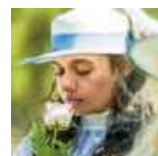
2. Lament



Thriller, reż. Hong-jin Na, USA/Korea Południowa 2016, Ale kino+, 29 VII, 23.00

Nic nie jest tutaj tym, czym się wydaje. Koreński mistrz kina grozy zaczyna od śledztwa prowadzonego w wiosce ogarniętej tajemniczą zarazą, lecz jego film miesza ze sobą rozmaite nastroje i konwencje: krwawy horror satanistyczny, biblijny moralitet czy bardzo osobliwą komedię.

3. Piknik pod Wiszącą Skałą



Serial, reż. Larysa Kondracki i inni, Australia 2018, CANAL+, odc. 1, 2 VIII, 20.00

Powstały 43 lata po filmie Petera Weira sześcioczęściowy miniserial od początku nie miał żadnych szans, by równać się z tamtym arcydziełem. Nowi twórcy postawili jednak na bardziej współczesną z ducha adaptację powieści Joan Lindsay. W roli właścicielki pensji występuje znana z „Gry o tron” Natalie Dormer.

4. Po drugiej stronie drzwi



Dokumentalny, reż. Mila Turajlic, Serbia/Francja/Katar 2017, HBO, 2 VIII, 22.10, HBO2, 3 VIII, 23.00

Jeden z najciekawszych dokumentów minionego roku w podzielnym na pół belgradzkim mieszkaniu umieszcza poruszającą historię rodzinną, a także kawał historii byłej Jugosławii. Główną bohaterką jest matka reżyserki, niegdyś zasłużona działaczka opozycyjna, która nadal reprezentuje dawny inteligentcki etos.

JAN

Klata: Lechy na Wawel!



ZANIM COŚ SIĘ ODSŁONI, WARTO SPOJRZEĆ, CO się odsłania. Zwłaszcza jeśli jest się Premierem Rzeczypospolitej. Zwłaszcza jeśli akt odsłonięcia zastygnie w spiżowej permanencji dla danego krajobrazu, przystrajając go na odpowiednią nutę. Patriotyczną, oczywiście. Katastrofalnie patriotyczną, ma się rozumieć.

Kraśnik. Polska. Premier wyjedzie, a mieszkańcy Kraśnika pozostaną... Ciężko, ciężko, oj, ciężko będzie to znosić, przechodzić mimo, przechodzić i udawać, że się tego nie widzi, omiatać wzrokiem przestrzeń i nie zauważać. Sterczy, przez Premiera Rzeczypospolitej dumnie obnażone, ośmieszając najwyższe władze państwowe, ośmieszając Lecha Kaczyńskiego, ośmieszając ideę pomnika jako takiego. Kroczy, kroczy niby-Lech, nader trudny do wyrzeźbienia, zbyt trudny, i to widać gołym okiem, na pierwszy rzut oka, nie ma co owijać w bawełnę. No, może z czasem szarfę zdejmą nieszczęśnikowi, ale reszta, niestety, pozostanie, niczym niezręcznie uplasowany żart. Po co

strzelać estetycznego samobójca? Upamiętniać dla beki? Wszak się nie godzi, nie licuje. Toż to nawet Cristiano Ronaldo doczekał się lepszej rzeźby, a przecież żadna głowa państwa żadnego z jego pomników nie odsłaniała.

Żeby jeszcze Kraśnik był po prostu nieszczęsnym wyjątkiem na mapie Polski... Nie jest. Mapa RP jest już upstrzona niczym portret Franciszka Józefa przez muchy. Naddciągają kolejne. Będą ich, mam nadzieję, nie miliony, ale tysiące z pewnością. Czy pośmiertna armia Kaczyńskich przewyższy liczebnie armię Janów Pawłów (w liczbie jak dotąd 5000)? Nie wiadomo, rywalizacja rozgorzała na dobre, bój jest zacięty, wiadomo natomiast, że efekty po wielokroć jeszcze zmrozą krew w żyłach nieszczęsnym okolicznym mieszkańcom tudzież przyjezdnym, generalnie: Polkom i Polakom. Bezradnym przymusowym świadkom żenującej estetycznej katastrofy.

Niczym memento, mimowolnie ośmieszające – monumenta katastrofy. W tym sensie nie dziwota, że parszywe pomniczki Lecha Kaczyńskiego mnożą się jak purchawki po deszczu, one są wykwitem, pokłosiem, logicznym następstwem katastrofalnej mentalności estetycznej. Nie można oddzielać twórców od tworzywa. Jak katastrofa, to katastrofa, na całego, niech się po Polsce brązowym echem odbija, niech się odciska, białoczerwoną szarfą przepasana. Na to nas stać.

Taką Polskę chcą widzieć szczęściarze-włodarze, gracko a bezczelnie podszywający się pod suwerena. Mówisz i masz. Popyt – podaż – katastrofa. I weź kiedyś to spróbuj usunąć... Gdzie to pochować? Może jako naszą terakotową armię – na Wawelu? ©

Lektor: Miasteczko czasu wojny



■ OJZER WARSZAWSKI, SZMUGLERZY

Przełożyły z jidysz Monika Adamczyk-Garbowska i Magdalena Ruta. Stowarzyszenie „Nad Bzurą” i Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Sochaczew-Lublin 2018, ss. 308.

WIELKA WOJNA OBECNA JEST w naszej literaturze – u Żeromskiego, Struga, Kadena-Bandrowskiego, Wittlina. Takiego jej obrazu jak w „Szmuglerach” jednak nie znamy, choć akcja tej powieści toczy się właśnie w ostatnim roku wojny w nienazwanym miasteczku niedaleko Warszawy. Bo wojny tu właściwie nie ma – ziemie dawnej Kon-

gresówki okupują Niemcy, front przesunął się daleko na wschód – jest natomiast wywołana przez nią i pogłębiająca się wciąż nędza. By jej zaradzić, grupa Żydów – miasteczko jest w przeważającej części żydowskie – postanawia zająć się szmugłem żywności ze wsi do Warszawy. Proceder rozwija się znakomicie (choć nie bez wpadek) – szmuglerzy

wspomagani przez trzy polskie prostytutki bogacą się, a równocześnie czują się coraz mniej związani zasadami wyniesionymi z pobożnych domów... Ta naturalistyczna powieść o dynamicznej narracji pełna jest mocnych obrazów, erotyzmu i brutalności, choć także liryzmu i humoru. W żywych i dosadnych dialogach jidysz miesza się z polszczyzną i wtrętami niemieckimi czy rosyjskimi. Wyraziste są też ilustracje autorstwa Józefa Seidenbeutla (1894–1923), starszego brata dwóch innych malarzy – bliźniaków Efraima i Menaszego, zamordowanych podczas II wojny światowej. Urodzony w Sochaczewie Ojzer Warszawski (1898–1944) był prozaikiem, malarzem i krytykiem sztuki. Powieść „Szmuglerzy” („Szmuglars”) ukazała się w 1920 r. w Warszawie, została świetnie przyjęta i miała kilka wznowień – na polski nie

została jednak przetłumaczona. Jej autor wyjechał wkrótce do Berlina, by w końcu osiąść w Paryżu. Przyjaźnił się z Chagallem, napisał mniej udany ciąg dalszy „Szmuglerów”. Po klęsce Francji przedostał się na południe kraju, potem został ewakuowany do Rzymu, a stamtąd deportowany do Auschwitz, gdzie zginął. Ostatnia, powstała podczas wojny powieść „Reзиденcn” to, jak pisze Natalia Krynicka, „utrzymane w kafkowskim stylu wstrząsające przecucie katastrofy”. W „Tygodniku” przypomniał Warszawskiego w 2007 r. Jacek Kubiak; wspominając o uznaniu, jakim pisarz cieszy się we Francji, kończył: „W Sochaczewie pozostaje obcym i nieznanym”. To się szczęśliwie zmieniło, bo do polskiego wydania „Szmuglerów” doszło właśnie dzięki sochaczewskiemu społecznikom. Dziękujemy! © P

PAWEŁ

Bravo:

Lody Podgórze



Z POEZJI WSPÓŁCZESNEJ SZCZEGÓLNIE LUBIĘ nazwy pętli tramwajowych czy końcowych stacji metra. Mam nadzieję, że nie jestem w bardzo nikłej mniejszości z tym zamiłowaniem do odczytywania szyfrów rzeczywistości z tabliczek na czołach elektrycznych pojazdów. Może jest to forma osławiania obcości. Nigdzie nie czuć się u siebie, być wiecznie nie na swoim miejscu – to chyba się nazywa alienacja i uchodziło w dobrym towarzystwie pół wieku temu, gdy egzystencjalizm stanowił podstawę popularnej wizji człowieka. Dziś wypada obnosić się z samorealizacją. Ja jednak, skoro Kraków stał się moją nową obczyzną z wyboru, wybieram tramwaj linii 20 i podążam ku pętli Cichy Kącik.

Trzeba krakowskim dyrektorom komunikacji przyznać, że to godni dziedzice Leśmiana: tworzą brzemienne w treści byty prostym aktem wyznaczania nazw. Często ostatnio wysiadam na przystanku „Korona” i choć nazwa pochodzi formalnie od pobliskiego klubu sportowego, to dla mnie pozostaje zaproszeniem do wycieczek w głąb sensu: niekiedy słyszę w tym hymn do człowieka jako korony stworzenia, innym razem opowieść o tym, kto wydał ostatnią koronę i bez grosza kładzie się na jednej z ławek wokół kwadratowego placu. Dwa razy na tydzień jednak przestrzeń ulega przemianie i miejsce osób w kryzysie bezdomności, jak to się dziś poprawnie nazywa, zajmują emisariusze klasy średniej z płóciennymi siatkami na zakupy. Swoje stragany rozstawia bowiem Targ Pietruszkowy. Mogę sobie kpić pod nosem z nagłego przyrostu SUV-ów parkujących przy okolicznych chodnikach, ale przecież jestem wdzięczny, bo znalazłem tam wreszcie pęczek gałązkowego brokuła. To wcale nie egzotyczne, a jednak rzadkie warzywo ucieszyło mnie niezmiernie – powoli domyka mi się mapa miejsc, gdzie mogę zdobyć rzeczy, które lubię.

Cóż czynić z brokułem gałązkowym? Blanszować i dusić na oliwie – piszę o tym nieco szerzej w grupie „Smaki” na Facebooku, którą wspólnie z Michałem Kuźmińskim, znanym jako autor bloga „Facet z nożem”, zaczęliśmy prowadzić pod auspicjami „Tygodnika”. Obiecuję, że znajdziecie tam nieraz sprawy i tematy, które stukają mi w głowie jak w dno pustego garnka, jednak nie mieszczą się w skromnym kąciuku kulinarnym. Na przykład lody krakowskiego Podgórze...

Gdym tu zamieszkał, pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to osobliwe zageszczenie lodziarni, kontrastujące z ogólnie niskim statusem i zaniedbaniem tej części miasta (kilka lepszych knajp rozsiadło się tylko przy wylocie kładki z Kazimierza i obsługują ewidentnie klientelę, która przechodzi

spacerkiem przez rzekę). A może to logiczne, że biedna dzielnica ma więcej lodziarni *per capita*? To przecież tania przyjemność: za kilkanaście złotych, czyli tyle, ile w knajpie kosztuje pół hamburgera, można sprawić sobie i kochanej osobie coś naprawdę ekstra, na przykład czarne lody kokosowe lub sorbet mango z czerwonym pieprzem. Chciałbym poznać opinię lodziarzy – wierzę głęboko, że z takich intuicji wynika nieraz lepsza prawda o aspiracjach i możliwościach bliźnich niż z raportu ekspertów, którzy widzą drzewa (czyli wskaźniki), ale nie widzą lasu (czyli żywej tkanki wspólnoty).

Zanim je jednak poznam, umyśliłem sobie stworzyć i podać do wiadomości na grupie subiektywne *Orbis gelatarium Podgórens*, na wzór dawnych map, tyleż bogatych w ilustracje, co luźno związanych z rzeczywistością. Nic tak ludzi nie rozpala jak rankingi, zwłaszcza subiektywne. A w dziedzinie słodkości – i tak już naznaczonych dialektyką niewinności dzieciństwa i dorosłego poczucia winy – lody szczególnie nie poddają się zimnej, nomen omen, ocenie. W pierwszej turze obchodu brałem zawsze te same dwa smaki: śmietankowe i czekoladowe, i tyle właśnie mogę powiedzieć, że nie znam odpowiedzi na pytanie, które lepsze, bo to zależy od nastroju i aktualnych marzeń. Cóż z tego albowiem, że w „Si Gela” śmietanka przypomina cienkie lody Bambino, kiedy nasze wewnętrzne

dziecko odnajduje w ich sztuczności radość gry i zabawy, kiedy życie na niby jest weselsze od prawdziwego? Także moje latorośle wołały Big Milka za złotówkę od lodów „rzemieślniczych”, zwłaszcza że czasem trafiał się na patyczku napis, że się wygrało darmowego loda. Analogiczne smaki u braci Hodurków albo w Good Lood to przeciwieństwo sztuczności, czuć je prawdziwą śmietanką, a na języku zostaje swoista gęstość, tylko czy zawsze jedzenie musi być aż takie erotyczne? Podobnie z czekoladowymi: w jednej z lodziarni nagle poczułem, jakbym znów zlizywał z łyżki oldschoolowy budyń Winiary i wcale to nie jest gorsze doświadczenie od tego, gdy naprawdę czuję, jakbym jadł prawdziwą czekoladę cudownie zamienioną w zimną masę.

Rozmowa o lodach to zatem mniej organoleptyka, a bardziej liryka. Tkliwa dynamika, angelologia i dal. W mieście, gdzie tramwaj może cię wywieźć wprost w Czerwone Maki, to doprawdy nic dziwnego.

*Brokuł gałązkowy po oczyszczeniu i przycięciu łodyżek, tak żeby zostawić ich jędrną część, po kilkuminutowym zblanszowaniu, domaga się podduszenia na oliwie z czosnkiem – zupełnie tak jak szpinak, tyle że warto dodać do oliwy filecik anchois, który bardzo pasuje do jego smaku. To jest mniej więcej podstawa sławnego dania z Apulii orecchiette alle cime di rapa, o którym pisałem tu ze dwa lata temu. Ale można też już przygotowane, uduszone **brokułki** wykorzystać do zgrabnej przekąski: mieszamy widelcem 250 g **ricotty** ze sporą garścią **parmezanu**, dodajemy mielony **pieprz**. Przekładamy do nasmarowanych **oliwą** trzech ramekinów o średnicy 10-12 cm i do każdego wciskamy delikatnie 2-3 małe gałązki brokuła, który jest na tyle miękki, że da się lukowato ułożyć. Pieczemy w 160 stopniach ok. 15 minut, aż się ricotta lekko zetnie. ©P*





PSZCZOŁY Z DOBRYM ADRESEM

Jurek Kowalczyk, pszczelarz:
Kiedyś znalazłem w ulu pyszną
spadź jodłową. Laborantka myślała,
że przywiozłem ją ze świętokrzyskiego,
a to było stąd, z cmentarzy na Powązkach.

ADAM ROBIŃSKI

IDZIEMY WĄSKĄ, ZAKRZACZONĄ ALEJKĄ MIĘDZY OGRÓDKAMI działkowymi. Przed robotą Jurek Kowalczyk ma dla mnie kilka słów o BHP: – Jest za wcześnie, pszczoły jeszcze się rozkręcają. Zasada pierwsza: nigdy nie stajemy przed wylotkiem. To jest ich lądowisko, doskonale wiedzą, co powinno być na widoku. Jeśli pojawia się coś nowego, od razu następuje atak. Dlatego zwracaj uwagę, którędy idziesz. Jak najmniej ruchów.

Uli jest ponad dwadzieścia, ale niektóre są puste. Wśród nich takie, do których od lat nikt nie zaglądał. Adres to ulica Powązkowska, północna Warszawa. Kawałek dalej, za płotem, wciąż nie zakorkowana aleja Armii Krajowej przerobiona na trasę S8, bliżej równie ruchliwa aleja Maczka. W tej pełnej spalin okolicy Rodzinne Ogródki Działkowe Lotnik to nieduża enklawa zieleni. Regulamin terenu zabrania co prawda trzymania tu pszczół, ale teren, na którym stoi pasieka Kowalczyka, formalnie należy do pobliskiego zakładu pracy. Ale żeby się tam dostać, najpierw minąć trzeba działkowe królestwo. Dla pszczół – raj.

Wokół uli gęsto od zieleni, nad głowami rozłożysta korona klonu jesionolistnego. Mimo wczesnej godziny słońce jest już wysoko, więc co rusz strzelają przez nią snopy światła. Ciepło i duszno, a w uszach rytmiczne bzyczenie miesza się z jednostajnym szumem aut. Lato w mieście.

– Zajrzymy najpierw do ula, do którego dwa tygodnie temu wsadziłem odkład z nieunasiennioną matką. Chcę sprawdzić, czy zaakceptowały matkę – mówi Jurek. Pod wiekiem raczej



pusto, więc na jego twarzy rysuje się zawód: – Powinna być tu matka z czerwoną opalitiką, ale chyba nie przeżyła tej operacji. Trudno, będziemy się ewakuować, bo chyba mają nas już dość. Powoli. I uważaj na dziki wylotek w narożniku tego ula. Zasada z nim jest taka jak z wylotkiem właściwym. Nie powinno cię tu być.

– Zawsze pracujesz z pszczołami bez sprzętu? – pytam, żałując swoich krótkich rękawów i nogawek i tego, że na spotkanie przyjechałem bez czapki.

– Wiem, kiedy mogę sobie na to pozwolić. I kiedy przestać. Tak jak teraz, wycofaliśmy się w ostatniej chwili. Cała sztuka polega na tym, by w ich świetle pozostawać niewidocznym. Bardzo szybko dowiaduję się o pierwszym popełnionym podczas pracy błędzie. Pierwsze stuknięcie, niekontrolowany ruch, cień rzucony na uliczki. Nie muszą się nawet ruszyć, wystarczy



PIOTR SĄDURSKI DLA „IP”

Jerzy Kowalczyk

ten cień, by nastąpił atak. Najpierw uządli jedna, potem w ciągu pięciu minut trzy kolejne w to samo miejsce, za kolejną minutę pięć następnych, potem piętnaście. Przyciągnie je zapach – mówi, a ja czuję we włosach pszczołę.

– Nie ruszaj się, zaraz odleci. To zresztą ciekawe: pszczoły są tak zaprogramowane, że agresję budzi w nich to, co włochate. Rozpoznają takie powierzchnie dzięki wibracjom powietrza. A potem wplątują się we włosy, i wcale nie żądla, tylko brzęczą, przywołując inne owady. No i one, które właśnie leciały z wiadrami do pracy, koncentrują się nagle na czymś zupełnie innym, bo jednej ubzdurzało się, że w okolicy jest niedźwiedź.

Nawłóć jak onuca

Jerzy Kowalczyk, rocznik 1973, urodzony na Lubelszczyźnie, z pszczołami ma do czynienia właściwie od małego. Pierwsze

kroki stawiał u boku dziadka, kawalera Orderu Virtuti Militari, byłego więźnia kilku obozów koncentracyjnych, które zrobiły z dziadka inwalidę.

– Miał wycięte jedno całe płuco i jedną czwartą drugiego. Kiedy się denerwował, to się dusił. Musiał minimalizować ruchy. Zanim wstał z fotela, wiedział, którą drogą pójdzie. Zresztą za „dziadka” można było dostać w michę. Trzeba było mówić: „Pan Dziadziuś”. Więc od dziecka wszystko musiałem za nim nosić. Chodziłem do uli i pomagałem – opowiada. I dodaje, że pszczelarstwo to zresztą tradycyjnie zajęcie przekazywane z dziadka na wnuka, z pominięciem jednego pokolenia.

Pomagał więc najpierw dziadkowi, potem, po jego śmierci, matce, która przejęła pasiekę, znacznie ją powiększając, i zajmuje się nią do dziś (równocześnie działając w Stowarzyszeniu Pszczelarzy Polskich Polanka). On sam 20 lat temu przeniósł się →

→ do Warszawy, a że zawsze chciał mieć własne pszczoły, parę lat później sprowadził je za sobą do miasta. Ule trzymał wtedy na działce kolegi przy ulicy Nadrzecznej pod mostem Siekierkowskim. Przywiózł je samochodem osobowym, po jednym. Leżały na fotelu pasażera, obok kierowcy (dziś wozi je sprowadzonym z Holandii białym pickupem z zabudowaną paką i pomarańczowym kogutem na dachu, jak na maszynę rolniczą przystało).

Pierwsze wspomnienie związane z pszczołami i Warszawą? Nawłóć.

– Okolica była jednym wielkim placem budowy, pustynią w środku miasta, wszędzie rosła nawłóć. Podszedłem do swojego ula i zobaczyłem miód nawłociowy. I od razu pomyślałem, że albo ja, albo kolega nie zmieniliśmy skarpet. Waliło starą onucą. Ale po dwóch, trzech dniach został taki fajny, żółty miód o cytrynowym smaku. Teraz tej nawłoci już tyle nie ma, pobudowano masę osiedli, ogródki działkowe zostały skasowane. Miód się trafia raczej nawłociowo-spadziowy. Po czystą nawłóć wywożę pszczoły w dolinę Wisły 20 kilometrów od Warszawy. To późnojesienny pożytek.

W tamtych czasach hodowla pszczół w Warszawie była nielegalna. Obowiązywały wywodzące się jeszcze z czasów PRL przepisy „Regulaminu utrzymania czystości i porządku na terenie miasta stołecznego Warszawy”, które zrównywały pszczoły z bydłem i trzodą, a tym samym zakazywały trzymania ich w odległości mniejszej niż kilometr od zabudowań mieszkalnych. Regulamin był odpowiedzią na powojenny napływ mieszkańców wsi, którzy wraz z dobytkiem swojego życia do miasta przywozili również żywy inwentarz. Dopiero we wrześniu 2014 r. warszawscy radni uznali, że przepisy trzeba zmienić. Dziś ule można stawiać nawet dziesięć metrów od sąsiedniego budynku, i bliżej, jeśli jego właściciel wyrazi na to zgodę. Pszczoły można też trzymać na dachach, przy zachowaniu wspomnianych dziesięciu metrów od okien.

Akacja jak szkło

– Zawsze chciałem mieć ule blisko domu i doglądać ich co rano z kubkiem kawy. W Warszawie to nierealne, ale wspólnota budynku na Starych Bielanych, gdzie mieszkam, pozwoliła mi postawić je na dachu. To były wspaniałe miodobrania, ale z tą kawą wychodziło słabo. Obsłużenie trzech uli na dachu trwa dłużej niż 15 w zwykłej pasiece, choćby tutaj. Drabina, trzy metry w górę, wejść, przywiązać, odwiązać, zejść. I tak dalej. Innym radzę, że zanim wymarzą sobie pszczoły na dachu, niech policzą, ile jest metrów z auta na górę, a potem wyobrażą sobie, że pokonują ten dystans z 40-kilogramową skrzynką. I to wielokrotnie.

Miejskie pasieki zalegalizowano, bo wspomniany regulamin i tak był martwy. Pszczelą partyzantkę uprawiano od zawsze na terenie ogródków działkowych, a wiele uli było starszych niż wyrastające w miejscu dawnych wsi kolejne osiedla mieszkaniowe. Czyli pszczoły były tu przed miastem, ale z czasem same na urbanizacji skorzystały.

– Po pierwsze nie ma tu chemii rolniczej. Po drugie temperatura jest wyższa o jakieś dwa stopnie Celsjusza, do tego wyższa wilgotność. No i jeszcze pożytki. Lubię miody wielokwiatowe, ale dzisiejszy klient woli raczej te monokulturowe. Rzepak, grykę, lipę, akację. Kiedy pokazuję kolegom ze stowarzyszenia pszczelarzy warszawski miód akacjowy, to oni myślą, że to z fabryki. Wygląda jak płynne szkło, jest przezroczysty jak

woda. A to wszystko dlatego, że oni nie znają sytuacji, w której wszystkie trawniki idą pod kosiarkę. Gdy akacja kwitnie na wsi, to pszczoły i tak dorzucą do niej coś innego, choćby mniszek. W mieście mają w tym czasie tylko tę akację. Podobnie z lipą – opowiada pszczelarz.

Dobrodziejstwem dla pszczół są też stołeczne parki z ich bioróżnorodnością. Przykładem niech znów będzie akacja, która na wsi nektaruje przez dwa, może trzy dni. Pierwszy silniejszy deszcz obija kwiaty i kończy miodobranie. Tymczasem w parkach rosną drzewa sprowadzane z różnych stron świata, a tym samym zakwitające wcześniej lub później niż polskie odmiany. W efekcie zamiast paru dni pszczoły dostają na pracę nawet dwa tygodnie.

– W tym roku to w ogóle mamy jakieś szaleństwo – zauważa Jurek. – Akacja zaczęła kwitnąć wtedy, gdy trwał jeszcze wielokwiat majowy, a skończyła w połowie lipy. Trudno mi było potem oddzielić jedno od drugiego. To było w maju i na początku czerwca. Na przełomie czerwca i lipca trwał sezon na grykę. Forsycja kwitła jednocześnie z czarnym bzem. Akacja i rzepak kończyły kwitnąć jednocześnie, a zwykle dzielą je dwa, trzy tygodnie. Na forach pszczelarskich ludzie pokazują pękające pąki nawłoci, a to przecież zwykle dzieje się w sierpniu i wrześniu.

W normalniejszym roku, gdy pogoda nie płała aż takich figli, kalendarz pszczelarza jest raczej przewidywalny. Pierwszy zauważalny pożytek to klon i wierzbą, ale mało z niego miodu, bo pszczoły zwykle zjadają go na bieżąco, regenerując się po zimie. Tylko najsilniejsze rodziny przynoszą nadwyżki, „po szklaneczce, no, może pół litra”. Potem zwykle na wsi zakwita rzepak, a w miastach wielokwiat majowy: mirabelki, śliwy, czereśnie, wiśnie, jabłonie. Kolejny duży pożytek to mniszek lekarski. Początek czerwca to robinia akacjowa, wreszcie gryka i lipa. W lipcu pszczoły zajmują się głównie różnorodnymi roślinami kwitnącymi na nieużytkach i przy drogach, ale też chwastami polnymi i nasiennikami warzyw uprawnych. To wielokwiat letni. Koniec lata przynosi najdroższe i przez wielu uważane za najsmaczniejsze miody wrzosowe i nawłociowe. Ale te są dla pszczół wyzwaniem, głównie dlatego, że podczas kwitnięcia tych roślin owady powinny przygotowywać się już do zimy. Gromadzić pokarm, a nie dzielić się nim.

– Pszczoły nie robią miodu cały czas. Odczuwalne strzały w ulach trafiają się cztery, może pięć razy w roku. Wtedy, gdy zakwitają te bardzo miododajne rośliny – mówi Jurek.

To głównie dlatego dziś pasieki stały się mobilne. Ale zanim dowiem się, jak podróżują pszczoły, słyszę wykład na temat historii pszczelarstwa. Jego początki sięgają neolitu, a „Georgiki” Wergiliusza z I wieku n.e. to już niemal podręcznik zawodu: „W ulach, czy je zrobisz z wydrążonej kory / Czy z wiklin giętkich, zostaw malutkie otwory: / Bo w zimie miód od mrozu tężeje, a za to / Upał w płyn go roztopia, gdy nadejdzie lato; / Dla pszczół oba złowrogie, więc brzęczące chmary / Usilnie woskiem lepią najdrobniejsze szpary” (tłum. Z. Abramowiczówna). Początkowo jako gatunek preferowaliśmy gospodarkę rabunkową, dopiero z czasem nauczyliśmy się, że odpowiednia współpraca z pszczelą rodziną pozwala korzystać z jej wysiłków regularnie, a nie jednorazowo. Miód nie tylko wzbogacał wtedy jadłospis, ale podnosił również pozycję społeczną.

– W czasach, gdy jadło się głównie zupełnie z pokrzyw czy z lebidy, łyżka miodu była energetycznym kopniakiem. Strzałem

cukrowym, który stawiał na nogi. Według mojej wiedzy do XVI wieku miód się nie kupowało, dostawało się go w prezencie. Od czarowników, znachorów – opowiada Kowalczyk.

Spadź jak daktylę

Początkowo człowiek działał w ulu jak niedźwiedź. Przychodził, urywał kawał plastra i uciekał. Barcie dały powtarzalność, ale miodu było w nich niedużo. Trzeba było się nachodzić i nawspinać, by z leśnego rewiru zbierać sensowną ilość. Z czasem górę wzięło więc lenistwo. Chodziło o to, by ule stały blisko domu. Zauważono też, że aby odbudować wyjęty plaster, pszczoły potrzebują mniej więcej tyle samo miodu. Skokiem w rozwoju pszczelnictwa były więc ramki wielokrotnego użytku. Zaraz przysła też standaryzacja ich rozmiarów, a tym samym standaryzacja ulów, bo o ich wielkości i kształcie decydują właśnie ramki. Tzw. dadant to położona na dłuższym boku kartka formatu A4. Ale w pasiece Kowalczyka są też ule typu warszawskiego, czy tzw. warszawskie poszerzane. Z kolei najpopularniejszy w Polsce typ wielkopolski ma rozmiar 36x26 cm.

– Moja praca jako pszczelarza polega na manipulowaniu objętością dziupli. Celem pszczół jest z kolei wypchanie całej dziupli pokarmem i potomstwem. Kiedy robi się super ciasno, wyroją się. Stara matka i większość robotnic uciekną. Poniosę koszty hodowli, a nie będę miał miodu. Więc kiedy mają już prawie dobrze, to dokładam im kolejną ramkę, by miały gdzie pchać pokarm.

– To jak jest z tym wożeniem pasiek? – pytam.

– Jeśli jeżdżę z nimi do pożytków, to zamiast dwóch, trzech miodobrań mam ich nawet pięć. Ważne, żeby to było dalej niż pięć kilometrów od poprzedniego miejsca, inaczej w nie wrócą. Wrzucam je więc na pakę auta i jadę. Kiedyś brało się konia i była przygoda, bo nie dość, że ryzyko dewastacji, to jeszcze potem trzeba było uciekać, bo je taka podróż rozwścieczała.

W teorii zasięg pszczoły w locie to kilka kilometrów, w praktyce – raczej półtora. Aby polecieć dalej, owad zaczyna zjadać to, co niesie do ula, lot staje się więc nieopłacalny. Ale ten promień to wbrew pozorom całkiem sporo. Nawet w Warszawie łapie się nań sporo zieleni.

– Kiedyś w tej pasiece zebrałem spadź jodłową. Nie mogłem w to uwierzyć, więc oddałem ją do badania. Laborantka mówi: „wspaniały miód, ze świętokrzyskiego, jak mniemam?”. Bo właśnie tam rosną najbliższe Warszawy lasy jodłowe. Ale gdzie, przecież to było tu, na Fortach Bema. Schodziłem okolicę wzdłuż i wszerz i odkryłem te jodły na cmentarzach po drugiej stronie trasy szybkiego ruchu. Ależ to był miód! Czarny, o smaku bakalii. Daktylę i figi! Sześć lat na niego czekam, ale drugi raz mi takiego prezentu nie sprawiły.

Powązkowska to dla Jurka najważniejszy warszawski adres. Ale tak naprawdę ma ich kilka. Kolejny to Kasprzaka 25, gdzie dla Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazowego prowadzi pasiekę edukacyjną. Obrabia te pszczoły jak swoje, ale cały miód z 25 uli oddaje w zamian za comiesięczną pensję. Kiedy je zakładał było 15, dziś ma tam 25 uli, poprosił, by nie kosić okolicznych trawników.

W czasach, gdy jadło się głównie zupe

z pokrzyw czy z lebiody,

łyżka miodu była energetycznym kopniakiem.

Strzałem cukrowym,
który stawiał na nogi.

– Wycinają tylko te dookoła budynków. Reszta zarasta piękną, wysoką trawą. A w niej pasikoniki, zaby, kuny, zające. I to w środku miasta – uśmiecha się.

Pszczoła jak piesek

Dzięki współpracy z PGNiG udało mu się też zrealizować jeszcze jedno marzenie. Razem z kolegami z Warszawskiego Bractwa Bartnego (do którego, jak mówi, „należą menedżerowie praskich klubów, którzy postanowili zrobić coś dla siebie i świata”) otworzyli przy Ząbkowskiej ogólnodostępny zakład pszczelarski Rój.

Pierwsza kamienica od Targowej, nocny, zegarmistrz, artykuły dla zwierząt, a w bramie odrapana przybudówka z kratami w oknach. Oficjalne otwarcie zrobili 23 czerwca, choć wciąż dopiero zbierają sprzęt. Szkolenia i warsztaty prowadzą już od dawna, m.in. dla trudnej młodzieży i dzieci z domów dziecka.

– Chcieliśmy nawiązać do rzemieślniczych tradycji i stworzyć pracownię, w której każdy pszczelarz mógłby w kulturalnych, akceptowalnych przez sanepid warunkach brać miód – opowiada. – Bo założenie pasieki to nie jest duży wydatek. Trzysta, pięćset złotych na ul, drugie tyle kosztuje pszczoła rodzina. Ale najtańsza miódarka to już półtora tysiąca. Nie każdego stać. Kiedyś kręciło się miód na starych, ocynkowanych wirówkach po dziadku. Dziś wiemy, że ocynkowana blacha i miód nie idą w parze. Więc chcemy, żeby każdy mógł zapisać się na listę i pracować na naszym sprzęcie.

– Czyli pszczelarstwo w mieście kwitnie?

– Kiedy zacząłem je tu hodować, Warszawa to był raj. I dalej jest raj, ale tylko pożytkowy. Kiedy zalegalizowano pszczoły w mieście, nagle to wszystko zrobiło się popularne i modne. Kupujesz ul i rodzinę i już jesteś pszczelarzem.

– Czyli konkurencja?

– Nie. Chodzi o to, że ludzie nie mają poczucia obowiązku. Z pszczołami jest tak, że wszystko trzeba robić na czas. One nie znają słowa „jutro”. Nie zadzwonię do nich i nie powiem, że dziś boli mnie kręgosłup, więc nie przyjadę do pasieki. Kiedy w styczniu robi się pięć stopni Celsjusza i nie ma wiatru, nie patrzę, jaki jest dzień tygodnia, tylko przylatuję tu, żeby dokarmić owady po zimie. Tylko w takich warunkach chwilowe otwarcie ula im nie zaszkodzi. Nie ma, że dziewczyna chce iść do kina. Sorry. Wakacje są w zimie!

– Czyli po prostu szkoda ci owadów?

– Tak, bo w zaniedbanych ulach zaraz pojawia się warroza, która wybija pszczoły. A moje, jako że mam tu same silne rodziny, zaczynają jesienią rabować i się nią zarażają. Od paru lat jest pod tym względem tragicznie. W tym roku pierwszy raz wywiozę swoje ule poza Warszawę. Żeby w momencie karmienia nie rabowały nieleczonych, zaniedbanych rodzin. Może źle to zabrzmieć, ale z pszczołami jest jak z pieskiem. Możesz kupić najpiękniejszego, rasowego, ale jak przyjdiesz do niego z karmą dopiero po trzech tygodniach, to nie będzie już psa, tylko kupa śmierdzącego mięsa. I to takiego, które trzeba szybko uprzątnąć, żeby nie pozarażało innych.

I wtedy, zupełnie niespodziewanie, bach! Na sam koniec rozmowy pod moje lewe oko idzie żądło. © ADAM ROBIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:

Deser



POZOSTAŁO JUŻ TYLKO PAŁOWANIE. DOCZEKAŁIŚMY SIĘ. Pałowanie – warto o tym pamiętać – jest zawsze argumentem na koniec. Jest deserem podawanym po mulących daniach złożonych z różnorodnych perswazji i jest daniem nieuniknionym. Okresy perswazyjne, takich ekip jak owa, trwają zawsze bardzo krótko, rok, dwa, góra trzy, bowiem perswadowanie nuży przede wszystkim przekonujących. Perswadowaniu towarzyszy zawsze niecierpliwość, bo paradoksalnie w agresji zaledwie werbalnej – choć na pierwszy rzut oka wystarczającej – jest jakiś rodzaj niedopowiedzenia i braku powagi, z czasem każdy rozumie, że trzeba wyjąć pałę, by nie narazić się na śmieszność i zarzut, jak mawia Gospodarz, imposybilizmu. Krótkotrwały potencjał lżenia przeciwnika wynika z ograniczonego wokabularza i wyczerpywania się mocy obelgi, tylko pała w ruchu może przywrócić poczucie bycia serio, stan sprawczości i mocy.

Bicie ludzi wymaga wytłumaczenia i ono – owo tłumaczenie – zawsze jest takie samo, ale rzecz jasna chętnie posłuchamy tych objaśnień po raz któryś. To wyrazy troski o porządek publiczny, o bezpieczeństwo kraju, to obrona przed imperializmem, agenturą, warcholstwem, rozwydrzeniem nielicznych grup pasożytów z marginesu, grup wyrostków, to także metoda udrażniania ciągów komunikacyjnych, przywracanie ładu i spokoju na ulicy. Pała i polewaczka to urządzenia tanie, bardzo tradycyjne, wydawałoby się archaiczne, ale na początek jedyne dobre, zanim stosownie do osiągnięć epoki nie wymyśli się czegoś na jej miarę. Bo oczywiście się wymyśli. Od czegoś trzeba zacząć.

Trzeba także zobaczyć, jak się z pałowaniem jako normą czujemy. Trzeba ustalić standardy i techniki, bowiem – to ja-

sne – zasady świadomego pałowania to podstawa, podstawa programowa musi być więc zmieniona. Pałujący musi wiedzieć, kogo pałuje, za co i za ile. Kursy świadomego pałowania ruszyły i na razie prymusów jest niewielu, ale – spokojnie – te kadry kształcą się prędko. Akurat nauka bicia wchodzi do głowy najzwawiej. Zamawianie rzeczywistości – słyhać te życzeniowe opinie często – że oto „to pokolenie jest wychowane inaczej”, skończy się bolesnym rozczarowaniem. Podobnie jak marzenia o istnieniu tabu: że bicie kobiet, dzieci i staruszków się nie zdarzy. Już się zdarzyło, więc po co się łudzić. Każda władza – podobna tej – była w tej materii bardzo postępową, znosiła ograniczenia wiekowe i wprowadzała równouprawnienie płci. Zważmy także, że pałowanie musi być nie tyle – to jasne – obowiązkiem służbowym, aktem patriotycznym, ile przede wszystkim przyjemnością. Dlatego też lista powodów umożliwiających bicie będzie się wydłużać, a preteksty znajdą się w obowiązujących regulaminach wyjęcia i użycia pały. Czerpanie satysfakcji z regulaminowo wykonywanej pracy to podstawa. Nie trzeba chyba dodawać, że pałowanie nader często jest też aktem samoobrony funkcjonariusza. Wiemy przecież, jak często kobiety, dzieci i starcy napadają na uzbrojonych policjantów na służbie. Znamy to. Dzisiejsza władza ma już prokuratora od takich spraw, ongiś zjadł na tym zęby, ale ma już nowe.

Początek pałowania jest zawsze nieśmiały, jest – użyjmy tego słowa – pałowankiem. Próbą i ćwiczeniem. Metą jest zawsze nieuchronny, regularny bandytyzm. Wynika to oczywiście z łańcucha logicznego, z żelaznej zasady obowiązującej w uzależnieniach. Niezbędnym elementem pałowania jest też publiczność oraz owacje. Bicie zaczyna się przy pełnej i rozentuzjasmowanej widowni, kończy wraz z kilkoma drzemiaczami na sali klientami. Emerytowani zleceniodawcy bicia piszą zawsze memuary. Wzruszające, racjonalne, tłumaczące cholernie skomplikowane okoliczności polityczne i historyczne, opisujące tzw. głęboko ludzkie dramaty. Na miejscu wydawców już byśmy bukowali prawa autorskie do ich pamiętników. Tych kompletnie niewinnych, uwikłanych, zmuszonych, zagubionych, ale jakże wrażliwych, dobrych przecież. To będą hity, nad którymi ze zrozumieniem pochylimy kiedyś nasze siwe głowy.

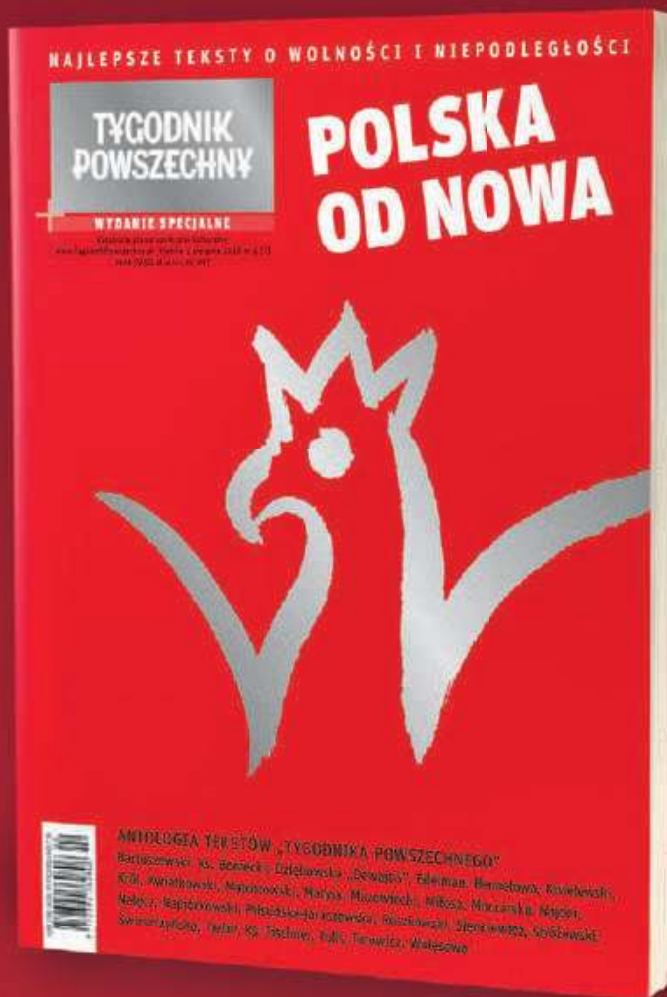
© P

BARTOSZ MINKIEWICZ



PREMIERA

Już za tydzień, 1 sierpnia, w sprzedaży kolejne wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego”



„POLSKA OD NOWA” to wybór najlepszych tekstów z ponad 70-letniej historii „TP”, poświęconych niepodległości, wolności i ojczyźnie.

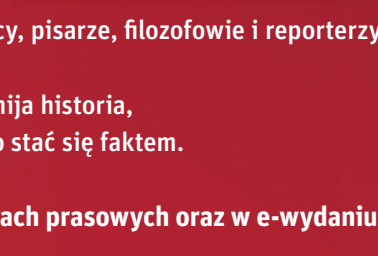
Piszą i opowiadają m.in.:

- budowniczy Gdyni Eugeniusz Kwiatkowski
- córka Józefa Piłsudskiego Jadwiga Jaraczewska
- noblista Czesław Miłosz
- pierwszy naczelny „TP” Jerzy Turowicz
- kapelan Solidarności” ks. Józef Tischner
- minister spraw zagranicznych III RP Władysław Bartoszewski

Na wydarzenia lat 1918, 1945, 1989, 2004 i 2018 patrzą historycy, politycy, pisarze, filozofowie i reporterzy, ale jest jeszcze jedna, przekraczająca kategorie zawodowe, perspektywa.

W dziale „Polska jest kobietą” oddajemy głos tym, których rolę często pomija historia, choć dzięki ich mocy i niezłomności nasze stanowienie Niepodległej mogło stać się faktem.

Niezastąpiona lektura podczas Roku Niepodległości. Za tydzień w salonach prasowych oraz w e-wydaniu



TYLKO **300** ZŁOTYCH NA CAŁY ROK!



Jeśli masz poniżej 25 albo powyżej 65 lat
– możesz kupić krajową, ekonomiczną
prenumeratę wydania papierowego „TP”
w ofercie **POKOLENIA** za 300 zł rocznie.
Aby z niej skorzystać, wystarczy opłacić ją
zgodnie z ogólnymi zasadami zakupu
opisanymi poniżej.

■ Zastrzegamy sobie jednak prawo skontaktowania się
z wybranymi osobami w celu weryfikacji prawa do ulgi.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12
w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez
stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl,
na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta **POKOLENIA** – 300 zł na rok
■ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl